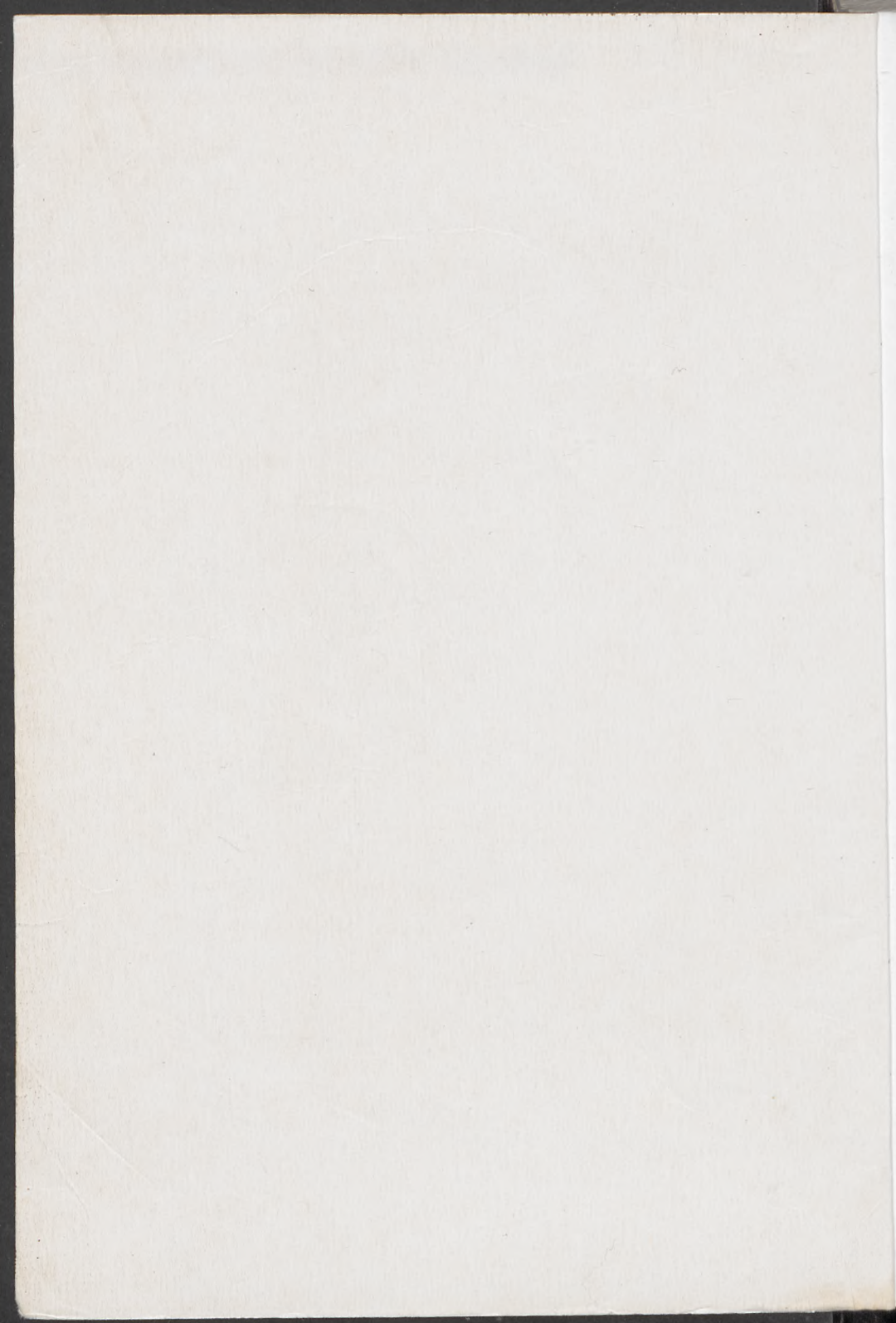




Marek Cabanowski

GRODZISZCZANIE



Marek Celiński

GRODZISZCZANIE

doktorowi Abdulsalam Alsharabi
profesorowi Andrzejowi Borkowskiemu
doktorowi Sławomirowi Falkowskiemu
docentowi Jackowi Pawlakowi

Grodzisk Mazowiecki 2001

Dr. J. A. ...
Professor of ...
University of ...
London, England

Marek Cabanowski

GRODZISZCZANIE

Grodzisk Mazowiecki 2001

Czytelnia Naukowa



101 0 0012865 4

Marek Cabanowski
Grodziszczanie

Okładka:
Akwarela Pawła Cabanowskiego

Skład i opracowanie edytorskie:
Grzegorz Szejankowski



© Copyright by Marek Cabanowski 2001

~~Nr inwent.~~

15845

Wydanie I

929

rewers

ISBN 83-91-5948-0-7



Wydawca

„Lewion”

Nr inwentarza

12865

Usługi Wydawnicze i Reklamowe
ul. Wschodnia 7, 05-807 Podkowa Leśna
tel./fax: 758 98 70; tel. 0 602 793 618

929 : 94 (438 Grodzisk Maz.)

WSTĘP

Spis treści

1. Wstęp	7
2. Kazimierz Szosland	10
3. Mieczysław (Miguel) Najdorf	20
4. Leonid Teliga	30
5. Franciszek i Julian Ejsmondowie	52
6. Księżna Regina i Księżniczka Zinaida Druckie-Lubeckie ..	66
7. Marek Edelman	80
8. prof. Jan Skotnicki	92
9. ksiądz Jan Pajkert	106
10. Jan Siwiec	122
11. Lech Zondek	148
12. Indeks	170

WSTĘP



Niełatwo jest napisać słowo wstępne w książce, do której ma się emocjonalny stosunek. Oj, nie łatwo. Pocięsza mnie jedynie to, że jeszcze trudniej będzie go przeczytać. Ale, jak mawiał imć Wołodyjowski – nic to – bo po wstępie, przez który jakoś zawsze się przebrnie, rozpoczynają się „Grodziszczanie“ – książka, przy której znudzić się nie sposób. Jej treść wynagrodzi czytelnikowi niedociągnięcia pierwszych strof przedmowy.

Najnowsza pozycja Marka Cabanowskiego, tak jak niektóre nieco wcześniejsze, dokumentuje Grodzisk Mazowiecki, choć jest dokumentacją nietypową. Autor, piszący o swoim mieście od lat kilku, stara się „by czas nie zaćmił i niepamięć“ miasta w którym się urodził, wychował, dorastał i z którym jest nierozzerwalnie związany. Mając świadomość, że postęp cywilizacyjny i industrialny nie omija również Grodziska, chciałby zatrzymać choć skrawek swojego młodzieńczego miasta, a to z każdym dniem, powoli acz zdecydowanie, odchodzi w niepamięć. I właśnie zbierając informacje o bohaterach niniejszej książki, osobach znanych, nietuzinkowych autor posługuje się nie tylko archiwami ale także opowiadaniem ludzi, którzy pamiętają Najdorfa, Pajkerta czy Teligę. Postacie związane z Grodziskiem, znane, a już niewielu mieszkańców ich pamięta. Stąd też chęć dotarcia do tych ostatnich świadków historii mogących przybliżyć zwyczajne dni tych nieprzeciętnych ludzi.

Profesor Jan Pruszyński w swojej recenzji poprzedniej książki Marka Cabanowskiego „Wierni Ziemi Grodziskiej“ pisał m. in.: „Py-

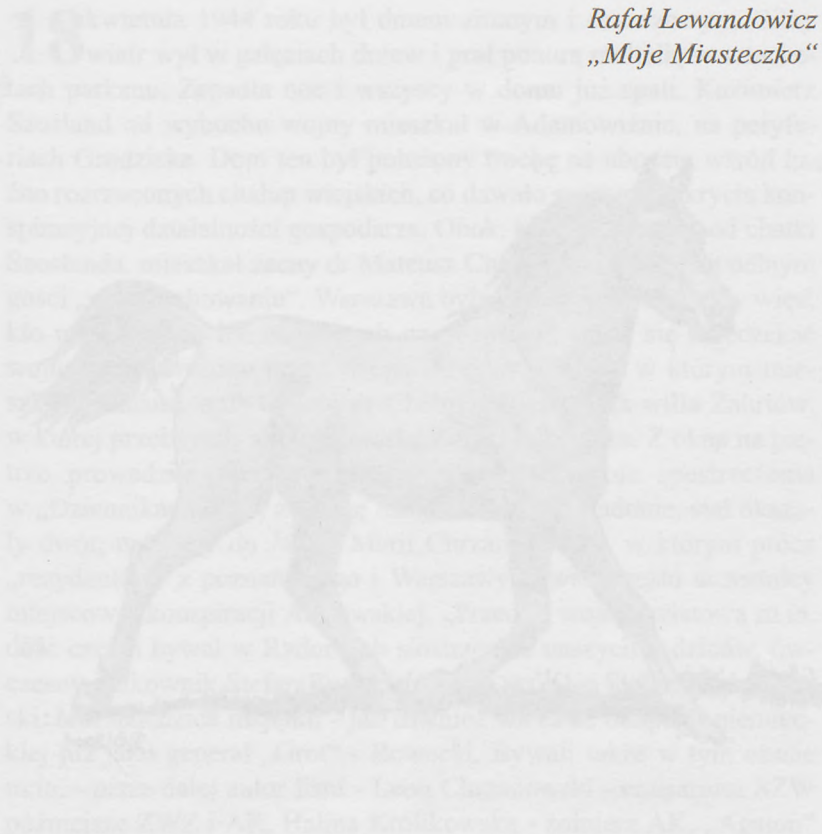
tajmy naszych bliskich, póki są jeszcze na tym świecie o sprawy, które dla nich terażniejsze, dla nas są już przeszłością. Wymuszajmy na starych ludziach, by podpisywali fotografie, umieszczali na nich nazwiska portretowanych, daty i miejsca – a nuż trafią kiedyś na karty książek? Bądźmy dumni z naszych przodków, choć czasem i oni popełniali nie mniejsze od naszych głupstwa.“ i dalej „Nie okradajmy się z historii, bo wtedy doprawdy nie będzie wiadomo, czy w ogóle warto być porządnymi i kulturalnymi ludźmi. Przygodny Czytelnik gotów powiedzieć, że kolejna książka p. Marka Cabanowskiego – autora licznych prac o rodzinnych stronach »Domy i ludzie«, »Opowieści o kościołach dawnego dekanatu grodziskiego« jest mało ważna, ale tak nie jest. Dowodzi ona zrozumienia konieczności, gromadzenia i przekazywania wiedzy o własnej »małej ojczyźnie« i jej mieszkańcach. »Historię naszą piszmy sami – jak mawiał Józef Piłsudski – bo inaczej napiszą ją za nas inni. I źle!« Czytając książkę odnosi się wrażenie, że autor nie omieszkał zastosować się do sugestii profesora Pruszyńskiego.

Wszystkich bohaterów książki łączyło jedno – w różnych okresach swojego życia mieszkali w Grodzisku Mazowieckim. I właśnie ten fragment ich życiorysu autor stara się uwypuklić i udokumentować, nie pomijając przy tym ogólnej charakterystyki postaci. Książkę czyta się lekko, przyjemnie i szybko – w ciągu jednego wieczora. Niektóre rozdziały mogą wydać się czytelnikowi znajome, były bowiem publikowane w miesięczniku „Moje Miasteczko“. Na potrzeby książki zostały przez autora rozszerzone.

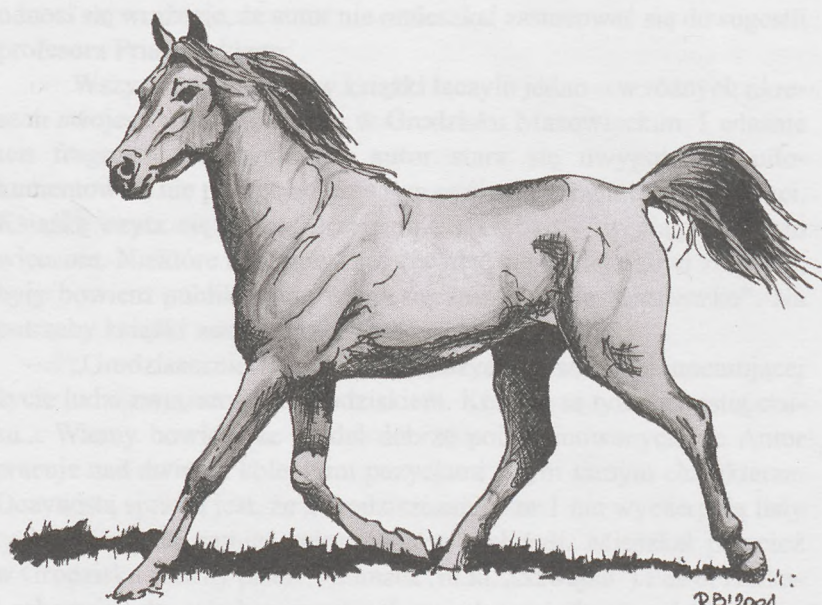
„Grodziszczanie“ to pierwsza pozycja z serii dokumentującej życie ludzi związanych z Grodziskiem. Kolejne są tylko kwestią czasu... Wiemy bowiem ze źródeł dobrze poinformowanych, że Autor pracuje nad dwiema kolejnymi pozycjami o tym samym charakterze. Oczywiście sprawą jest, że „Grodziszczanie“ nr 1 nie wyczerpują listy tych, którzy na pamięć mieszkańców zasłużyli. Mieszkał przecież w Grodzisku sławny pisarz i tłumacz (m.in. „Szwejka“) Paweł Hulka-Laskowski, do szkoły uczęszczał wyjątkowo odważny konspirator okupacji niemieckiej Bronisław Sianoszek, w Grodzisku prowadził działalność społeczną i polityczną współtwórca Kółek Rolniczych,

wszechstronnie aktywny pozytywista Antoni Wieniawski. W Grodzisku zmarł w styczniu 1945 roku sławny podróżnik i pisarz Antoni Ferdynand Ossendowski. Warte upamiętnienia są zasłużone w dziejach miasta rody Mokronoskich i Skarbków. Z tych samych źródeł donoszą nam, że Marek Cabanowski rozpoczął pisanie „Sagi Lekarzy Grodziskich“... Warto więc, jak podpowiada Profesor Pruszyński, wyciągać z szuflad zdjęcia i inne pamiątki, aby nasza przeszłość nie zapadła się w dziurę zapomnienia.

Rafał Lewandowicz
„Moje Miasteczko“



Kazimierz Szosland



18 kwietnia 1944 roku był dniem zimnym i deszczowym. Silny wiatr wył w gałęziach drzew i grał ponurą melodię w sztachetach parkanu. Zapadła noc i wszyscy w domu już spali. Kazimierz Szosland od wybuchu wojny mieszkał w Adamowiźnie, na peryferiach Grodziska. Dom ten był położony trochę na uboczu, wśród luźno rozrzuconych chałup wiejskich, co dawało szansę na ukrycie konspiracyjnej działalności gospodarza. Obok, kilkaset metrów od chatki Szoslanda, mieszkał zacny dr Mateusz Chełmoński z domem pełnym gości „na przechowaniu”. Warszawa była niebezpieczna, każdy więc, kto miał rodzinę lub znajomych na prowincji, starał się przeczekać wojnę niezauważony przez wroga. Między domem, w którym mieszkał Szosland, a dworkiem dr Chełmońskiego stała willa Zahrtów, w której przebywała sławna pisarka Zofia Nałkowska. Z okna na piętrze prowadziła obserwację terenu, notując swoje spostrzeżenia w „Dziennikach”. No, a trochę dalej, w majątku Radonie, stał okazały dwór, należący do Jana i Marii Chrzanowskich, w którym prócz „rezydentów” z poznańskiego i Warszawy bywali często uczestnicy miejscowej konspiracji AK-owskiej. „Przed 2. wojną światową m.in. dość często bywał w Radoniach siostrzeniec naszych rodziców, ówczesny pułkownik Stefan Rowecki - pisze w liście Stefan Chrzanowski, brat dziedzica majątku - jak również w czasie okupacji niemieckiej już jako generał „Grot” - Rowecki. Bywali także w tym czasie m.in. - pisze dalej autor listu - Leon Chrzanowski - emisariusz SZW późniejsze ZWZ i AK, Halina Królikowska - żołnierz AK, „Agaton”

- Stanisław Jankowski „Cichociemny“, Roman Knoll - doradca delegata Rządu na Kraj, a później kierownik sekcji spraw zagranicznych w ramach Delegatury, Janusz Zaręba - emisariusz AK, członkowie AK z Grodziska Mazowieckiego i Milanówka, m.in. dowódca kpt „Siwy“ - Mizera, por. „Tissot“ - Osuchowski [Stanisław - oficer ds. zrzutów], por. „Błysk“ (nie pamiętam nazwiska) [Szmajdowicz Bolesław - plut. „Błysk“, ZWZ/AK, sekcja techniczna zrzutów], po odebraniu zrzutów, „Cichociemni““ W pobliskiej okolicy znajdowały się zrzutowiska w Osowcu, Chawłowie - majątku sławnego siłacza Teodora Sztekkera, i trochę dalej, w Kraśniczej Woli i Izdebnie („Rozłogi“, „Łyżka“). Innym przyjacielem domu Szoslandów był Józef Łąźniewski, właściciel majątku Musuły, a także Bielawski z Bielin. Opisane tu miejsca, domy, majątki wszystkie położone były wobec siebie w niewielkich, liczących po parę kilometrów odległościach. Szczególnie Adamowizna i Stare przeżywały w czasie wojny chwile niezwyczajne. Tu się rozgrywały akcje żołnierzy AK Obwodu „Bażant“,



Kazimierz Szosland

w szkole na Starem kwaterowali żołnierze armii węgierskiej, niebywale „ożywiały“ też okolicę zrzuty alianckie. Przy odbiorze zrzutów zatrudnione były wyspecjalizowane komórki Obwodu AK, oraz rzesza żołnierzy szeregowych, obstawiających teren, organizujących transport. Zrzucano z alianckich samolotów prócz „cichociemnych“, broń, wyposażenie wojskowe, ale i dobra w postaci żywności, przedmiotów codziennego użytku niedostępnych w latach okupacji, wreszcie tzw. „gwoździe“. Cóż to takiego były owe „gwoździe“? Było to zasilenie gotów-

kowe Polskiego Państwa Podziemnego, niezbędne dla utrzymania struktur, wykupywania więźniów, zakupu broni itp. Dostarczano je w postaci dewiz, przeważnie dolarów, najczęściej złotych. Dolary „spadały z nieba“ wraz z emisariuszami, lub „cichociemnymi“, którzy transportowali je przy pasach, w specjalnych kieszonkach, a ich podłużny kształt przypominał właśnie gwoździe. Wszystkie te dobra, przedstawiały wielką wartość materialną i były łakomym kąskiem dla ludzi nieuczciwych. Przy tym warunki, w jakich zrzucono się odbywały, stwarzały dodatkową możliwość uszczknięcia z owych dóbr tego, czy owego. Wszystko to razem wzięwszy wystawiało na trudną próbę charaktery uczestników konspiracji. Niejednemu biorącemu udział w akcji różne myśli chodziły po głowie. W zdecydowanej większości w całej okupowanej Polsce próbę tę przeszło pomyślnie tysiące patriotów. Jednakże, choć rzadko, bywało inaczej.

Niebezpieczeństwo dla mieszkańców nie wypływało wyłącznie z faktu obecności w kraju wrogiego okupanta. Zdarzały się napady bandyckie na bogatszych mieszkańców okolicy. Złodzieje i bandyci wykorzystywali często atmosferę terroru okupacyjnego dla „zmylenia przeciwnika“. Oczywiście, bandytyzm był zwalczany, przez oficjalnie do tego powołane niemieckie służby, ale i przez podziemny wymiar sprawiedliwości. Działała także na terenie Ziemi Grodzkiej banda leśna podszywająca się pod lewicową partyzantkę. Dopuszczała się ona aktów gwałtu wobec mieszkańców, zwłaszcza na wsiach, głównie polegających na bezprawnych rekwizycjach.

Tej ponurej nocy załomotał ktoś do drzwi domku Kazimierza Szoslanda. Wszyscy zerwali się na równe nogi. Pani Stefania podbiegła do łóżka dziecka. Mieszkający z Szoslandami 16-letni Felik Jaworowski zaczął nerwowo biegać po mieszkaniu. Kazimierz Szosland podszedł do drzwi, prowadzących na ganek i stanął, jakby wahając się, czy otworzyć. Chwilę nasłuchiwał. „Kaziu, otwórz – rozległ się głos zza drzwi – chcemy pogadać“. Major poznawszy znany sobie głos otworzył drzwi i zrobił krok na zewnątrz. W świetle płynącym ze środka domu pani Stefania dojrzała sylwetki mężczyzn w niemieckich mundurach feldgrau. Na ganku czekało na Kazimierza Szoslanda dwóch gości. W pogwizdywaniach wichru uto-

nał huk wystrzału, mieszkańcy domu nie usłyszeli go w ogóle. Po dłuższym czasie zaniepokojona żona uchyliła drzwi. Przed gankiem leżały zwłoki jej męża, majora Kazimierza Szoslanda. Szybko wciągnęła go do mieszkania, oglądając się bojaźliwie na boki. Major nie żył. Do dzisiejszego dnia zagadka śmierci Szoslanda nie została wyjaśniona. Jest wykluczone, aby Niemcy pokazali się w tamtym miejscu nocą, samowtór. Gdyby władze okupacyjne chciały aresztować kogoś w zalesionym, wiejskim rejonie, podejrzanego o zbrojną walkę w szeregach podziemia, teren byłby gęsto obstawiony, a gestapo dokonałoby rewizji w domu i być może aresztowali by też pozostałych jego lokatorów. Bandyci zabrali by z domu cenne przedmioty, a przecież nikt do domu nawet nie wszedł. Musiał to być ktoś znajomy, bowiem zwracał się do majora po imieniu i głos jego był przez ofiarę znajomy. U Przedpolskich, mieszkających najbliżej domu Szoslanda, gwałtownie ujadły psy, ale mieszkańcy niczego nie zauważyli. Felek Jaworowski, syn siostry Stefanii Szosland z domu Smolicz-Białobrzeskiej, mieszkający z Szoslandami znał odwiedzających dom kolegów majora. Znała ich jeszcze lepiej pani Stefania.



Fragment Domu w Adamowiznie, przed którym zginął Kazimierz Szosland

Później, kiedy było już po wszystkim, oboje zwierali się „staremu doktorowi“, jak nazywano doktora Mateusza Chełmońskiego i wnioski co do sprawców śmierci Szoslandów stawały się coraz jaśniejsze. Tuż po wojnie i domniemani sprawcy i rodzina majora rozjechali się w różne strony świata i sprawa ucichła. Tadeusz Kryskarski w książce „Straty korpusu oficerskiego 1939-1945“ wydanej w Londynie, śmiercią majora obciąża lewicową partyzantkę, co w świetle powyższych rozważań opartych na oświadczeniach osób z kręgu znajomych Szoslanda, nie wydaje się prawdopodobne. Nie jest możliwe, aby dokonali tego Niemcy. Pozostaje tylko sugestia wysuwana przez autorów oświadczeń, że dokonano mordu z zemsty, lub z powodu nieznanych bliżej rozliczeń majątkowych. Być może Szosland znał niektóre ciemne sprawy i w ten sposób zamknięto mu usta.

Kazimierz Szosland nie figuruje w wykazach członków Armii Krajowej, choć bez wątpienia pełnił w Obwodzie „Bażant“ AK ważną funkcję. Jak oświadczają żyjący uczestnicy konspiracji AK-owskiej w Grodzisku, był on skarbnikiem Obwodu i do jego głównych zadań należało przekazywanie wspomnianych na początku „gwoździ“ do wyższych instancji Państwa Podziemnego w Warszawie. Szosland cieszył się nienaganną opinią i powszechnym szacunkiem współtowarzyszy walki. Jakakolwiek próba sprzeniewierzenia przez niego majątku pochodzącego ze zrzutów, nie była możliwa. Tak zgodnie mówią ci, którzy go znali w owym czasie. Mało się udzielał towarzysko, a najbliżsi jego znajomi to rodzina dr Mateusza Chełmońskiego i właściciele majątków w Musulach i Radoniach - Józef Łażniewski i Jan Chrzanowski. Oni to dwaj, następnego dnia po śmierci czyli 20 kwietnia 1944 roku złożyli informację o tym fakcie w grodziskim Urzędzie Stanu Cywilnego. Źródła najczęściej podają mylną datę śmierci przesuwając ją o jeden dzień do przodu. Major został zabity o godzinie 1.00 w nocy 19 kwietnia 1944 roku. Ci, którzy go pamiętają mówią, że chodził ubrany zgodnie z ówczesnie panującą modą, ale i ze swoimi zamiłowaniem - w buty z cholewami i siwe bryczesy od jazdy konnej - wszak był kawalerzystą. W czasie wojny strój ten uchodził w każdych okolicznościach.

* * *

Kazimierz Szoslnad urodził się w miejscowości Grzymaczew, gdzieś koło Sieradza. Przyszedł na świat 21 lutego 1891 roku, a jego rodzicami byli Stanisław i Kazimiera z Białobrzeskich Szoslandowie. W czerwcu 1911 roku ukończył Szkołę Handlową w Kaliszu, następnie wstąpił na Wydział Budowy Maszyn Politechniki Lwowskiej. Po sześciu semestrach przerwała mu naukę wojna - 14 stycznia 1915 r. został powołany do armii. Wprawdzie studiował w zaborze austriackim, ale był poddany rosyjskim, służbę odbywał więc w armii carskiej. W 1918 roku ochotniczo wstąpił do 3. szwadronu 2. pułku Ułanów Grochowskich im. gen. Józefa Dwernickiego. Dalsza jego służba wojskowa związana była właśnie z pułkiem „Białych Ułanów“ (nosili białe otoki na czapkach) aż do 1939 roku. Odbył kampanię ukraińską i uczestniczył w wojnie z bolszewikami. Za udział w walkach został odznaczony Krzyżem Walecznych. W 1919 roku podjął naukę w Warszawskiej Szkole Podchorążych, a potem w przemyskim Centrum Szkolenia Podchorążych Kawalerii.

Od samego początku zdradzał zamiłowanie do sportów konnych. Kiedy nastał pokój, jego zainteresowania znalazły praktyczne odbicie w życiu pułku. „2 p. uł. miał ugruntowaną pozycję w sportach konnych. Konkursy wewnątrzpułkowe służyły i do wyłaniania reprezentacji na Militari (mistrzostwa Brygady) oraz Militari Armii (mistrzostwa Wojska Polskiego), a najlepsi startowali poza granicami Polski. Grunt pod przyszłe



fol. M. Cabanowski

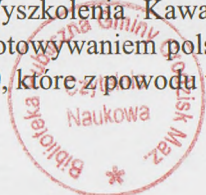
Grób Kazimierza Szoslanda w Grodzisku Maz.

sukcesy przygotował por. Leon Kon, natomiast jako pierwszy zasłynął por. Kazimierz Szosland...“ - pisze Adam Dobroński w historii 2. pułku ułanów. W czasach pokojowych odnosił w sporcie konnym ogromne sukcesy, prowadząc - przynajmniej w pierwszych latach powojennych - zajęcia instruktażowe. W tymże pułku poznał por. Mieczysława Cabanowskiego, z którym utrzymywał przez kilkanaście lat koleżeńskie stosunki.

Wśród kawalerzystów wysoki wzrost i ciężka sylwetka nie były cechami pożądanymi. Kazimierz Szosland liczył 172 cm wzrostu i ważył 71 kg. Lubiany był przez kolegów pułkowych i cieszył się ich szacunkiem. Jak głosi opracowanie Muzeum Łowiectwa i Jeździectwa Szosland prowadził sportowy tryb życia - wcześniej kładł się spać i wcześniej wstawał. Nie pił, rzadko uczestniczył w towarzyskich spotkaniach, ale bawił się dobrze. Dzięki tym cechom charakteru darzony był zaufaniem przez kolegów do tego stopnia, że koledzy w pułku odstępowali mu swoje konie do zawodów i konkursów.

Sukcesy sportowe Kazimierza Szoslanda - bardzo liczne - streścić można następująco: przygotowany do wielkich zawodów przez swojego pułkowego kolegę został przez niego włączony w 1923 roku do grupy olimpijskiej. Wystartował z polską ekipą w olimpiadzie w Paryżu w konkurencji Wszechstronny Konkurs Konia Sportowego zajmując indywidualnie 23 miejsce i drużynowo 7 miejsce. W konkursie skoków indywidualnych zajął na tej olimpiadzie 32 miejsce, a w takim samym konkursie drużynowo szóste. Cztery lata później w Amsterdamie sukcesy były znaczniejsze, albowiem w konkursie skoków indywidualnie zajął Szosland 13 miejsce, zaś drugie (srebrny medal) w drużynowym. Dosiadał wtedy konia „Ali“. Między olimpiadami zwyciężał wraz z kolegami w Pucharze Narodów w Nicei (1925) i rok później w takich samych zawodach w Nowym Jorku. W 1927 roku w zawodach o Puchar Narodów w Warszawie znowu zwycięża i w tym samym roku zdobywa Grand Prix w Nicei.

Doceniany przez zwierzchników i kolegów zostaje komendantem Grupy Sportu Konnego w Centrum Wyszkolenia Kawalerii w Grudziądzu - zajmował się tam m.in. przygotowaniem polskiej ekipy jeźdźców na igrzyska olimpijskie w 1940, które z powodu woj-



ny się nie odbyły. Odnosił inne sukcesy, zajmując wiele pierwszych miejsc w najważniejszych zawodach hippicznych na świecie. Został za to uhonorowany indywidualną nagrodą Prezydenta RP oraz Polską Odznaką Jeździecką.

W 1939 roku, po wybuchu wojny, dokonał rzeczy niezwyklej. Przeprowadził mianowicie stado polskich koni sportowych z atakowanego przez Niemców Grudziądza do Ośrodka Zapasowego Mazowieckiej Brygady Kawalerii w Garwolinie.

Znalazł śmierć z ręki skrytobójczej w Grodzisku Mazowieckim. Wokół okoliczności tego mordu panuje zмова milczenia. Wymieniane są nazwiska podejrzanych, półgębkiem, na ucho i bez prawa do publikowania. Żyją w Grodzisku rodziny, z których mogli ewentualnie pochodzić napastnicy.

BIBLIOGRAFIA:

Archiwa:

1. Muzeum Jeździectwa i Łowiectwa w Warszawie
2. Urząd Stanu Cywilnego w Grodzisku Maz.

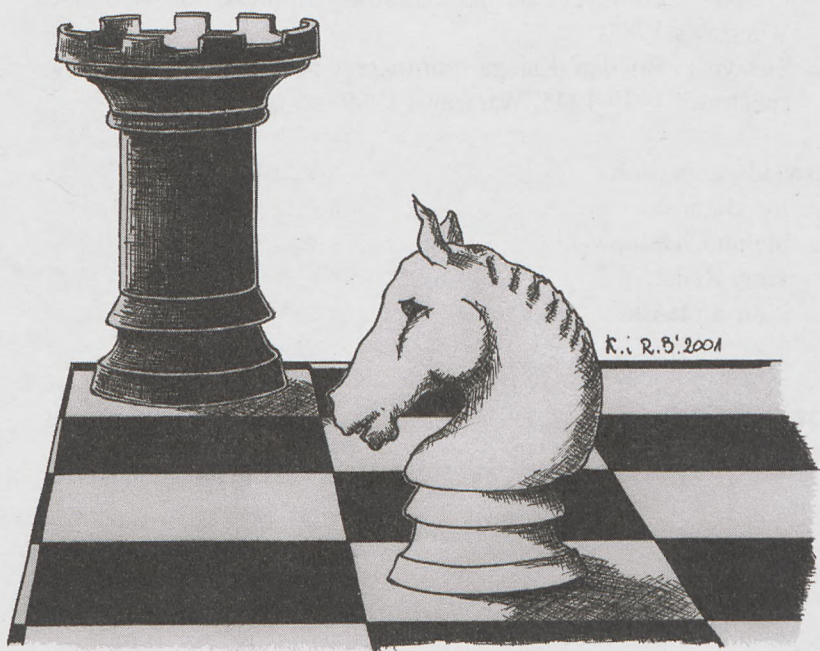
Książki:

1. Chmielewski Ryszard Jerzy, Kowalczyk Jerzy, Sobieraj Janusz, Ośrodek Armii Krajowej „Gąbka“ - „Osa“, Grodzisk Maz. 1991
2. Dobroński Adam, 2 pułk Ułanów Grochowskich im. Gen. Józefa Dwernickiego, Pruszków 1993
3. Królikiewicz Adam mjr, Olimpijska Szarfa, bm, br.
4. Kryski - Karski Tadeusz, Straty Korpusu Oficerskiego 1939-1945, Londyn
5. Pruski Witold, Dzieje Konkursów Hippiicznych w Polsce, Warszawa 1982
6. Tuszyński Bogdan, Księga sportowców polskich ofiar II wojny światowej 1939-1945, Warszawa 1999

Oświadczenia osób:

1. Jan Barański
2. Stefan Chrzanowski
3. Jerzy Redel
4. Piotr Stefański

Mieczysław (Miguel) Najdorf



Pod koniec 1996 roku bawił w Grodzisku Jacek Żemantowski, ówczesny prezes Polskiego Związku Szachowego. Przyciągnęła go do naszego miasta uroczystość wmurowania kamienia węgielnego pod nowoczesną halę sportową i rozgrywana z tej okazji symultana szachowa z udziałem mistrza świata, 12 letniego Kamila Mitonia. Jacek Żemantowski znany był wcześniej jako sprawozdawca sportowy w Telewizji, rozmowa z nim była przyjemnością. Toteż usiedliśmy sobie przy kawie i toczyliśmy pogawędkę o tym i o owym. W pewnym momencie mój rozmówca zapytał: „czy słyszał pan o Mieczysławie Najdorfie? To sławny szachista, mieszkający w Argentynie, który urodził się w Grodzisku.“ Nastawiłem uszu, bo rzecz wydała się interesująca. Powiem więcej: rzecz była wręcz sensacyjna! „Poznałem go podczas swojego pobytu w Buenos Aires w lecie 1977 roku.“ - mówił dalej Żemantowski. „Wyjątkowo miły człowiek. Odbyłem z nim długą rozmowę, grałem nawet w szachy. Najdorf chętnie rozmawia o swojej przeszłości, świetnie mówi po polsku. Interesuje to pana? Mogę panu dać telefon do Argentyńskiego Związku Szachowego, gdzie z pewnością uzyska pan kontaktowy adres do Najdorfa.“ Nim jednak spróbowałem połączyć się ze sławnym szachistą, zacząłem grzebać w aktach stanu cywilnego gminy żydowskiej Grodziska z 1915 roku. Wiedziałem z encyklopedii, że Najdorf urodził się w 1910 roku, ale też znany był mi fakt porządkowania akt stanu cywilnego przez Niemców, którzy w 1915 roku, po ofensywie na Warszawę zajęli Grodzisk. Denerwował ich bałagan w księgach urodzeń,



Wz Inwent.

25845

ślubów i zgonów, zwłaszcza prowadzonych przez rabinaty. Przychodzili więc mieszkańcy Grodziska do urzędnika i w obecności świadków składali oświadczenia, notowane przez Zygmunta Marzewskiego, który pełnił w tamtym czasie ten ważny urząd. Roboty miał masę, bo zaniedbania w tym względzie były wielkie. Często przychodzili rodzice, z przygodnym świadkiem, który z reguły nic nie pamiętał, ale był wymagany przez prawo. Matka hurtem meldowała, tata dłużej w nosie nie wtrącając się w sprawę. „Działo się w Grodzisku dnia dwudziestego dziewiątego grudnia tysiąc dziewięćset piętnastego roku. Stawiła się Rojza Najdorf urodzona Biner lat trzydzieści siedem żona Icka Najdorfa pończosznika lat trzydzieści sześć zamieszkała przy mężu w Grodzisku w towarzystwie męża swego Icka Najdorfa i Icka Holszteina szklarza lat 54 w Grodzisku zamieszkałego i oświadczyła, że dnia piętnastego listopada tysiąc dziewięćset dziewiątego roku urodziła chłopca któremu dano imię Izrael Berek. Akt ten zeznającej i świadkom przeczytany i przez nas za niepiśmiennych podpisany.“

Rodzice rejestrowali więc swoje liczne dziatki, a ich ustalenia co do dat wyglądały tak: ojciec – Icek urodził się 15 stycznia. Matka – nie, 20 lutego. Ja wiem lepiej, wtedy spadł ten wielki śnieg, co nie było widać zza zasp wieży kościelnej. Matka – nie, ten śnieg spadł w maju. Ojciec – głupia, śnieg w maju nie pada. Matka – wtedy spadł. – Ojciec – to niech będzie, że Icek urodził się 25 stycznia. Matka – pewno, przecie nie będę się kłóciła o głupią zaspę. Icek pewno urodził się w grudniu roku poprzedniego, ale jakie to miało znaczenie?

Wyposażony w wiedzę encyklopedyczną i kopię dokumentu z księgi Urzędu Stanu Cywilnego wysłałem faks do Federacji Argentyna de Ajedres i otrzymałem dwa numery faksu - jeden do biura, drugi do domu Mieczysława Najdorfa. Ponadto poinformowano mnie, że „aktualnie p. Najdorf przebywa na letnich (styczeń 1997r.) wakacjach w Punta del Este w Urugwaju i wróci do Buenos Aires w marcu. Proponuje się faks do sekretarki, która ma z nim kontakt co tydzień“. Dwa moje faksy - po polsku i po angielsku pozostały jednak bez odpowiedzi. Minęły ze dwa tygodnie i moje zniecierpliwienie powoli przechodziło w zapomnienie, kiedy 7 lutego 1997 roku o dziewiątej

33

lat pięćdziesiąt i sześć w Ewodrinie razem z
 w ławarystwie świadków Gena Nejdorfa
 panosznika lat 36 i innych jego Rójm Nejdorf
 wiodłonei Biner lat 37 obojga w Ewodrinie ra-
 mierniactw i przedstawili Driewerow lat Drie-
 nigi, uznając że ławowa wiodrinda się dnia
 trzeciego Października tydzień diewięćset pięć
 tego wsta że słubnie jego imię, sławy, Sany, wie-
 dronei Najburg lat czterdzięci i sześć mając
 Porcedawo na imię Estera Małta. - Akt ten po-
 pisywany podpisanym został. -

Urządnik Stawu Cywilnego /s/ dygnunt. Marcewicz:
 Urząd: St. Cywil. Jan Kojf

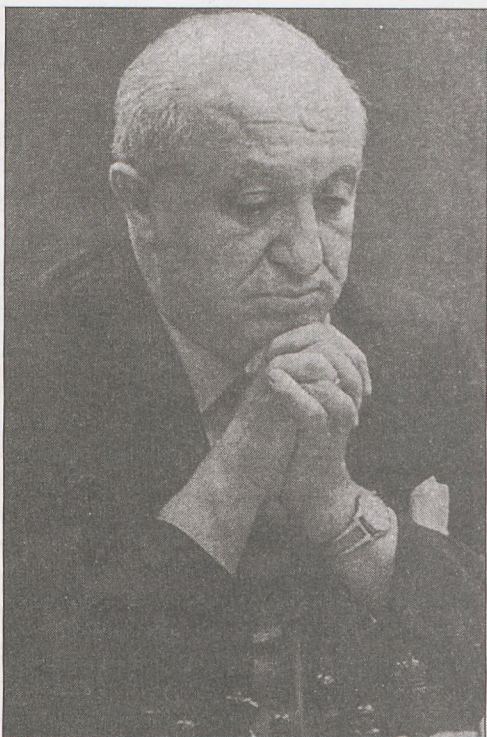
34

Ziada się w Ewodrinie dnia dwudziestego Drie-
 wiekiego Października tydzień diewięćset pięć
 wsta. - Stawili się Rójm Najdorf w imię Bi-
 ner lat trzydzięci siedem i żona Gena Nejdorfa
 panosznika lat trzydziestu sześciu i żona
 przy mężu w Ewodrinie w ławarystwie imię swej
 Gena Nejdorfa i Gena Holcsteina wstawił lat
 54 w Ewodrinie razem z dawego i świadków z dnia
 pięćdziesiątego Października tydzień diewięćset Drie-
 wiekiego wsta wiodrinda chłopca Włosem dawo
 imię Szwab Beren. - Akt ten uznający i wsta-
 nam popisywany i pisany na niepisanych
 mych podpisanym. -

Urządnik Stawu Cywilnego /s/ dygnunt. Marcewicz:

Urząd: St. Cyw. Jan Kojf

wieczorem zadzwonił mój telefon. Oto stenogram rozmowy: „Czy to pan Cabanowski? Tu mówi Najdorf. Jak się pan ma?“ Poziom adrenaliny podskoczył mi w żyłach gwałtownie. „Dostałem pana faks, cieszę się, że pan pisze o mnie. Z tego aktu nic się nie zgadza. Urodziłem się 15 kwietnia 1910 roku. Nadali mi wówczas imię Mendel. Mój ojciec miał na imię Gedali - gorączkowo notowałem na kawałku papieru, mam go do dzisiaj - a mama była Rojza Rosklein.“ Czy przez „s“, czy przez „z“ - spytałem? „Przez „s“, oczywiście. Mama pochodziła spod



Miguel Najdorf (fot. A.P. Życie Warszwy)

Płocka. Mój dziadek sprzedawał mięso“. To ostatnie stwierdził tonem, jakby chciał oznajmić, że dziadek miał kopalnię złota na Alasce! „Dziadek miał czterech synów. Wszyscy zginęli w getcie. Nie mam zupełnie nikogo. Ja uratowałem się cudem. Jak pan napisze, niech pan mi to pokaże.“ Ale - mówię - co mam zrobić z dokumentem z Urzędu Stanu Cywilnego? „Nie wiem, to nie moje dokumenty“. Inne źródła podają - usiłuję podtrzymać kontakt - że urodził się pan w Warszawie. „To nie prawda. Pochodzę z Grodziska. Pamiętam Grodzisk“. Na końcu spotkał mnie cios, którego się nie spodziewałem: „czy gra pan w szachy?“ Gram, odparłem, ale po amatorsku. „To szkoda. Ale może kiedyś zagramy?“ I na tym rozmowa się zakończyła. 8 lipca ukazał się artykuł o Najdorfie w „Życiu Warszawy“. 12 lipca podob-

ny w treści artykuł wydrukowała „Gazeta Wyborcza“. Wcześniej, bo 9 lipca wspomnienie o Mieczysławie Najdorfie można było znaleźć w dodatku do „Gazety Wyborczej“ pt. „Gazeta Stołeczna“. 2 sierpnia obszernie wspomnienia Jacka Żemantowskiego zamieściła na ten sam temat „Polityka“. Do tego artykułu nawiązały 16 września 1997 roku moskiewskie „Izwestia“. Mieczysław Najdorf zmarł w nocy z 4 na 5 lipca 1997 roku w hiszpańskiej Maladze. Przez całe życie reprezentował Polskę i polskość. Nigdy też nie wypierał się swoich żydowskich korzeni: „Nie, nie, ja nie wstydzę się ani nie ukrywam swojego pochodzenia. Kiedy przyznawano mi w 1944 r. obywatelstwo Argentyny, poprosiłem, żeby imię zmienić na Miguel. Ale Najdorf to Najdorf. To już była firma. I firma ojca na Nalewkach, i firma szachowa, i moje wyniki, moje medale“ – mówił Najdorf w rozmowie z Jackiem Żemantowskim. Ten sam Jacek Żemantowski przytoczył mi zabawną anegdotę, opowiedzianą przez Najdorfa, zamieszczaną później w cytowanej już powyżej „Polityce“:

– Pewnego dnia otrzymałem telegram z Nowego Jorku. Samuel Reshevsky, też Polak z pochodzenia, mistrz USA i całej Ameryki Północnej, wzywał mnie na pojedynek o tytuł mistrza obu Ameryk. Poleciałem samolotem. Po wylądowaniu, w drodze do stacji metra, dostrzegłem w trafikę polską gazetę! Natychmiast ją kupiłem. Łaknąłem pisanego polskiego języka, mimo iż w Argentynie miałem stałe kontakty z Polakami, byłem w wielkiej przyjaźni z Witoldem Gombrowiczem, który czas między pisaniem „Transatlantyka“ i „Dzienników“ chętnie spędzał nad szachami, bawił nas swoim wspaniałym humorem artysta Kazimierz Krukowski, popularny Lopek, rewelacyjny opowiadacz szmoncesów. Ale gazety po polsku dawno nie miałem w rękach. Co piszą? Może coś o mojej rodzinie? Może odnajdę jakiś ślad?

Kiedy siedząc już w wagonie metra otworzyłem gazetę, dostrzegłem, że facet siedzący obok mnie czyta taki sam egzemplarz. Popatrzyłem na niego badawczo, coś we mnie drgnęło, trąciłem go łokciem:

– O przepraszam! Pan z Polski?

– Byłem z Polski. Mojej Polski już nie ma. Nie ma matki, nie

ma braci...

– A jeśli wolno zapytać, to pan z jakiej okolicy?

– Ja z okolicy Grodzisk Mazowiecki.

– Co? To niemożliwe. Moja mama i wszystkie ciotki, i stryj, byli też z Grodziska. A jak pan się nazywa?

– Bernstein. Kuba Bernstein.

– Mój Boże. Moja mama też była Bernstein! Kochany! To jednak jest nas przynajmniej dwóch! A pomyśl, co by było, gdybym kupił inną gazetę?“

Spytałem jedną starą panią, która zawsze podkreślała swoje liczne towarzyskie koneksje z grodziskimi Żydami, czy może pamięta Najdorfa. Odparła, że chociaż także urodziła się w 1910 roku, to Najdorf zapewne już w dzieciństwie przeniósł się do Warszawy, skoro jego rodzice mieli sklep na Nalewkach, a takich dziesięcioletnich smarkaczy, to ona nie pamięta. Otóż może jego rówieśnicy istotnie byli smarkaczami. Najdorf jednak w wieku 10 lat objawiał niezwykle talent szachowy, brał udział w zawodach i to całkiem poważnych. Stefan Gawlikowski w „Gazecie Stołecznej“ pisze o Najdorfie: „Ojciec, który zajmował się handlem skórami, chciał, aby przejął rodzinną firmę eksport-import. Jednak dziewięcioletni Mosze nauczył się przypadkowo grać w szachy od ojca swego kolegi Rubena Fridelbauma. W rodzinnym gronie już wkrótce nikt nie mógł dorównać Moszemu więc chłopak zaczął przesiadywać w kawiarniach szachowych. Najpierw był to maleńki lokalik na Nalewkach, potem - wraz ze wzrostem umiejętności - słynne lokale Lemańskiego i Kwiecińskiego na Marszałkowskiej“. Śledził Najdorf uważnie sukcesy polskich szachistów na arenach międzynarodowych i próbował „doszlusować“ do czołówki. W 1920 roku polscy szachiści Dawid Przepiórka (1880-1940) i Ksawery Tartakower (1887-1956) zdobyli w Hamburgu złoty medal, zaś w 1935 roku Najdorf pokonał Tartakowera. W 1931 wywalczył tytuł wicemistrza Warszawy, a w 1935 roku mistrza. Mistrzostwo Warszawy było już paszportem do największych aren międzynarodowych. Na olimpiadach szachowych bronił barw Polski do 1939 roku. Zdobył złoty medal w 1939 roku w Buenos Aires i brązowy medal w 1936 roku w Monachium. Ponadto w Warszawie w 1935 r.

i w Sztokholmie w 1937 r. zdobył brązowe medale w drużynie i srebrne drużynowe w Monachium w 1936 i Buenos Aires w 1939 r. Potem startował na olimpiadach i większych zawodach w barwach Argentyny, albowiem wojna zastała go w trakcie trwania turnieju olimpijskiego w Argentynie. Tam już pozostał. Uchroniło go więc od niechybnej śmierci zrządzenie losu, a ściślej szachy, od losu całej jego rodziny. W barwach swojej nowej ojczyzny zdobywał następne trofea:

Dubrownik – Złoty medal na 1 szachownicy w 1950 r.

Helsinki – Złoty medal na 1 szachownicy w 1952 r.

Warna – Srebrny medal na 1 szachownicy w 1962 r.

Dubrownik – Srebrny medal w drużynie w 1950 r.

Helsinki – Srebrny medal w drużynie w 1952 r.

Amsterdam – Srebrny medal w drużynie w 1954 r.

Warna – Brązowy medal w drużynie w 1962 r.

Był rekordzistą, jeśli chodzi o grę na wielu szachownicach jednocześnie czyli w symultanach. W Sao Paulo w styczniu 1947 roku na 45 szachownicach, a w tym samym Sao Paulo w 1950 roku grał aż na 250 szachownicach jednocześnie osiągając wynik $+226=14-10$. Szachista Andrzej Sitek grał po wojnie z Najdorfem w symultanie Warszawskiej i nawet z nim wygrał. Andrzej Sitek relacjonuje swoje spotkanie z Najdorfem: „W symultanie warszawskiej grałem wariant Najdorfa z... Najdorfem. To nie ja obaliłem wariant arcymistrza – to arcymistrz pomylił się we własnym wariacie i przegrał. Stracił figurę, a potem jeszcze oddał drugą figurę za atak, którego już nie było. Odniosłem wrażenie, że hołduje zasadzie: gwardia ginie, ale nie podaje się.“

Prócz gry w szachy, która to dyscyplina przynosiła Najdorfowi nieprzeliczone sukcesy, podobne powodzenie osiągnął w interesach. Zajmował się mianowicie biznesem w branży ubezpieczeniowej stając się po wojnie jednym z najzamożniejszych Argentyńczyków. Jego wieżowiec w Buenos Aires należy w tym mieście do najokazalszych.

W zagładzie Żydów polskich śmierć z rąk niemieckich poniosła cała rodzina arcymistrza, w tym także żona i maleńka córeczka. In-

na córka, już urodzona w Argentynie, przyjechała do Grodziska rok po śmierci Najdorfa wypełniając w ten sposób jego testament. Niestety, prócz rozmowy ze mną i zwiedzeniu Grodziska nic więcej pokazać jej nie można było. Nikt już nie pamięta, gdzie mieszkali Najdorfowie, a na kirkucie wśród ocalałych macew nagrobka Najdorfów nie znaleziono.

BIBLIOGRAFIA:

1. Mała Encyklopedia Sportu t.1 i t.2, Warszawa 1984 i 1987r.
2. Polityka nr 31 2 sierpnia 1997r.
3. „Gazeta Wyborcza“ 12-13 lipca 1997
4. „Życie Warszawy“ 8 lipca 1997
5. „Gazeta Wyborcza“ 9 lipca 1997r.
6. „Izwestia“ 16 września 1997r.
7. Rozmowa z Mieczysławem Najdorfem w dniu 2 lutego 1997r.
8. Rozmowa z Jackiem Żemantowskim w 1996r.
9. Akta Urzędu Stanu Cywilnego w Grodzisku Mazowieckim

Leonid Teliga



Podjechaliśmy z Rafałem Lewandowiczem na koniec ulicy Poniatowskiego, kawałek za główny wjazd do Polfy, aby przyjrzeć się miejscu, gdzie mieszkał ongiś Leonid Teliga. Rafał - wydawca, dziennikarz i fotograf w jednej osobie - miał uwiecznić na kliszy fotograficznej mieszkanie sławnego żeglarza, jeśli oczywiście udałoby się je umiejscowić. Dwa stare bloki, postawione być może jeszcze przed pierwszą wojną światową, są w całkiem niezłym stanie i mieszka w obu kilkanaście rodzin. Liczyłem na to, że może choć jedna osoba pamięta jeszcze Teligę i jego rodzinę. W pierwszych ciepłych promieniach słońca tej wiosny wygrzewało się przed blokiem kilka starszych kobiet. Uprzejmie wyłuszczyłem swój problem pierwszej z brzegu, siedzącej na taboreciku pani.

- Oczywiście, że wiem, gdzie mieszkał Teliga - odparła wcale nie zaskoczona mieszkanka bloku. - o, w tych dwóch oknach na pierwszym piętrze sąsiedniego budynku. - Był to skrajny blok, rozpoczynający numerację ulicy Traugutta. Następny, ten przy którym prowadziłem rozmowę, stanowił początek ulicy Poniatowskiego.

- Ale - kontynuowała kobieta - nikt już nie żyje ze współmieszkańców Teligi. Ostatni zmarł kilka lat temu - stwierdziła z żalem.

Dwa należące do Polfy bloki, stoją tuż przy torach kolejowych. Od strony zachodniej zaczyna się fabryka, zwana kiedyś Octówką. Od wschodu obszar dostępny mieszkańcom bloków ograniczała droga do Błonia, przecinająca tutaj torowisko, wówczas brukowana kocimi łbami. Po drugiej stronie ulicy Poniatowskiego stał przed wojną dom, który zamienił się w czasie okupacji niemieckiej w mleczarnię, istnie-



Dom Leonida Teligi

Fot. Rafał Lewandowicz

jąca z resztą do dzisiaj. Nie wiele więc miały przestrzeni dzieci z owych bloków, do zabaw i swawoli. Wprawdzie za mleczarnią rozciągały się po horyzont łąki, dające nazwę tej dzielnicy Grodziska, ale „prawdziwe życie“ zaczynało się po tamtej stronie toru. Właściwie jest tak i teraz, kiedy Łąki są konsekwentnie zabudowywane coraz to nowymi fabrykami, a prawdziwe życie kwitnie na południe od kolei, stanowiącej swoistą barierę fizyczną i psychologiczną. Pani Eugenia Deminet która mieszkała kiedyś w blokach Octówki mówi: „W jednym z bloków mieszkali rzemieślnicy zatrudnieni w fabryce, w drugim średnia kadra kierownicza, a w tzw. „pałacyku“ dyrekcja. Rodzina Teligi mieszkała w tym środkowym, czyli przeznaczonym dla ludzi o wyższym statusie społecznym. Rodzice opowiadali mi, że Leonid Teliga był wartościowym, młodzieńcem, interesującym się podróżami i literaturą. Wyróżniał się korzystnie z otoczenia.“

Niewiele zostało w pamięci mieszkańców z tamtych czasów. Była wojna, potem nielekke czasy komunizmu, dopiero kiedy Leonid Teliga dokonał swojego wiekopomnego czynu przypominano sobie, że prawie dwadzieścia lat spędził w Grodzisku. Tutaj przebiegała je-

go młodość, górna i chmurna, tutaj kształtował się jego charakter i pogląd na świat. Dopiero jego pionierska podróż uświadomiła grodziszczanom, kto żył między nimi. Postanowiono więc uczcić sławnego żeglarza i nadano jego imię jednej z ulic w blokowisku w dawnych Jordanowicach, niesłusznie nazwanych dzisiaj osiedlem Kopernika. Wije się ta ulica wśród szarych beznadziejnie domów, prowadzi z nikąd do nikąd, jakby Teliga nie wiedział gdzie zacznie się jego niezwykła podróż i gdzie zakończy... Nadano też imię Leonida Teligi szkole podstawowej nr 5 w Grodzisku Mazowieckim przy ulicy Lecha Zondka, podzielonej teraz na pół przez nowo powołane gimnazjum w tym samym budynku.

„W Grodzisku mieszkaliśmy w fabrycznym domu przy ulicy Traugutta 1 m 4. Początkowo wszystko było obce. Cudze meble, nieznanymi ludźmi, my odmienni z naleciałościami akcentowymi, inaczej ubrani niż mieszkańcy okolicznych domów fabrycznych. Chwilowy azyl stał się naszym domem na lat siedemnaście. Dla matki, a nawet dla mnie, wrastanie w nowe otoczenie nie odbywało się bezboleśnie. Czekaliśmy na powrót ojca z wojny, i nie doczekaliśmy się - inaczej ułożył sobie życie. Leonid był zbyt mały, aby to odczuć. Po prostu rósł w nowych warunkach i przyjmował świat, jaki go otaczał, za jedyny możliwy. Ograniczał się on początkowo do ogródka przed domem, później rozszerzył się na teren nieczynnej fabryki, który przez parę lat był placem naszych zabaw i pastwiskiem dla kóz.

Kozy hodowały wszystkie rodziny i do obowiązków dzieci należał ich wypas. Nasza koza była naszą dumą - spełniając ważną funkcję aprowizacyjną zastępowała psa ze wszystkimi walorami wierności, posłuszeństwa i psich figli“ - tak opisywał otoczenie domu przy ulicy Traugutta starszy brat Leonida Teligi Stanisław, autor opracowania tekstu i wstępu do pamiętników sławnego żeglarza pt. „Samotny Rejs »Opty«”. Za fabryką płynie rzeka Mrowna. Przez długie lata za truta chemikaliami z Polfy, wcześniej garbarni i wielu innych małych fabryczek i zakładów rzemieślniczych, dzisiaj powoli wraca do życia. Za moich dziecinnych czasów pływały w Mrownie rybki, a dzieci w lecie zażywały w niej kąpeli bez szkody dla zdrowia. Natomiast za mleczarnią, czyli na południe od bloków fabrycznych zaczynały się

głębokie stawy - pozostałość po wydobywanej glinie. Są one głębokie, zdradzieckie, z zimnymi prądami i o bardzo złej sławie. Woda ta ciągnie jednak, wbrew zakazom rodziców, wbrew zdrowemu rozsądkowi. „Glinki“ - bo tak nazywają grodziszczanie te stawy, są do czasów obecnych miejscem zabaw i letniego wypoczynku młodzieży. Wojciech Żukrowski, z którym Leonid Teliga przyjaźnił się w czasach młodości tak opisuje tamte czasy:

„Kapitan Leonid Teliga stał się dla młodych symbolem hartu, uporu i wielkiej sprawności fizycznej, w jego wyprawie jest tchnienie romantycznej przygody. Tysiące naszych chłopaków, którzy kajakiem, na wiosłach opływają staw, myślą, że są przyszlými zwycięzcami fal morskich i wichury. Ci, którzy pierwszy raz stawiają żagiel, widzą jak powiew go wydyma, już chcieliby wyruszyć na daleką wyprawę. Teliga to wspaniała karta polskiego żeglarstwa. Jego postać urasta do mitu, budzi podziw i szacunek. Kapitan Teliga...

A dla mnie, to po prostu Lolek, kolega z ławy szkolnej. Razem chodziliśmy do gimnazjum w Pruszkowie pod Warszawą. Dojeżdżało się koleją, on z Grodziska, ja z Milanówka... To był dobry kumpel. Pociąg sunął przez sosnowy las, dym mieszał się z zapachem igliwia. Zdarzało się nieraz, zwłaszcza gdy słończko wiosną przygrzało, żeśmy wymykali się na wagary, szli nad glinianki, żeby popływać spieć się na raka w puszystej, młodej trawie.

Lolek lubił sport i ryzyko. Nieraz nurkowaliśmy, schodząc na dno, gdzie woda była zimna i czarna. Na dowód, żeśmy aż i tam dotarli, trzeba było w zaciśniętej garści pokazać tłusty muł, a głębia dławiała, gdy się wzlatywało ku rozświetlonej powierzchni, woda wymywała go spomiędzy palców... Jeździliśmy na rowerach do Lasów Mszczonowskich, podpatrywać sarny, słuchać głosu ptaków. Czuliśmy się odkrywcami i Robinsonami. Okoliczne stawy były więc terenem zakazanych zabaw, ale tam też uczyliśmy się pływać, przeżywaliśmy ryzykowne przygody.” „Jak i kiedy nauczyliśmy się pływać, kroniki nie notują. Wiadomo było, że brodząc początkowo po rzeczce, później szło się na »ośtówkę« - niewielki staw obrośnięty tatarakiem i po okresie podpierania się rękami wy pływało się na głębszą wodę.

Następnym etapem było złamanie zakazów i tajemne wyprawy na »glinki«. Głębokie i szerokie, cieszące się złą sławą i napawające lękiem matkę, która jednak musiała się pogodzić z naszą coraz większą samodzielnością, bo i czasu nie miała, by ciągle nas pilnować, i, w swej naiwności liczyła, że Lolek ma dostatecznie pewną opiekę ze strony starszego brata” (Stanisław Teliga).

Tenże starszy brat, Stanisław, opisuje w cytowanym tu wstępie do „Samotnego rejsu »Opty«” czasy grodziskie Leonida Teligi – niestety dosyć skąpo. Jest to właściwie jedyne źródło informacji, poza nielicznymi wspomnieniami osób, przeważnie też „z drugiej ręki”. Wspomina Stanisław łyżwiarskie wyprawy pod Milanówek.

„Bezwzględne prawa gromady, jak w Kiplingowskiej dżungli, prowadziły przez coraz nowe wtajemniczenia. Polowania na szczury, zimowe wyprawy na drewnianych łyżwach podbitych drutem - oczywiście własnej roboty, bieganie po zamrzniętych zalewowych łakach między Grodziskiem a Milanówkiem, tam, gdzie teraz stoją całe osiedla i niewielu pamięta bagienną przeszłość tych terenów.”

Istotnie, między Grodziskiem i Milanówkiem ciągnęły się ogromne łąki, bagniste i dzikie, każdej jesieni zalewane wodą. Nawet przedwojenne plany zagospodarowania przestrzennego nazywały ten obszar niezdrowym i malarycznym i odradzały stawianie tam jakichkolwiek domów mieszkalnych. Do rozbudowy miasta przeznaczano zdrowe, piaszczyste tereny położone na południe od centrum. Łąki ciągnące się już od ulicy Orzeszkowej, zamarzały zimą, dając amatorom samotnych wypraw łyżwiarskich wielkie możliwości. Sam w dzieciństwie z tych możliwości korzystałem. Opisuje też Stanisław wspólne z bratem wyprawy na miejskie targowisko obejmujące okolice kościoła i obecny plac Wolności. W każdą środę i trochę skromniej w piątki, zjeżdżały tam furmanki wiejskie i cała szeroko pojęta „Ziemia Grodziska“ handlowała tam produktami rolnymi, zwierzętami i - jak to się dzisiaj mówi - AGD, czyli artykułami gospodarstwa domowego: kubły, doniczki, garnki, oraz wszelka tzw. tandeta. Przychodzili tam wszyscy mieszkańcy Grodziska. Bracia Teligowie także, głównie po włosie końskie na wędki.

Oprócz ucieczek na zakazane glinki, lodowych wycieczek pod Milanówek i śródowych wizyt na targowisku do licznych zabaw po-

Imię i nazwisko	Data i miejsce urodzenia, religia (wyznanie)	Imię i nazwisko, zajęcie i adres rodziców (opiekuna)	Uczeń (uczennica) mieszka
Leonid Feliga	Urodzony(a) dnia <u>15/12 1916</u> w <u>Włajnie</u> powiat <u>(Kozja)</u> religji (wyznania) <u>rn. katolickiej</u>	Ojciec, (matka, opiekun) <u>Leokadia i Zdzisław z synów</u> <u>Leokadia</u> w <u>Grodzisku</u> <u>ul. Słowackiego 11</u> <u>ul. Słowackiego</u> <u>dom fabryki maszynowej</u>	u <u>matki</u> w ulica

W klasie rok I, wpisany(a) na podstawie promocji

Przedmioty:	O K R E S Y			
	I	II	III	IV
religja	<u>dobry</u>	<u>dobry</u>	<u>dostateczny</u>	<u>dobry</u>
język polski	<u>niedostateczny</u>	<u>niedostateczny</u>	<u>dostateczny</u>	<u>dostateczny</u>
język łaciński	<u>---</u>	<u>---</u>	<u>dostateczny</u>	<u>dostateczny</u>
język grecki	<u>---</u>	<u>---</u>	<u>---</u>	<u>---</u>
kultura klasyczna	<u>---</u>	<u>---</u>	<u>---</u>	<u>---</u>
język <u>niemiecki</u>	<u>niedostateczny</u>	<u>niedostateczny</u>	<u>dostateczny</u>	<u>dostateczny</u>
język	<u>---</u>	<u>---</u>	<u>---</u>	<u>---</u>
historja	<u>dobry</u>	<u>dobry</u>	<u>dobry</u>	<u>dobry</u>
geografia	<u>---</u>	<u>---</u>	<u>---</u>	<u>---</u>
przyrodznawstwo	<u>---</u>	<u>---</u>	<u>---</u>	<u>---</u>
fizyka	<u>dostateczny</u>	<u>dostateczny</u>	<u>dobry</u>	<u>dobry</u>
chemja	<u>---</u>	<u>---</u>	<u>---</u>	<u>---</u>
matematyka	<u>niedostateczny</u>	<u>dostateczny</u>	<u>dostateczny</u>	<u>dostateczny</u>
propedeutyka filozofji	<u>dobry</u>	<u>bardzo dobry</u>	<u>bardzo dobry</u>	<u>bardzo dobry</u>
hygiena	<u>---</u>	<u>---</u>	<u>---</u>	<u>---</u>
rysunek	<u>---</u>	<u>---</u>	<u>---</u>	<u>---</u>
śpiew i muzyka	<u>---</u>	<u>---</u>	<u>---</u>	<u>---</u>
praca ręczna	<u>---</u>	<u>---</u>	<u>---</u>	<u>---</u>
pismo	<u>---</u>	<u>---</u>	<u>---</u>	<u>---</u>
ćwiczenia cieleśne	<u>bardzo dobry</u>	<u>bardzo dobry</u>	<u>bardzo dobry</u>	<u>bardzo dobry</u>
inżynieria- kowe	<u>---</u>	<u>---</u>	<u>---</u>	<u>---</u>
Sprawowanie się	<u>bardzo dobry</u>	<u>bardzo dobry</u>	<u>bardzo dobry</u>	<u>bardzo dobry</u>
Liczba opuszczonych godzin szkolnych	ogółem nieuspr.	ogółem nieuspr.	ogółem nieuspr.	ogółem nieuspr.
Liczba spóźnień	ogółem nieuspr.	ogółem nieuspr.	ogółem nieuspr.	ogółem nieuspr.
Uwagi:		<u>M. Feliga</u> <u>z fizyki</u> <u>przebiegłemu doko-</u> <u>niec i natężeniu</u> <u>dobry</u> <u>Colb. H.</u>	<u>Do przewidzenia do egzaminu</u> <u>egzaminator</u> <u>Właj. H.</u>	

Nr. kolejny 8

<i>Stanisław Teliga</i>		
urodzon: dnia <i>18/10 maja</i> 19 <i>17</i> r. w <i>Wieliczce</i>		
(powiat <i>Wieliczka</i>), religii (wyznania) <i>katolickiej</i>		
uczeń klasy <i>III B</i>		
otrzymuje stopnie:	Za pierwsze półrocze	Za cały rok szkolny
ze sprawowania się	<i>bardzo dobre</i>	<i>bardzo dobre</i>
z nauki religii	<i>dobry</i>	<i>dobry</i>
" " języka polskiego	<i>nie dostatyczny</i>	<i>do statyczny</i>
" " języka łacińskiego		
" " języka greckiego		
" " kultury klasycznej		
" " języka <i>niemieckiego</i>	<i>nie do statyczny</i>	<i>do statyczny</i>
" " języka		
" " historii	<i>dobry</i>	<i>dobry</i>
" " geografii		
" " przyrodoznawstwa		
" " fizyki	<i>dobry</i>	<i>dobry</i>
" " chemii		
" " matematyki	<i>do statyczny</i>	<i>do statyczny</i>
" " propedeutyki filozofii	<i>bardzo dobry</i>	<i>bardzo dobry</i>
" " higieny		
" " rysunku		
" " śpiewu i muzyki		
" " pracy ręcznej		
" " pisma		
" " ćwiczeń cielesnych	<i>bardzo dobry</i>	<i>bardzo dobry</i>
Z nauki przed- miotów nado- branych i mianowicie:	Z	
	Z	
	Z	
Liczba opuszczonych godzin szkolnych	ogółem nieuspraw.	ogółem nieuspraw.
Liczba spóźnień	ogółem nieuspraw.	ogółem nieuspraw.
Wynik ogólny: <i>do statyczny</i>		
za I półrocze		duplikatu
Daty wydania świadectw: za rok szkolny <i>17.05.1918</i>		odejścia
Uwagi: <i>Do parowania do egzaminu dopuszcz. jest</i>		<i>W. Władysław</i>

została jeszcze pobliska fabryka. Jej tajemnicze piwnice, opuszczone stare urządzenia i konstrukcje ciągnęły małych mieszkańców przyfabrycznych bloków niepomrotnie. Tam przechodzili oni swoiste testy wytrzymałościowe, jak byśmy dzisiaj powiedzieli - szkołę przetrwania. Stanisław Teliga pisze: „Jak to się stało, że nie znając takich zakazów jak dzisiaj nie potopiliśmy się, nie okaleczyliśmy zbyt groźnie mimo całkowitej swobody i minimalnej ingerencji starszych - pozostanie tajemnicą. Chyba że uznamy to za zaletę naturalnego życia i mądrości gromady dziecięcej.“

Leonid Teliga urodził się 28 maja 1917 roku w dalekiej Wiźnie, gdzie w czasie pierwszej wojny światowej i podczas rewolucji bolszewickiej los rzucił jego rodziców. Ojciec Stanisława i Leonida ukończył wydział medyczny na uniwersytecie moskiewskim i natychmiast został zagarnięty przez maszynę wojenną. W 1919 roku matka ze Stanisławem i Leonidem rozpoczęła „drogę przez mękę“ ku wolnej już ojczyźnie i znalazła się w Grodzisku. Leonid miał wtedy dwa latka. Ojciec obu chłopców do ojczyzny już nie dotarł. Minęły pierwsze lata zabaw i dorastania, i zaczęła się szkoła. Ze względu na wysoki poziom wiedzy i przystosowania został Lolek przyjęty od razu do trzeciej klasy szkoły powszechnej. Później wstąpił do Gimnazjum Humanistycznego w Grodzisku. Gimnazjum mieściło się przy ul. 3 Maja. Jednak po roku nauki Leonid Teliga przeniósł się do gimnazjum im. Tomasza Zana w Pruszkowie.

„Dojazdy pociągiem, zaległości w płaceniu czesnego, przerwy w nauce, a do tego wejście w trudny wiek zdecydowały o tym, że Leonid stracił szanse odrobienia zaległości i został na drugi rok w V klasie. Za to wszedł do milanowieckiej »paczki« – zaprzyjaźnił się z Wojciechem Żukrowskim, Crettimi i Kumantami. Przyjaźń ta przetrwała nie tylko późniejszy powrót do gimnazjum w Grodzisku, lecz również długie rozstania dojrzałego życia.“

Ten „trudny wiek“, o którym wspomina Stanisław Teliga, to także dziewczyny, szkolne miłości. Pani Halina Wiśniewska, rówieśniczka Leonida (rocznik 1916) i jego szkolna koleżanka wspomina go jako przystojnego młodzieńca, który mógł mieć powodzenie u dziewczyn, lecz ciągle miał głowę w chmurach, marzył o podróżach

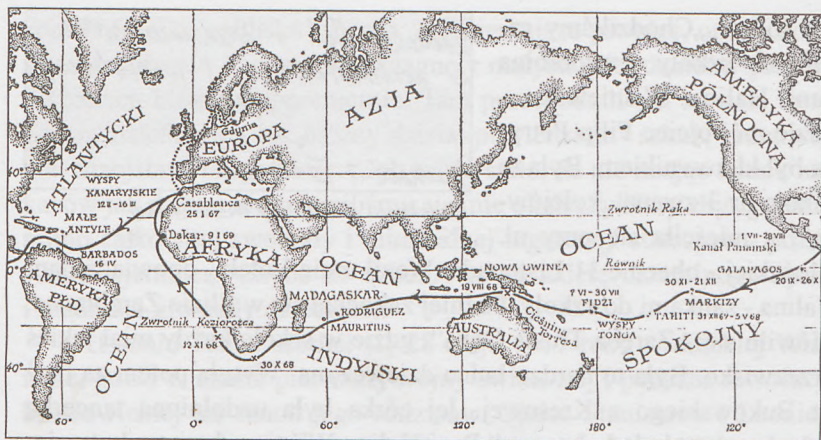
i o łódce. „Chodziliśmy razem do szkoły - wspomina pani Halina Wiśniewska - gdzie mój ojciec Filip Petryna był kierownikiem. Była to szkoła nr 3 zwana „kolejówką“, a mieściła się przy ul.

*Kochanej Hali i Dzieciom wraz
z przeobrażeniami i ucieiskami
Lolek
"opry"*
Warszawa 7 VII 69 - h

Dedykacja dla Haliny Wiśniewskiej

Błońskiej - obecnie 11 Listopada. Woził mnie Lolek - opowiada pani Halina - sankami do szkoły. Później zakochał się w Elizie Zarębiance. Mówiło się: „Zaręba Tłusta Gęba“, gdzie w szkole każdy miał jakieś przezwisko. Była to bardzo ładna dziewczyna. Wyszła potem za mąż za Bukowskiego z Kresowej. Jej córka była uzdolnioną tancerką i skończyła szkołę baletową.“ Pani Halina Wiśniewska, przykuta niemocą do łóżka, w mocno już zaawansowanym wieku, wspomina z rozmarzeniem tamte czasy. Kiedy opowiada, jej oczy uciekają gdzieś do dalekich wspomnień. Zebrała pani Halina ogromną liczbę wycinków prasowych i całych gazet, książek, znaczków pocztowych - wszystko związane z Lolkiem Teligą. „Po niedzielnej mszy dla uczniów - wspomina - szliśmy zwykle gromadką na spacer. Przeważnie na ulicę 3 Maja, często na cmentarz. Lolek kładł zawsze na opuszczonych grobach świeczki i znicze - miał taki obyczaj. Kiedy omawiano jego osiągnięcia sportowe, opatrując je żarcikami, odpowiadał: śmiejecie się, śmiejecie. Jeszcze o mnie usłyszycie. Wpadał czasami do naszego domu i mówił do mnie »całuję cię dookoła«, a nasza służąca komentowała: »Oh! Jaka z was piękna para!«. Niestety - mówi pani Halina - on kochał tylko łódkę!. Był bardzo koleżeński i lubiany - taki brat-łata. Bardzo wczesnie uczył się języków. Znał doskonale język rosyjski, potem uczył się intensywnie angielskiego. Znał ten język z odmianami występującymi na Wyspach. Przekładał potem z tych trudnych języków. Znał później także niemiecki i włoski. Po wojnie bywał naszym częstym gościem na Wilczej w Warszawie i mogę śmiało powiedzieć, że projekty jego łódek powstawały w naszym mieszkaniu.“ Wspomina te „miłości“ także brat Stanisław:

„W tym czasie w jego życiu zjawia się Eliza (zwana Puńką). Lolek zezując na okna miał dom przy Traugutta 1 i wywijając swoją



Trasa podróży dookoła świata Leonida Teligii

i jej teczką wędrował dalej szosą jeszcze z kilometr. Rano wybiegał wcześniej z domu i czekał pod topolą, skąd razem szli do szkoły. Ich wysokie sylwetki znikaly za przejazdem kolejowym. Matka patrzyła z okna z uśmiechem wyrozumienia. Echo tych odprowadzeń podyk-towało wiersz Po latach:

Powróciłem po latach, wieczorem
 I jak obcy spoglądam dokoła,
 I przed domem twoim stoję milcząc,
 Patrzę w okna i ciebie nie wołam.
 Nie pamiętam tych topól przed gankiem
 Ledwie jakieś badyle zielone,
 Drzewa rosną i mierzą me lata
 Twoje lata i moje nieznane.
 Zaplątały się w liściach wspomnienia
 Uciec od nich trudniej niż od ludzi,
 Więc przed domem twoim stoję milcząc
 I nie wołam, by twoich nie zbudzić.

Nawet w Dzienniku »Opty«, gdzieś z Oceanu Indyjskiego, zja-wia się Puńka. Zostały w Lolku te grodziskie nastroje, jak w każdym

pozostają - młodzieńcze uczucia i wspomnienia. Może, jeśli były piękne i dobre, wierność im daje człowiekowi siłę.“

Leonid Teliga był żonaty dwukrotnie. Drugą jego żoną była rzeźbiarka Anna Dębska. Istniała też nić sympatii pomiędzy znaną piosenkarką Anną German i Leonidem Teligą. W ostatnim roku swojego życia prowadził z nią sympatyczną korespondencję.

Inny temat, to szkoła. Wiemy już, że „podstawówkę“ kończył w Grodzisku, potem chodził do gimnazjum humanistycznego, następnie do Zana w Pruszkowie, by wreszcie maturę zdawać w Grodzisku Mazowieckim. Stanisław Teliga w kilku miejscach opisuje szkolne czasy swoje i brata. W „Przeglądzie Sportowym“ z 30 grudnia 1968 r. pisze: „Śledząc przebieg wyprawy Leonida wracam stale myślą do naszych chłopięcych lat, do naszej szkoły i drużyny harcerskiej w Gro-

dzisku Mazowieckim. Atmosfera tego podwarszawskiego miasteczka w owych latach niosła w sobie duży ładunek pozytywizmu. W bibliotece znajdowaliśmy książki takich autorów, jak London, Konrad-Korzeniowski,

później Gerbault. Nasze zamiłowania sportowe kształtował najlepszy wychowawca o jakim w życiu słyszałem, nauczyciel wf Hipolit Szczerkowski. Myślę, że tamte lata wpłynęły bardzo decydująco na osobowość mego młodszego brata.” „Gimnazjum Humanistyczne w Grodzisku mieściło się w dużej willi. Spory ogród z roku na rok zmieniał się w mały, ale zgrabny stadionik. Obwód bieżni wynosił dwieście kilkadziesiąt metrów. Była nawet strzelnica małokalibrowa. Dosłownie wszystko budowali uczniowie pod wodzą »Hipcia«, nauczyciela gimnastyki. Szkoła miała opinię lewicowej. Jej współtwórcą był poseł i później senator PPS – Kopciński. Dyrektorem – J. Mężyk, działacz ludowy i wspaniały historyk. Grono nauczycielskie można scharakteryzować jednym słowem – przyjaciele. Oddani bez reszty swej pracy, marzyli o zbudowaniu nowego gmachu, internatu, o stworzeniu idealnej szkoły ludzi myślących. Młodzież czuła to przez skórę, uczyła się starannie. W dyskusjach pojawiały się aktual-



Znaczek Poczty Polskiej z trasą rejsu Leonida Teligi

ne tematy - bezrobocie, strajki, katastrofy górnicze, polityczne starcia. Obowiązująca lektura, romantycy, Żeromski, podniecała nastroje, które po przewrocie majowym i sprawie brzeskiej, w całym kraju wyraźnie polaryzowały postawy światopoglądowe i polityczne. Właśnie w tym czasie ufundowano sztandar szkoły, który choć haftowany przez zakonnice, nie miał wizerunku świętego.

Następny – 1931 rok – zapowiadał się groźnie. Z ponad 300 uczniów miało pozostać 100. Szkoła, jak byśmy, dziś powiedzieli, była na »gospodarczym rozrachunku«. Brak wpływów groził bankrutem i likwidacją placówki, a na pewno podniesieniem wysokości opłat za naukę. W tej sytuacji matka przeniosła Lolka do Państwowego Gimnazjum im. T. Zana w Pruszkowie. W państwowym gimnazjum nauka kosztowała taniej, ale za to było bardziej urzędowo i srogo. Prowadzono ostrą selekcję nie zawsze tylko ze względu na postępy w nauce. Lolek musiał dojeżdżać pociągiem. Trochę się rozbisurmanił przy tym a dyrektor Ostrowski uznał, że w ogóle jest za młody i należy go zostawić na drugi rok. Widząc, że wysiłki odrobienia zaległości w nauce nie mają szans powodzenia machnął ręką na wszystko, prócz wiosny, pływania i nowej paczki kolegów z Milanówka Crettich, Kumantów, Bataszew, Umańca i Żukrowskiego. Wszyscy usiłowali dorównać Armandowi Vetulaniemu w pływaniu, a Januszowi Kalbarczykowi w łyżwiarstwie. O tych czasach beztroskich marzeń, pierwszych zadurzeń i mnóstwa pochłanianych książek wspomina Żukrowski pisząc o swym koledze. Szedł jednak na tę beztroskę czas trudnych prób. Lolek w pewnym momencie, kiedy już przywykł i zaadaptował się, w nowej szkole, znalazł się poza nią. Brak pieniędzy. Trudnił się korepetycjami i szukał pracy. Na szczęście spotkał któregoś z »tych kochanych belfrów« grodziskiego gimnazjum, którym w odpowiedzi na gratulację, pisał z trasy rejsu, że oni są »wszystkiemu winni«. Rzeczywiście oni nie dali zginąć swej placówce. Wybudowali gospodarczym sposobem przy pomocy uczniów i rodziców prymitywny, ale odpowiadający przepisom budynek. Odzyskali prawa i jeszcze potrafili uczyć na »kredyt« i dawać zarobek biedniejszym. Niektórzy z profesorów uczyli tylko za cenę biletu Warszawa – Grodzisk, zarabkując w nieco bogatszej Warszawie.

W 1933 roku Lolek pisał do mnie »Czuję Stachu, że jak formalnie będę przyjęty do budy, będzie wszystko jeszcze lepiej. Choć belfrowie traktują mnie - wolnego słuchacza na równi z innymi, zawsze czuję się nie uczniem, lecz gościem. Byleby prędzej to wszystko przeszło to będzie fajnie.«

Ta sytuacja szesnastoletniego chłopaka nie przeszkadzała, a może nawet pomogła w wyostreniu zmysłu obserwacyjnego i wrażliwości. Powstawał też nawyk pisania, który przydał się później.

»Grodzisk Mazowiecki 9.XI.33
r. Drogi Stachu!

Życie idzie tak jak zwykle, różni się od tego któreś prowadził będąc w Grodzisku. Ja zarażem się od Was tj. od Ciebie i Heńka. Gdy mam wolny czas piszę. Piszę, co mi myśl przyniesie i w jakim jestem nastroju. Czasami wychodzą bzdury to - natychmiast je niszcze, ale są rzeczy które zniszczą wtedy, gdy ktoś z Was powie, że są do niczego. Od pewnego czasu chorowaliśmy ze Zbyskiem na muzykę. Co wieczór chodziliśmy pod kino słuchać głośników. A trzeba Ci wiedzieć, że »Lux« też jest dźwiękowcem. Nie wyrzucaj mi w następnym liście, że piszę tak chaotycznie, ale tyle się wypisuję na wypracowania z polaka pt. »Piętnastolecie odzyskania wolności«. Mam zamiar napisać broszurę i dostać bardzo dobry.

W niedzielę jest u nas wielka, przez duże W, uroczystość: poświęcenie strzelnicy i boiska. Miałem witać w imieniu samorządu różne ważne osoby, ale wolałem zważyć ten obowiązek na Lucka M.

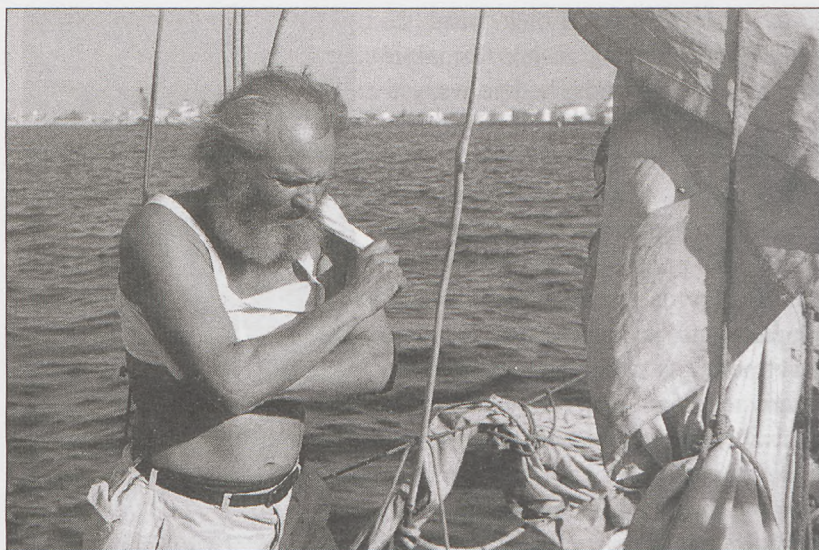
Na zakończenie całuję Cię w nieogoloną twarz

Lolek«

Dlaczego »nieogoloną«? Bo ja się już goliłem, a on jeszcze nie. Z listów tego okresu można wyczytać jak zmienia się Leonid. Jego za-



Plakietka



Leonid Teliga w Dakarze

interesowania wzbogacają się odwrotnie proporcjonalnie do sytuacji materialnej. Zachwyty nad życiem i książką, zaduma i smutki przeplatają się w pisaniu, w utrwalaniu, nastrojów i poszukiwaniu własnego zdania, własnego wyrazu. Stara się o sprawdzenie swoich sądów. Oto część długiego listu z dnia 28 czerwca 1934 roku:

»Zrobiłem małą przerwę – słucham, a raczej słuchałem radia – siedzę w małym pokoiku. (Trzeba pamiętać, że w tym czasie słuchanie radia było czynnością skomplikowaną – mieliśmy przez siebie zrobiony odbiornik kryształkowy – oczywiście na słuchawki)... przede mną leży list. Co on mi przypomina? Najprzód: wieczór nad książką, ciszę, chwilę namysłu, a potem decyzję »pal sześć już się uda« Czytałem »Na mlecznej drodze« Kornela Makuszyńskiego. Postanowiłem napisać do niego list i napisałem bitych sześć stron tego papieru. Dałem jakiś adres – więc dojdzie. Było to dość dawno, kilka razy myślałem, że nie doszedł, lub co gorsza znalazł się w koszu. Wreszcie zapomniałem o nim zupełnie... i dostaję list. Nie mogłem się zorientować od kogo – pismo zupełnie nieznanne. Na szczęście na dole

zakreślono miejsce, gdzie. widniał adres i nazwisko nadawcy. Pisał Kornel Makuszyński... zacząłem odcyfrowywać... Brzmiał on tak:

Drogi Panie! Przepraszam, że dzisiaj dopiero piszę do Pana, ale to wina wielkiego zapracowania. Bardzo, bardzo z Pana zacny chłopiec, z wielkim wzruszeniem czytałem prosty, uczciwy Pański list. Uczciwa i szlachetna jest Pańska młodość, która potrafi wzruszyć bardzo zmęczone serce. Otrzymuję niezliczoną ilość listów, stąd i pochodzi wprawa, że widzę wewnątrz słów. Dlatego mnie Pański list tak ucieszył, że widzę to, co w nim tkwi. A to jest strasznie ładne i jasne. I tem mnie Pan uradował, że Pan umiał tak samo wejrzeć w moje książki. Bystre ma Pan oczy, jeśli Pan dojrzał to, czego inni często nie widzą w gąszczu, w ogrodzie bardzo wesołym. Drogi Panie! Najgłośniejsi krytycy czasem tego nie widzą, co ujrziała Pańska bystra młodość, którą nic nie oszuka. Ściskam Pana za to. Będzie mi miło, jeśli kiedyś pańskie nazwisko zobaczę na okładce książki. Wtedy Panu o Pańskiej książce napiszę prawdę, bo ją całym sercem czytać będę. Raz jeszcze dziękuję i mocno dłoń Pańską ściskam (tu następuje podpis) (-) Kornel Makuszyński

List nieduży, ale jak to się mówi »chytry«. Pisał tam różne rzeczy, związane z moim listem, muszę zatem wyjaśnić, że pisałem do niego, o tym co widzę w jego książkach, jak są pisane i do czego dążą, a wreszcie zapytałem, czy to wszystko zgodne z jego myślami? Teraz wiem, że się nie myliłem. W Warszawie poszedłem na Aleję Róż, i z bliska obejrzałem dom nr 14 (tam on mieszka)...« Żył jeszcze w Zakopanem Kornel Makuszyński, kiedy ukazały się opowiadania, w zbioru pt. »Na wąskich pokładach«.

Tak pisał Stanisław Teliga w „Żaglach“ z listopada 1971 roku. Na marginesie tych szkolnych opowieści zwrócić warto uwagę na estymę, jaką uczniowie otaczali swojego wychowawcę Hipolita Szczerkowskiego. Uczył on wielu, rzeszę całą grodziszczan, wspominających go do dzisiaj z wielkim sentymentem, a niektórzy z rozrzewnieniem. Była to niesłychanie silna osobowość, mająca wpływ na swoich podopiecznych. Jego szerokie zainteresowania i niebywały temperament ukierunkowały wiele młodych charakterów. Wielu późniejszych działaczy społecznych, kulturalnych, inżynierów, leka-

rzy osiągnęło sukcesy dzięki inspiracji zaczerpniętej u „pana profesora” – jak nazywano Hipolita Szczerkowskiego. Przez przypadek Hipolit Szczerkowski ma ulicę swojego imienia obok ulicy Leonida Teligi w Grodzisku Mazowieckim. Z tą szkołą – jak się okazuje – sprawa nie jest zupełnie jasna. Rzecz oczywista, że Stanisław Teliga pisząc wstęp do książki swojego brata Leonida, starał się pozyskać względy wydawcy. Trafiają się więc tam wątki o rzekomej „lewicości“, o sztandarze bez świętego itp. Szczęśliwie zachował się w Archiwum Państwowym m.st. Warszawy kompletny zespół akt Gimnazjum Koedukacyjnego w Grodzisku Mazowieckim za lata 1922-1939. Wynika z nich, że uczęszczał do Gimnazjum także Stanisław Teliga (ur. 1 grudnia 1913 r. w Moskwie), przyjęty na podstawie egzaminu do klasy V w dniu 4 września 1928 r. Gdzie kontynuował naukę – nie wiadomo. Natomiast Leonid (czasem Leonard), syn Czesława i Eudoksjii z Antonowych został przyjęty do klasy VI, a potem do VII, uczęszczał też do kl. I liceum „wpisany na podstawie promocji“. U dołu arkusza ocen - z wynikami raczej miernymi - widnieje klauzula podpisana przez dyrektora Witolda Westwala „dopuszczony do egzaminu dojrzałości“. Nawiasem mówiąc ten sam profesor Westwał, profesorka Stefania Studzińska, profesor Kazimierz Ryglewicz uczyli mnie, już po wojnie i wielu, wielu żyjących uczniów z Grodziska.

Po maturze należało podjąć decyzję o dalszym kroku, o tym co z sobą dalej począć. Leonid Teliga powziął zamiar wstąpienia w szeregi Wojska Polskiego. Po odbyciu rocznej służby wojskowej wstąpił do Szkoły Podchorążych w Komorowie koło Ostrowi Mazowieckiej. Tam zdobył pierwsze szlify żeglarskie uczęszczając w 1937 roku na kurs żeglarski w Jastarni. Później w czasie urlopu wakacyjnego łowił ryby na kutrze bałtyckim zaprzyjaźnionej rodziny. Wreszcie wybucha wojna, w której bierze udział w składzie 44. pułku piechoty. Po wielu przygodach wiosną 1940 roku przybywa do Azowa nad Donem i zostaje rybakiem. Szybko wykazuje się znajomością rzeczy, kończy kurs szyprów i staje się pełnoprawnym członkiem kolektywu rybackiego - pisze Stanisław Teliga we wstępie do „Samotnego Rejsu »Opty«”. To bardzo tajemniczy fragment życiorysu Leonida Teligi, lecz zostawmy wszelkie rozważania na ten temat, albowiem nie wiążą się one z Grodziskiem

Mazowieckim. Kiedy powstawała Armia Andersa, Leonid zgłosił swój akces. Przez Irak i Indie, opływając Afrykę dotarł do Wielkiej Brytanii, a stamtąd na kurs lotniczy do Kanady. Pani Halina Wiśniewska wspomina: „Służyłam w Armii Polskiej Środkowego Wschodu. Obóz wojska polskiego rozlokowany był na pustyni w Iraku. Tworzyliśmy ogromne miasto namiotów. Ja pracowałam w kancelarii Centrum Wyszkożenia Armii, a mój mąż, także w składzie Armii Andersa, leżał wtedy w szpitalu. Dzieliłam czas między pracę i opiekę nad chorym mężem. Gubiłam się wśród jednakowych uliczek między namiotami i nie mogłam nigdy »złapać orientacji«. Któregoś dnia idąc jedną z owych uliczek w czasie sjęsty obiadowej, zobaczyłam grupkę oficerów u progu jednego z namiotów. Nagle z pośród nich jeden krzyknął: Dzień dobry Halino! i podbiegł do mnie Lolek Teliga. Porozmawialiśmy zaskoczonymi chwilę i na koniec rozmowy Lolek zaproponował mi wieczorne pójście do kina, ale musiałam odmówić ze względu na chorego męża, przy którym miałam wieczorny dyżur. Lolek zaraz potem odleciał na kurs do Kanady.“ Leonid Teliga latał potem na Lancasterach w składzie 300 Dywizjonu Polskiego Lotnictwa w Anglii.

„Wiesz – mówił uśmiechając się drwiąco - w czasie wakacyjnej, żeglarskiej wyprawy spotkałem w Norwegii jacht z Hamburga. My, żeglarze, to jesteśmy jak bractwo. Niemiec odwiedził mnie, pogadaliśmy o rejsie, rybach i dziewczynach, tyknęło się naszej »Wyborowej«, wypaliło fajkę. Wtedy Niemiec stwierdził z zadowoleniem, że jestem jednym z nielicznych Polaków, z którym można pogadać, bo nie ma pretensji, nie wspomina dawnych win z czasu wojny. Na to Lolek: - Ma pan rację, bo ja miałem to szczęście, że mogłem się z Hitlerem rozliczyć, zrzuciłem na Berlin tych kilkadziesiąt ton bomb... Bozia już dobrze wiedziała, dla kogo je przeznaczyć...“

Tak relacjonował Wojciech Żukrowski, ale podobnie opowiadała pani Halina Wiśniewska.

W 1947 roku Leonid Teliga wraca do kraju. Wśród wycinków prasowych i innych precjozów związanych z Leonidem Teligą, a przekazanych mi przez panią Wiśniewską, znalazła się ćwiartka papieru zapisana ręką Leonida. Znajdujemy tam skrócony zapis w punktach najważniejszych dat i zdarzeń w jego życiu:

„Ur. 28.V.1917r. w Wiaźmie
od 1919r. do 1936r. Grodzisk Maz.

od 1936r. do 39r. Szkoła Podchorążych Ofic. Piechoty, Sł.
Czynna w wojsku 39r. - 42.r ZSRR

43r. - 47r. W. Brytania Dywizjon 300 im. Ziemi Mazowieckiej
Powrót do kraju, dziennikarstwo, tłumaczenia literatury angielskiej,
rosyjskiej, własna twórczość – opowiadania, słuchowiska -
ONZ - Korea - Laos - Członek PEN-Clubu i Literatów

Rzym – korespondent

W 1965 – rozpoczęcie budowy jachtu – wszystkie oszczędności,
pomoc Klubu „Gryf“ – PZŻ

1966 r. 8.XII. Załadowanie na statek Słupsk do Casablanki. (ze
względu na zimę nie mógł wypłynąć z Gdyni)

25.I.67 start do Las Palmas – na próbny rejs,

16.III start do Barbados

16.IV Barbados – Małe Antyle“

I tu się kartka kończy. Być może była jeszcze druga, bo powyższy zapis wyraźnie wskazuje na to, że jest to wstępny szkic do większej pracy. Szczegóły życiorysu Leonida Teligi, zwłaszcza okres wojenny są dobrze znane z jego własnej książki, a zwłaszcza ze wstępu pióra jego brata Stanisława. Sam rejs dookoła świata opisał sam bohater. Przygotowania do rejsu, to walka o fundusze, głównie własne, sprawa wyboru łódki i jej przygotowanie. Jacht, to konstrukcja przedwojenna Leona Tumiłowicza. Przy przeróbce jachtu Teliga współpracował ściśle z konstruktorem. Przerobiona konstrukcja otrzymała nazwę „Tuńczyk“, choć była bardzo podobna do poprzedniej – „Konik Morski“. Długość po pokładzie – 9,60 m, szerokość – 2,80 m, zanurzenie – 1,60, powierzchnia żagla – 45 m². Podróż ze wschodu na zachód trwała: „2 lata i 14 dni żeglugi. 28 tysięcy mil za rufą »Opty«. Nowy rekord w samotnej żegludze – 14,5 tys. mil w 165 dni, a więc jeden etap równy połowie trasy dookoła świata, oto wspomniały wyczyn Leonida Teligi, który zrealizował marzenia szczenięcych lat i wieku dojrzałego.“ – tak podsumowało wyczyn Teligi „Życie Warszawy“ w rocznicę jego śmierci. Teliga źle się czuł w czasie rejsu. Pojawiały się bóle stawów, mięśni, temperatura. Okazało się, że

sławny żeglarz cierpi na chorobę nowotworową. Pierwsza operacja odsunęła groźbę śmierci, jednak wkrótce nastąpił nawrót choroby. 21 maja 1970 roku w szpitalu przy ul. Lindleya w Warszawie Leonid Teliga zmarł. Został pochowany na cmentarzu Komunalnym (dawnym Wojskowym) na warszawskich Powązkach. „Życie Warszawy“ pisało dzień po pogrzebie:

„Trumna ze zwłokami L. Teligi wystawiona była od rana w domu przedpogrzebowym. Warty honorowe pełnili koledzy zmarłego. O godz. 11.30 polscy żeglarze ponieśli na ramionach spowitą banderą trumnę na miejsce wiecznego spoczynku.

Kondukt poprzedzała orkiestra reprezentacyjna WP kompania honorowa państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni ze sztandarem, poczet sztandarowy Zw. Zaw. Marynarzy i Portowców, Warszawskiej Chorągwi i ZHP. Harcerze stołecznych drużyn żeglarskich nieśli przed trumną odznaczenia zmarłego m.in. Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski.“

Leonid Teliga odbył pierwszy samotny rejs dookoła świata w dziejach polskiego jachtingu. Obserwując dzisiaj zmagania żeglarzy na wspaniałych jachtach doskonale wyposażonych można we właściwy sposób ocenić jego osiągnięcie. Praktycznie bez środków łączności – poza małym radiem tranzystorowym, bez nawigacji satelitarnej... co tu wyliczać! Nie ma do czego tej łupinki, jaką było „Opty“ porównywać. Można natomiast z dumą stwierdzić: Leonid Teliga – oto człowiek z Grodziska!

Szkoły, ulice i instytucje im. Leonida Teligi:

1. Szkoła Podstawowa nr 5 w Grodzisku Mazowieckim przy ul. Lecha Zondka, dawniej Zbiorcza Szkoła Gminna, imię nadane przez Kuratorium Okręgu Warszawskiego w dniu 28 maja 1975 r;
2. Szkoła Podstawowa nr 34 w Gdyni;
3. Szkoła Podstawowa nr 96 we Wrocławiu;

4. Szkoła Podstawowa nr 149 w Warszawie przy ul. Kobielskiej 5, od dnia 1 października 1975r;
5. ul. Leonida Teligi w Grodzisku Mazowieckim;
6. ul. Leonida Teligi w Warszawie;
7. Stocznia Jachtowa w Szczecinie (?);

BIBLIOGRAFIA:

Archiwa:

1. Archiwum Państwowe m.st. Warszawy, Oddział w Grodzisku Mazowieckim.

Książki:

1. Teliga Leonid, „Opty“ od Fidzi do Casablanki, Gdańsk 1970;
2. Teliga Leonid, Samotny rejs „Opty“, Gdańsk 1973 (Zebranie materiału i przygotowanie do druku oraz wstęp Stanisław Teliga);

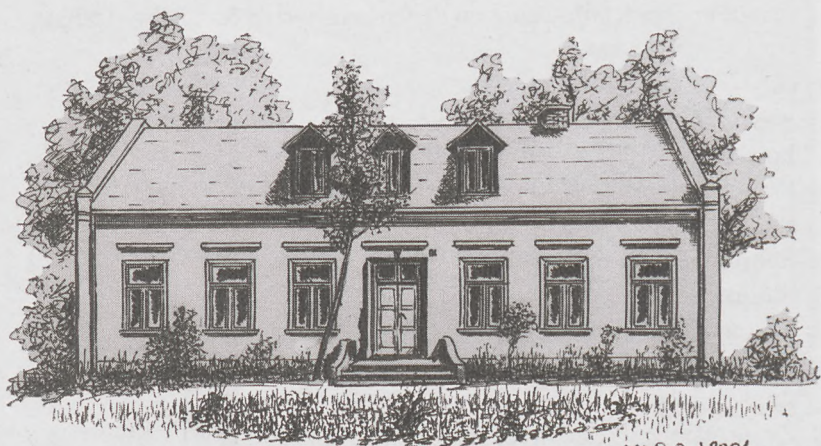
Prasa:

1. Nasza Ojczyzna, czerwiec 1969;
2. Polska, 2/1970;
3. Przegląd Sportowy, 30 grudnia 1968;
4. Radio i Telewizja, 31 marca 1969;
5. Sportowiec, 10 lipca 1973;
6. Stolica, 19 października 1975;
7. Sztandar Młodych 6.8.1969;
8. Światowid, 2 marca 1969;
9. Żagle, listopad 1971;
10. Życie Warszawy, 20 stycznia 1971, 25 maja 1975;

Rozmowy:

1. Halina Wiśniewska, Warszawa 20 kwietnia 2001;

Franciszek i Julian Ejsmondowie



Wczesnym rankiem w niedzielę 4 lutego 2001 r. zadzwonił do mnie telefon. Dzwonił burmistrz Grzegorz Benedykciński, który ponurym głosem oznajmił, że właśnie płonie dwór w Dąbrówce. Akurat szykowałem się do wyjazdu do Warszawy, mogłem więc szybko wyjść z domu i w ciągu kilku minut znalazłem się na miejscu. Dwór palił się, sytuacja była dramatyczna. Pożar zaczął się o szóstej rano w górnej części budynku. Z całej powierzchni dachu unosiły się kłęby dymu, z wykuszy w zachodniej części budynku buchały ku niebu jęzory ognia. Mróz był straszny, kilkanaście stopni poniżej zera. Cała zima łagodna, właśnie dzisiaj taki mróz! Nie było paniki, zamieszania, krzyku - jak to zwykle bywa przy pożarze: kilkoro mieszkańców z pomocą strażaków wynosiło powoli i systematycznie dobytek z mieszkań na parterze - zrazu najcenniejsze przedmioty, potem, kiedy okazało się, że pożar rozwija się wolno - wszystko, co było w mieszkaniu. Biedne kwiatki w doniczkach wędły na mrozie, lecz nie czas żałować róż... Opowiadał mi burmistrz, że wcześniej zamieszanie było większe, co łatwo zrozumieć. Bose dzieci zerwane ze snu biegały po śniegu. Widać było rozpacz na przerażonych twarzach lokatorów. Wśród grupy biegających ludzi kręcił się obłąkany ze strachu piesek. Opanowany burmistrz zorganizował szybko przewóz pogorzalców do hotelu „Mops“ w centrum miasta. Gospodarze hotelu stanęli na wysokości zadania przygotowując pomieszczenia dla kilkunastu osób. W transporcie poszkodowanych pomagała policja, która stawiała się na miejsce tragedii bardzo wcześnie. Niestety, straż pożarna miała bar-



Spalony dwór w Chlebni (fot. Krzysztof Urtate)

dzo utrudnione zadanie. Nie tylko mróz przeszkodził w uruchomieniu hydrantów, ale także złodzieje, którzy wcześniej pokradli zawory wykonane z metali kolorowych, które przypuszczalnie wymontowali, by sprzedać je jako złom. Pracownicy Zakładu Wodociągów i Kanalizacji na wszelki wypadek pozakładali zabezpieczające zasuwy, których strażacy nie mogli otworzyć. W tej sytuacji trzeba było dowozić wodę z innego miejsca. Kiedy około godziny ósmej ruszyły sikawki, pożar szybko ugaszono. Niestety, po całej akcji okazało się, że tylko jedno mieszkanie nadaje się do powtórnego zasiedlenia. Pozostałe części budynku zostały spalone, bądź zalane wodą. Mieszkańcy, którzy wcześniej wykupili budynek od Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa, ponieśli ciężkie straty i nie wiadomo, kiedy będą mogli do swojego domu wrócić.

Na marginesie tej przykrej sprawy wspomnę, że kiedy byłem w USA, imponowały mi piękne, złoto-mosiężne hydranty stojące przy budynkach, które wypielęgnowane, wyblszczone wyglądały jak dzieła sztuki. Mówiono mi, że największa kara grozi za uszkodzenie tych urządzeń, a samochody – jeśli ktoś lekkomyślny postawił je przy hydrancie – zostaną w razie pożaru bez ceremonii zmiażdżone przez specjalne zderzaki wozów strażackich.

Żal mieszkańców, którym i tak się nie przelewało, a teraz stracili wszystko. Żal dworu, który być może zostanie na powrót zasiedlony, ale nigdy nie będzie taki, jak był.

Powstał ten dwór niewiadomo kiedy. Położony na zachód od Chlewni, stał przy drodze do Izdebnia Kościelnego. W drugiej połowie XIX wieku wchodził w skład majątku należącego do Juliana „Jordan” Wieniawskiego.

Ale wcześniej, kiedy „dobra chlewińskie obejmowały: folwarki, wieś zasobną Chlewnię, asystencję Dąbrówka (przy folwarku), kolonię Czarnolas i lasy przyległe“, Dąbrówka należała do Mokronoskich, konkretnie od 1842 do Aleksandra Mokronoskiego, ur. w 1811 r. syna Antoniego. W 1863 roku na skutek zalegania przez właściciela ze spłatami rat pożyczki zaciągniętej z Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego Dąbrówka (ciągle jeszcze w składzie Chlewni) została wystawiona do sprzedaży przymusowej. Nabył ją Gabriel Wodziński (zmarły w 1872r.). Przez krótki okres właścicielem majątku była rodzina Makarewiczów, aż w 1879 roku dobra chlewińskie wraz z Dąbrówką nabył Julian „Jordan” Wieniawski, brat sławnego skrzypka Henryka. Jego córka z pierwszego małżeństwa (z Natalią Karpińską) Maria Pia wyszła za mąż za znanego malarza-portrecistę Franciszka Ejsmonda. Ich synem był poeta i prozaik Julian Ejsmond (1892-1930). O malarzu Franciszku Ejsmondzie pisał Eligiusz Niewiadomski: „malarz... gładziutko malowanych anegdotek“. Dworek w Dąbrówce wraz ze stu hektarami ziemi podarował Ejsmondowi Antoni Wieniawski w 1916 roku. Julian Ejsmond pisał piękne opowiadania myśliwskie, a natchnienie i tematykę do tych opowiadań czerpał z polowań w okolicach Grodziska (mieszkał w Warszawie przy pl. Trzech Krzyży, ale Dąbrówka była jego drugim domem). Dwór był parterowy z mieszkalnym poddaszem. Przykryty dachem dwuspadowym, krytym dachówką. W obu szczytach budynku na piętrze były okna. Na tymże piętrze były dwa pokoje oddzielone od siebie korytarzykiem i łazienką z wanną, do której nosiło się wodę wiaderkami. Na parterze zaś pomieszczeń było więcej. Wchodziło się do domu po kilku schodkach do holu, położonego w południowej części budynku. Na lewo był obszerny salon, na prawo pokój dziecinny. Dalej, w głębi

i od ogrodu była sypialnia, jadalnia i kuchnia, oraz trzy małe pomieszczenia, jako spiżarnia i schowki. Pod spiżarnią i kuchnią była piwnica, ze składem starych win. Do ogrodu, a właściwie do parku - po którym nie ma już śladu - wychodziło się przez taras, którego obrys stanowił fundament dawnego ganku. W parku były stajnie, szklarnie i inspekty, kurniki, chlewy i... mała ubikacja. Albowiem dwór nie był skanalizowany i aż do wojny nie miał elektryczności. Cały dwór był remontowany w 1942 roku. Po wojnie przebudowano poddasze dostawiając wykusze, z których właśnie kilka dni temu buchał groźny ogień. Zniknęła czerwona dachówka, a zastąpiła ją ordynarna (i łatwopalna) papa.

Gdzieś około 1930 roku majątek został zakupiony przez Franciszka i Zofię (z domu Bielańską) Studzińskich. Władali oni Dąbrówką do 1945 roku. W czasie wojny Studzińscy mieszkali we dworze, ale majątkiem kierował rządcą, pan Ludwik Żyto, mieszkający w „domu rządcy“ przy inspektach, w głębi parku. Domek ten jawi się w pamięci, jako stylowa, neogotycka budowla. Studzińscy przebywali we dworze, kiedy doszła ich wiadomość o aresztowaniu przez Niemców Szczygielskich z pobliskiego Izdebnia i przeczesywaniu przez gestapo okolicznych dworów. Uciekli wówczas z Dąbrówki w popłochu i nigdy tam nie wrócili. Państwo Studzińscy mają syna Piotra, z którym los zetknął mnie w końcu lat pięćdziesiątych, kiedy to obaj działaliśmy (jak to się mówiło) w klubie Hybrydy. Od tego czasu nasza przyjaźń nie ustaje, a teraz, kiedy Piotr zajmuje się reżyserią programów



Dąbrówka 1944r. akwarela

w Warszawskim Ośrodku Telewizyjnym, przyjaźń nasza znacznie się ożywiła. Skonfrontowaliśmy też nasze wczesne dzieje, kiedy to tuż po woj-

nie przez krótki czas mieszkałem wraz z rodzicami w dworku w Dąbrówce. Miałem wtedy 10 lat i z tamtych czasów pamiętałem działkę przeciwlotnicze



Dąbrówka 1990

88 mm pozostawione przez Niemców tuż koło szklarni i stojące tam jeszcze przez miesiąc, ku uciechu wiejskiej dziatwy. Działka, jak to działka – rozkręciła działkę na części i została tylko lufa z podstawą. W szklarni miałem schowek, w którym trzymałem swoje zdobycze wojenne zgromadzone z walającego się wszędzie złomu bitewnego. Tak oto splotły się losy Piotрка Studzińskiego, moje, dworku w Dąbrówce. No i ten pożar na końcu...

Wybuchł w powodu wadliwej instalacji elektrycznej, prawdopodobnie eksploatowanej nadmiernie i nie remontowanej od dziesięcioleci.

Porównuję stare akwarele i zdjęcia współczesne: jaki żalony los spotyka piękne dworki, świadectwa naszej historii! Dopiero co rozebrano dwór w Zabłotni, teraz kolejny zabytek poszedł z dymem. Niemcom nie udało się zniszczyć tego dziedzictwa narodowego, komuniści otaczali je pogardą. Coś z tego w nas pozostało.

Opowiada mi Piotrek, że pod koniec 1943 roku Niemcy przypędzili do wsi 100 osób wygnanych z Zamojszczyzny. Biedacy ci szukali schronienia w okolicznych domostwach, a ze trzydzieści osób ulokowało się w dworze w Dąbrówce. Co się z nimi stało później?

JULIAN EJSMOND



**MOJE
PRZYGODY
ŁOWIECKIE**

I. CAŁUJ PSA W NOS...

W słoneczny dzień wrześniowy z wiernym psem błądzić po jesiennych polach, wydeptywać suche kartofliska, złote rżyska, seradele okryte białym szronem kwiecica — to radość łowiecka nieporównana.

A jeśli wśród tych rżysk, wśród wyrudziałych kartoflisk i po krzakach napotykamy mnogość stad kuropatwich, radość staje się zupełna, zwłaszcza, gdy pies, nieodstępny nasz towarzysz, dobrze chodzi, twardo stoi i pięknie doprowadza do wyciekającej brózdami zdobyczy.

Pola jesiennie! Ileż w nich jest uroku, ile pogodnego, cichego czaru... Popielate podorywy świecą płowemi grzbietami skib. Łan kartofli zarośnięty zieliskiem, po brzegu pełen rumianków i jaskrów, pośrodku jaśnieje matową zielenią ostów. Rżyska przesycone słońcem... Zdała, pod lasem, jaskrawo żółta smuga łubinu...

Polowanie na kuropatwy ma dla mnie szczególny urok, wiążąc się nierozdzielnie z memi poczynaniami łowieckimi, gdy jako mały chłopiec u boku rodziców stawiałem pierwsze kroki na polu myśliwskim.

Pamiętam, jaką dumą okrył mnie pierwszy mój dublet do kuropatw, jaki respekt dzięki temu zyskałem w oczach starego Joka, zacnego wyżła, który towarzyszył mi w mojem „pierwszem polu”.

Nie lekceważył już odtąd wypraw ze mną, stracił w stosunku do mej osoby dawną protekcyjną i nieco lekceważącą niedbałość i darzyć począł baczniejszą uwagą rezultaty moich strzałów.

Co roku, gdy czas wziąć broń i ruszyć na kury, ulatuję pamięcią w ten „czas przed wiekami”, gdy jako trzynastoletni chłopiec rozpocząłem łowiecką karierę na kartofliskach i rżyskach błońskiego powiatu w pogoni za rozbitymi stadami kuropatw.

*

Nie jestem zwolennikiem rekordów ilościowych w myślistwie. Są one nazbyt często synonimem rzezi. Słusznie potępione zostały przez myśliwych poetów masowe pogromy zajęcze i bażancie.

W polowaniach na kuropatwy nie szukam zatem nigdy rekordu. Rozkosz tych łowów stanowi pogoda jesienna, ogarniająca duszę myśliwego swoją łagodną słonecznością, oraz zgrana współpraca z dzielnym, wiernym psem, towarzyszem mądrym i posłusznym.

Nie silne, niespodziewane wzruszenia tworzą czar wędrówek po jesiennych polach, mimo iż furkot stada sprawia emocje, lecz zachowanie się psa, rozbijanie stad, podchodzenie odbitych sztuk, wyszukiwanie zapadłych woddali kur, jednym słowem, cała myśliwska taktyka, kierująca postępowaniem łowcy w burakach, kartoflach, na rżyskach i w warownych twierdzach końskiego zębu, naturalnym schronie spłoszonych kur. W taktyce tej stosowanej w pogodny jesienny dzień towarzyszem i przewodnikiem niezawodnym jest nam pies.

Rzeczą, od której zależy powodzenie łowów, będzie zawsze dobry jego nos. Psi nos prowadzi nas ku ukrytemu w kartoflanej naci stadu, nos psa dąży za wyciekającymi brózdą kurami, nos psa wskazuje nam miejsce, w którym znajduje się zapadła sztuka, nos psa wreszcie ułatwia nam odnalezienie zbarczonej i zabitej kuropatwy, któraby nieraz bez psiej pomocy stała się łupem drapieżników.

Myśliwczel! jeżeli masz psa ze złym nosem — zgryzotom twoim nie będzie końca, lecz jeśli twój wierny towarzysz posiada dobry wiatr — całuj psa w nos, jak mówi poeta...

Chyba, że posiada on inne wady zasadnicze...

Pierwszy mój pies „powojenny”, niemiecki wyżeł Lux miał świetny wiatr, ale... I wśród psów niemasz ideału: mój — bał się strzału...

Daremnie próbowałem go ostrzelać, nie pomogły pieśczoty i nagrody, ani wiązanie na lince. Gdy strzelałem do pędzonych przez nagankę kaczek, przywiązany za mną Lux przywarowywał: głaskałem go, pieściłem — uspokajał się. Ale skoro — na próbę — linka została odwiązana — wiał, aż się za nim kurzyło!

Po kacych niepowodzeniach pozostała mi wątpliwa nadzieja, iż z kuropatwami będzie lepiej.

Z tą nadzieją jadąc do Chlewni na rozpoczęcie sezonu, zabrałem ze sobą psa.

Weszliśmy w rozległy łąn buraczany. Wyżeł patrzył najpierw nieufnie na broń, potem jednak rażno ruszył na poszukiwanie zwierzyny. Nie trwało ono zbyt długo. Zaciął się parę razy — trafił widocznie na ślad stadka — wreszcie stanął...

Szybko zbliżyłem się do psa i zacząłem zachęcać go, by postąpił naprzód... Sprężyły się nerwy w bacznej oczekiwaniu... Krew uderzyła goręcej, namiętność myśliwska ogarnęła duszę swoim błogosławionym płomieniem...

— Dobry piesek... Pójdź dalej... pójdź dalej...

A wtem z furkotem porwało się stado.

Szybkie dwa strzały — dwie kury spadają na ziemię... Śledzę bacznie miejsce, gdzie upadły... Jedna przy kępie bylicy — nad rowkiem, druga nieco bliżej na prawo, przy żółtem zielsku.

— Lux — allez, apportel!

Lecz Luxa już niema. „Dobry piesek” zwiął. Rozglądam się i widzę go wreszcie, jak rwie do domu co sił. Brzydkie przekleństwo wyrывa się z mych ust.

Poczynam szukać zabitych kuropatw. Znajduję obie: jedną jeszcze nieco trzepocącą się w rowie, drugą martwą w buraczanej bródzie.

Dążę z rezygnacją, bez psa za rozbitem stadem. Zapadło pod laskiem w seradeli. Pole jej zda się zielonym, puszystym kobiercem, zroszonym białym śniegiem kwiecia, podobnym do świetlanej rosy...

Daremnie jednak krążę w miejscu, gdzie siadły kury. Niema ich. Przepadły — jak kamień w wodę. Zapewne na piechotę wyciekły do pobliskiego zagajnika. Bez psa nic im nie zrobię.

Beznadziejnie wracam w buraki. Ogarnia mię rozpacz. Św. Hubert lituje się jednak nade mną. Wchodzę w stado, które pochyla rwać się dokoła. Jedną z kur pudłuję, poprawiam z drugiej lufy, ptak robi w górę „świecę”; pada w buraki dość daleko ode mnie.

Szybko biegnę, by go podnieść. W miejscu, gdzie spadła kuropatwa, dla orientacji kładę myśliwski kapelusz. Kura robiąca „świecę” nigdy nie wycieka: leży martwa. Przeszukuję jednak najbliższe brzozy dokoła zaobserwowanego miejsca bez rezultatu. W wysokiej naci buraczanej nie mogę bez psa znaleźć zdobyczy. Co gorsza — tracę z oczu kapelusz.

I po półgodzinnym szukaniu wracam do domu na śniadanie bez psa, bez kury i bez kapelusza.

Po południu szczęście poczyna się do mnie uśmiechać. Wychodzę z „polowym” w rozległe koniczyny za parkiem chlewińskim. Bierzemy dwóch chłopców i ruszamy „ławą”.

Niebawem spotykamy pierwsze stado. Zaczyna się chodzenie za niem, a że liczy przeszło dwadzieścia sztuk i zapada po rozbiciu stosunkowo blisko, strzelam do niego kilkakrotnie z dobrem powodzeniem.

Po drodze spotykamy drugie i trzecie stado, które rozbijam, jak pierwsze. Zapadają w koniczynie pod parkiem. Zbliża się

wieczór, jesienny piękny wieczór. Złote słońce powoli ginie za czarną ścianą parku... Wracamy do domu... Na progu spotyka nas rozpromieniony Lux.

*

Najładniejszym kuropatwim terenem w Łochowszczyźnie są Łaski nad Liwcem. Dzięki gościnności p. Kutnickiego nieraz tam w jego towarzystwie polowałem na kury. Towarzyszył nam w tych wyprawach Taff... Kur było tam dużo...

Oto jesteśmy już w kartoflisku... Pies staje, poczem postępuje powoli wzdłuż bródki z nosem spuszczoneym i wzrokiem nieruchomo utkwionym w wyciekającą zwierzynę...

Drapieżne wyczekiwanie przynagła krok. Myśliwy i pies, człowiek i zwierz, pod czarodziejstwem jednego uczucia, jednego pożądanego, powoli dążą cicho szeleszczącym pod ich krokami kartofliskiem. Gdy dochodzimy końca — z furkotem rwie się stado kur. Dwa strzały — dwie kury. Taff — młody, sześciomiesięczny wyżeł — aportuje zabitą zdobycz. Myśliwi bacznie śledzą, gdzie zapadnie strzelane stado.

I zaczyna się rozkoszna wędrówka za rozbitem stadem, z którego pojedyncze sztuki rwą się przed nami i padają ofiarą celnych strzałów — lub uchodzą zdrowe.

Gdy zaś w gęste wikliny stado kur zapadnie, ciężkie myśliwy ma zadanie, by je dosięgnąć strzałami. Rwą się w gąszczu i w gąszczu zapadają. Słysząc ich furkot — czasem przez ćwierć sekundy ujrzymy porywającego się ptaka, który nam ginie momentalnie z oczu. Myśliwy gorączkuje się i denerwuje. Strzela gorzej. Serce wali mu młotem, język wysycha, aż w cieniu drzew nad rzeką błękitną i roześmianą wśród jesiennych pól płynącą znajdzie spoczynek i uspokojenie wzburzonych nerwów...

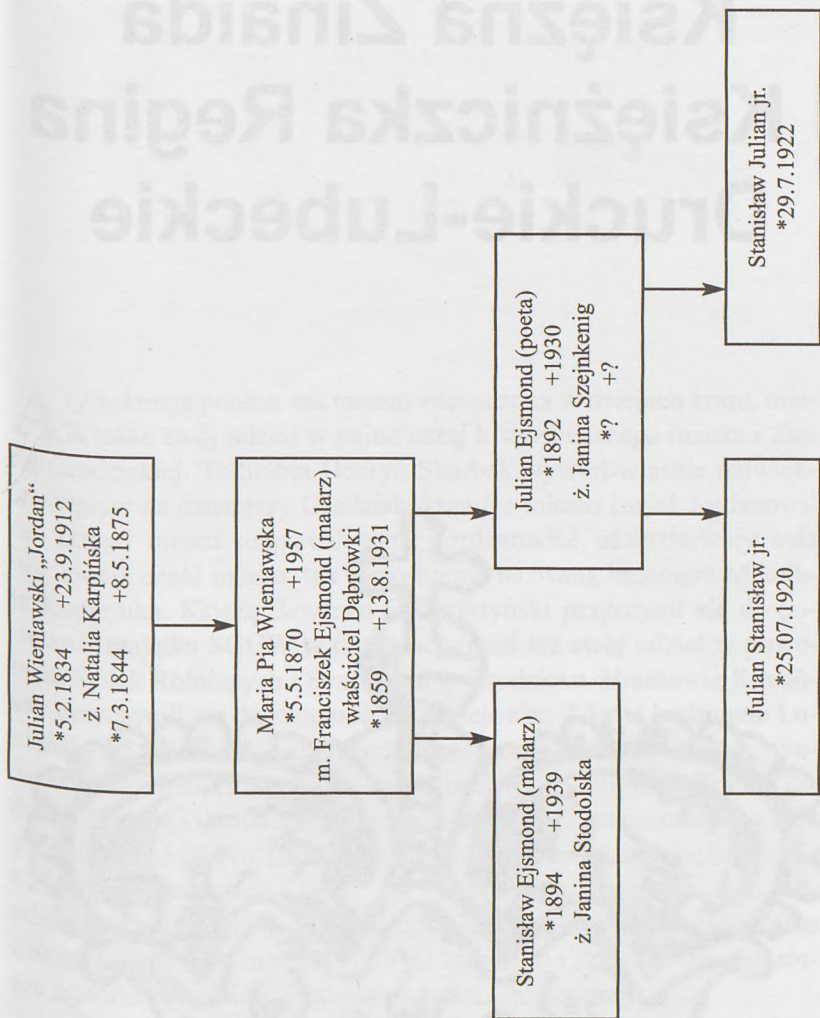
Odbicie słońca, padające na rzekę, tworzy olśniewający i oślepiający złoty most, diamentowy most z żywych, drgających

iskier... Myśliwy odpoczywa nad wodą na różowym piasku... Powoli rytm płynących fal uspokaja go i upaja...

Lecz pora wstać i iść na dalsze łowy... Przedwieczorna cisza sprzyja dobrym strzałom... Zniżające się ku zachodowi słońce rozlewa różaną jakąś łagodność po uśmiechniętych polach, różowi rżyska, podorywy...

Wieczór się zbliża. Do domu czas. Przy torbie zwisa ciężar zdobyczy...

Słońce już zaszło. Pola powoli zapadają w mrok. Na mrocznej zieleni łąki znaczy się srebrna linja dalekiej rzeki — za rzeką czarne pasmo lasu... Nad lasem niebo różowe, a na jego różanem tle lśni pierwsza złota gwiazda...



Księżna Zinaida i Księżniczka Regina Druckie-Lubeckie



Arystokracja polska, tak mocno zaznaczona w dziejach kraju, miała także swój udział w najnowszej historii naszego miasta i Ziemi Grodziskiej. To hrabia Henryk Skarbek wywarł właśnie największy wpływ na dzisiejszy Grodzisk, kupując miasto i wieś Jordanowice. Dzięki niemu rozparcelowane Jordanowice ukształtowały całą wschodnią część miasta, tak niefortunnie nazwaną imieniem Mikołaja Kopernika. Książę Seweryn Czetwertyński przyczynił się do powstania majątku SGGW w Chylicach, miał też swój udział w powołaniu Kółek Rolniczych i Syndykatu w Grodzisku. Hrabiowie Krasieńscy przyczynili się do świetności Radziejowic. Z kolei hrabiowie Łubieńscy i Sobańscy w Guzowie byli pionierami cukrownictwa i swoim dobrodziejstwem wpłynęli na rozbudowę Żyrardowa. Hrabia Tadeusz Poniński, bohaterski uczestnik powstania warszawskiego, był stałym mieszkańcem Grodziska. Osobiście pamiętam księżnę Annę Czartoryską, kierującą Ogniskiem Plastycznym w czasach jego największej świetności, do którego też miałem zaszczyt uczęszczać. Do książąt Radziwiłłów należał pobliski Młochów i Rozalin. Oto najkrótsza historia związków Grodziska z polską arystokracją.

Tymczasem byłaby ona niepełna, gdyby nie wspomnieć tu o dwóch paniach Druckich-Lubeckich - matki Zinaidy i córki Reginy, które los rzucił do naszego miasta i gdzie dokonały żywota. Znalazły się tutaj po powstaniu warszawskim wyrzucone wraz z innymi mieszkańcami Warszawy i pozostały tu na zawsze. Usilne poszukiwania, w dokumentach i in situ nie pozwoliły odnaleźć ich grobów na grodzi-



Dom przy ul. Ziemiańskiej, prawdopodobne miejsce zamieszkania Zinaidy i Reginy.

skim cmentarzu, które pewno zapomniane zarosły zielskiem i wreszcie zostały wykorzystane do następnego pochówku.

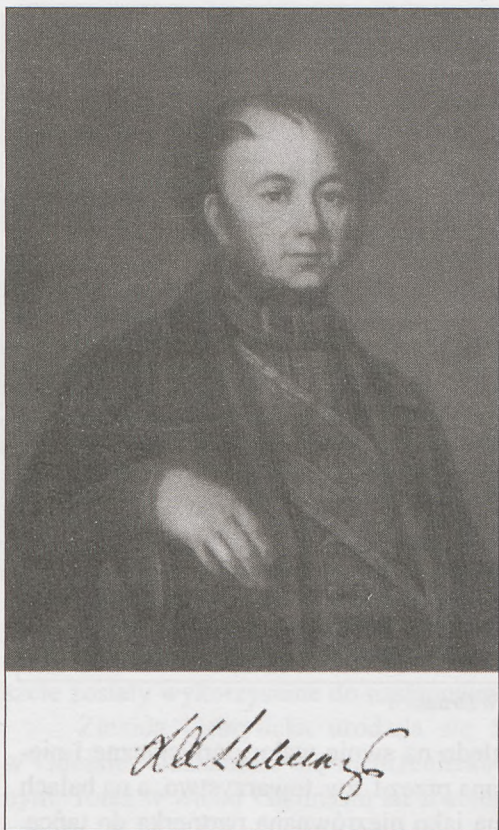
Zinaida Gabrylicka urodziła się 5 października 1885 roku w Odessie. Odznaczała się nieprzeciętną urodą i talentem muzycznym. Toteż w wieku kilkunastu lat została tancerką estradową i śpiewaczką. Rychło też została zauważona w świecie kulturalnym Rosji i przeniosła się do Petersburga. Nosiła tam nazwisko Zinaida Gabriela Alberti nie wiadomo czy jako artystyczny pseudonim, czy z pierwszego męża. W każdym razie wydała się za bogatego arystokratę księcia Franciszka Mariana Druckiego Lubeckiego. Książę zajmował wówczas stanowisko sekretarza Kancelarii Rosyjskiej Rady Państwa, reprezentował też jeden z najstarszych rodów książęcych w Rosji, wywodzący się z cesarskiego pnia Rurykowiczów. „Ruscy książęta z Rurykowego szczepu wsiąkli po części w polską, po części w rosyjską arystokrację. Drucy dzielą toż samo los wszystkich Rurykowiczów, jedną gałęzią zrosnięci od wieków z Polską, drugą przez Moskwę - z Rosją; inne linie wygasły.“ – tak pisał o Druckich Lubeckich Stani-

sław Smolka. Franci-
szek Marian, reprezen-
tujący polską gałąź
książąt, spokrewniony
był z carami Rosji,
przynajmniej z cztere-
ma królami Polski
i licznymi monarchami
europejskimi. Toteż je-
go małżeństwo ze śpie-
waczką i tancerką za-
równo przez ród ksią-
żęcy, jak i postronnych
wizdów został przyjęty
jak mezalians. Jeden
z moich rozmówców,
spokrewniony z Druc-
kimi Lubeckimi
stwierdził, że pani Al-
berti – jak określił –
„była w rodzinie źle



Herb Druckich

znoszona”. Jednakże ze względu na swoje walory artystyczne i niezwykłą urodę była akceptowana przez t. zw. towarzystwo, a na balach i rautach była rozchwytywana jako niezrównana partnerka do tańca. Tenże sam mój znajomy twierdził, że w przedwojennej Polsce, gdzie przebywała rodzina Druckich - Lubeckich, była pani Zinaida pierwszą damą balów oficerskich, a major Henryk Dobrzański, późniejszy „Hubal“, był jej częstym partnerem. Tak oto pisał ten znajomy: „Obecności Zinaidy na balach pułkowych nie należy się dziwić, gdy zważymy, że była jednak (młodsza o 8 lat) ciotką płk Konstantego Druckiego - Lubeckiego, dowódcy 2 p. szwoleżerów, wykładowcy w CWK w Grudziądzu, a we wrześniu 1939 dowódcą Wileńskiej Brygady Kawalerii. Mjr Henryk Dobrzański, świetny jeździec, znany był jako wielbiciel płci pięknej, na balach tych tańczył równie często z żoną Konstantego, słynną z urody Marią z Krasieńskich (1899-1987).“



Książę Xawery Drucki-Lubecki

W powojennej Polsce Franciszek Marian Drucki - Lubecki, prezes Związku Ziemiaków na Polesiu, cieszył się powszechnym szacunkiem. Znalazło to potwierdzenie po objęciu przez księcia fotela senatora Rzeczypospolitej, który piastował w latach 1928-1935. W carskiej Rosji ukończył Liceum Aleksandrowskie, które wprawdzie nie było wyższą uczelnią, jednak wypuszczało prawników o najwyższym poziomie wiedzy. W powojennej Polsce udzielał się społecznie będąc radnym gminy Łunin (książę - radnym gminnym!), do wyborów parlamentarnych w 1928 roku startował z listy nr 1 Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem. Był podporucznikiem w armii rosyjskiej, zweryfikowanym z tym stopniem w Wojsku Polskim. Państwo Drucki-Lubeccy zajmowali przestronne mieszkanie w kamienicy przy dzisiejszej alei Wyzwolenia. Tam ich zastała wojna, a potem powstanie warszawskie. Mieszkała też z nimi córka Regina, urodzona w Petersburgu 10 sierpnia 1914 roku. Niektórzy twierdzą, że zafałszowała te datę, podaną tutaj za istniejącymi aktami stanu cywilnego w Grodzisku, ujmując sobie z życiorysu lat dziesięć. Nie wydaje się to być prawdą, albowiem porównanie dat urodzenia matki i córki i dość młody wygląd Reginy w latach sześć-

dziesiątych w jakiś sposób temu zaprzecza. Aliści jakby nie było, księżniczka Regina urodziła w 1940 roku nieślubnego syna o imionach Władysław Edwin, którego akt chrztu znajduje się w parafii św. Zbawiciela w Warszawie. Regina przeszła konspiracyjne przeszkolenie sanitarne i w czasie powstania pełniła funkcje sanitariuszki. Tam też została postrzelona w obie nogi. Nie była też tak piękna, jak jej matka. Jej twarz nosiła charakterystyczne dla tej rodziny cechy urody. Tak jak Habsburgowie odzna-



Franciszek Drucki-Lubecki

czali się przerostem dolnej szczęki, tak Drucy Lubeccy mieli lekko spłaszczone, „kwadratowe“ głowy. Cecha ta była przenoszona z pokolenia na pokolenie, co można porównać na starych i nowszych ilustracjach, ukazujących konterfekty książęcej rodziny.

Dramat wziął swój początek, kiedy Niemcy zdecydowali się na ewakuację mieszkańców z dzielnicy, w której Drucy - Lubeccy mieszkali. Czereda hitlerowców wpadła do budynku i nakazała natychmiastowe opuszczenie mieszkań. Starego księcia – miał już 66 lat – zgubiło zamiłowanie jego żony do rzeczy zbytkowych. O ile o Zuli Pogorzelskiej krążyła przysłówka „to Zula to Zula w futerko się otula“, o żonie księcia Franciszka śpiewano „to Zina to Zina w futerko się opina“. Toteż kiedy z kamienicy zbiegł na podwórko przerażony tłum wypędzonych z tobołkami i przypadkowo w pośpiechu zabrany mi przedmiotami, pani Zinaida przypomniała sobie o pozostawionym w mieszkaniu futrze: „Franiu, a futro....“ zajęczała, a stary książę po-

wędrował na schody, gdzie został przyłapany przez rozwścieczonych żandarmów, którzy go zwyczajnie zastrzelili. Panie zostały same, bez opieki mężczyzny, bez zasobów materialnych i bez oparcia w kimkolwiek. Po obozie w Pruszkowie, a może i bez obozu, znalazły się na bruku w Grodzisku, gdzie je ktoś przygarnął, dając im lokum w dworcu na peryferiach miasta, przy ul. Kresowej 3. Tu pędziły nędzny żywot ludzi niepotrzebnych w czasach komunizmu, jak tyle innych osób, które zgodnie z stytucją PRL miały być: „ograniczane, wypierane i likwidowane“ jako należące do klas „żyjących z wyzysku“. (Art. 3 ust. 7 konstytucji z 22 lipca 1952 - obowiązywał do 1976 roku!). Pani Zinaida Drucka Lubecka primo voto Alberti, de domo Gabrylicka, córka Arkadiusza i Eugenii Wreto zmarła 22 marca 1968 roku w Grodzisku i tamże została pochowana. Córka Regina przeżyła matkę o lat siedem, zmarła w szpitalu w Turczynku 29 grudnia 1975r. i także została pochowana w Grodzisku. Jak się rzekło, śladu po ich grobach nie ma. Książę senator nie przeżył wojny i być może uniknął losu innych senatorów II Rzeczypospolitej, a także licznych polskich arystokratów, których dosięgnęły łagry, więzienia i śmierć z rąk NKWD i UB. Mój cytowany wcześniej rozmówca, także arystokrata, kiedy zwrócił się w tym czasie o wsparcie do odpowiedniego urzędu, usłyszał: „burżujskie nasienie – ma za swoje!“.

Opowiadanie Pani Elżbiety Potyńskiej
(dn. 5. 11. 2000 w Grodzisku Mazowieckim)

Chyba zacznę od tego, że w latach sześćdziesiątych moja mama (teściowa) przyniosła do domu wiadomość o tym, że są w potrzebie takie dwie panie mieszkające w Grodzisku. Były to panie z rodu książęcego, Druckich - Lubeckich; matka i córka. Od tej pory zaczęliśmy bywać w ich domu. Warunki w których żyły, były bardzo trudne. Obie panie zamieszkiwały w jednym pokoju, jeśli sobie dobrze przypominam, prawdopodobnie z dwoma oknami. Wchodziło się do tego pokoju przez ganek, który był bardzo zrujnowany, praktycznie rozbity i rozwalony z „chwiejącą“ się podłogą. Kobiety praktycznie były zdane tylko na siebie. Starsza kobieta matka, ze względu chyba



RZECZPOSPOLITA POLSKA

Województwo mazowieckie

Urząd Stanu Cywilnego w Grodzisku Mazowieckim

Odpis skrócony aktu zgonu

I. DANE DOTYCZĄCE OSOBY ZMARŁEJ:

- 1. Nazwisko Drucko - Lubecka
2. Imię (imiona) Zynaida Gabryela
Nazwisko rodowe Gabrylicka
4. Stan cywilny wdowa
5. Data urodzenia 05 października 1885 roku
6. Miejsce urodzenia Odessa
7. Ostatnie miejsce zamieszkania Grodzisk Maz. ul. Kresowa 3/5

II. DANE DOTYCZĄCE DATY I MIEJSCA ZGONU:

- 1. Data 22 marca 1968 roku / 22.03.1968/
2. Miejsce Grodzisk Mazowiecki

III. DANE DOTYCZĄCE MAŁŻONKA OSOBY ZMARŁEJ:

- 1. Nazwisko Drucko Lubecki
2. Imię (imiona) Franciszek
3. Nazwisko rodowe

IV. DANE DOTYCZĄCE RODZICÓW OSOBY ZMARŁEJ:

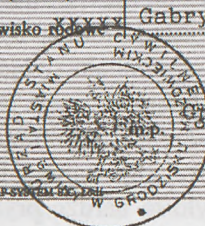
Table with 2 columns: Ojciec, Matka. Row 1: Imię (imiona) Arkadiusz, Eugenia. Row 2: Nazwisko rodowe Gabrylicki, Gabrylicka.

Poświadczam się zgodność powyższego odpisu z treścią aktu zgonu Nr 58/1968

Grodzisk Maz. data 27.09.1999

Kierownik Urzędu Stanu Cywilnego

miejsce na opłatę skarbową



na starość i panujące w pokoju warunki nie umiała się w tym wszystkim znaleźć. Prawdopodobnie nie wychodziła nigdzie, może nawet przyczyną była dotykająca ją wszechobecna bieda. Spoglądając na córkę, dało się zauważyć nie zagojone rany na nogach, rany z czasów wojny, stąd wychodzenie jej poza dom było ograniczone, czy wręcz niemożliwe. Uliczka przy której stał dom, znajdowała się na uboczu w dużej odległości od centrum, więc wybranie się pań na zakupy było ogromnym problemem. Korzystały z pomocy sąsiedzkiej, ale mówiły, że nawet jeśli ktoś kupił im przysłowiowe bułki, musiały za tzw. fatygę zapłacić drugie tyle. Bardzo trudno jest mi powiedzieć czy miały jakieś środki na życie, musiały jednak mieć skoro jakoś egzystowały. Bardzo trudno mi jest sobie przypomnieć jak często z mężem bywaliśmy w tym domu, może raz w tygodniu albo rzadziej. Przynosiliśmy im to czym sami dysponowaliśmy. Pomoc była bardzo mile przez nie przyjmowana, była to sucha herbata, jakieś kasze, czasami był to kawałek mięsa (cielęciny), łakocie, przetwory zimowe. Dało się jednak zauważyć pewne zażenowanie i zawstydzenie przed przyjęciem tych rzeczy, ale i jednocześnie pewną ciekawość, co w tych przyniesionych opakowaniach było. Bardzo dziękowały za wszystko. Dużą niedogodnością było to, że dwie kobiety mieszkały w jednym pokoju. Córka była stosunkowo młoda, nie mogę powiedzieć, ile lat miała matka, ale była już mocno starszą osobą. Obie kobiety były skazane na swoje towarzystwo, oglądanie swoich twarzy, bólu, różnych humorów, sytuacja była bez wyjścia. Z mężem zaproponowaliśmy zrobienie przepierzenia między łózkami, z tkaniny opartej na konstrukcji, dzięki jej zawieszeniu został pokój podzielony, stwarzał elementarne warunki intymności. Ktoś z mieszkańców dał im stary fotel, z niego również się cieszyły. Ale najważniejsze jest to, że była możliwość z kimś porozmawiać. Stara księżna wspominała swoje warunki w jakich żyła przed wojną i jak wszystko runęło w czasie jej trwania i po utracie męża. Warunki były bardzo trudne jak wspomniałam, potęgowało je jednak to, że nie były do nich przyzwyczajone. Korzystały wtedy z jakiegoś wiaderka na wodę, było to bardzo prymitywne. Uroda starszej pani mnie zachwyciła, szczególnie piękne aksamitne oczy, siwa zupełnie biała fryzura, twarz z niedużym nosem, który był

ładnie wymodelowany. Taką ją pamiętam, nie wiem czy gdybym zobaczyła ją na zdjęciu pośród innych starszych pań, czy bym ją rozpoznała czy nie. Jest to jakieś wspomnienie bardzo głębokie, o kimś z którym przez jakiś czas się przebywało. Straciłam z nimi kontakt, bowiem urodziły się moje dzieci i miałam inne obowiązki. W niedługim czasie jak mi się wydaje panie zmarły, nie pamiętam kiedy to się stało.

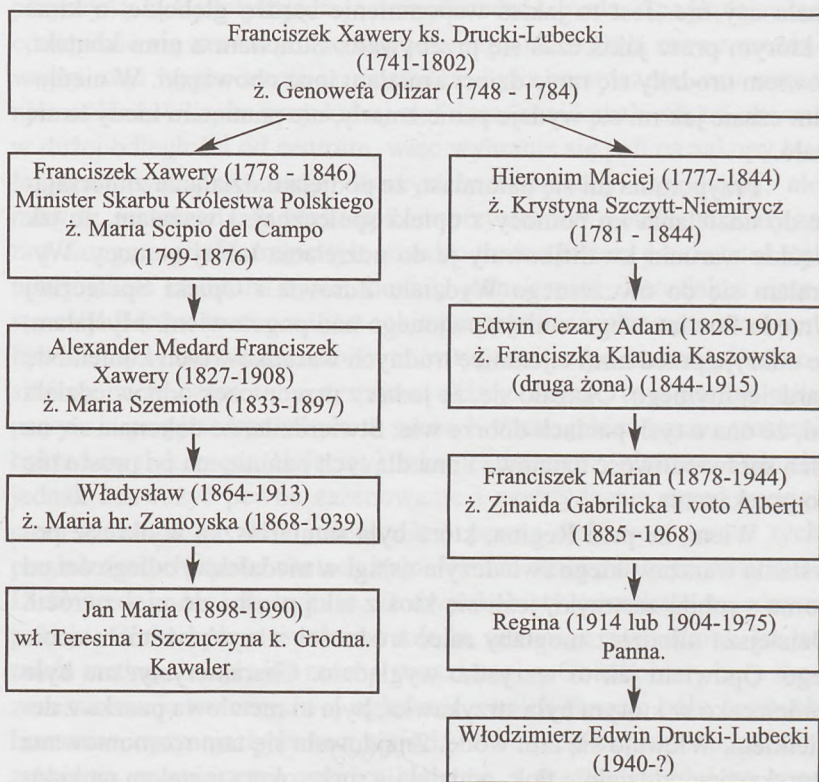
Przypomina mi się natomiast, że podjęłam działania zmierzające do udzielania im pomocy z opieki społecznej. Uważałam, że tak ciężkie warunki kwalifikowały je do udzielania takiej pomocy. Wybrałam się do ówczesnego Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu Powiatowego umiejscowionego nad pogotowiem. Myślałam, że odkryję przed nimi tajemnice trudnych warunków tych kobiet. Nic bardziej mylnego. Okazało się, że jedna z urzędniczek odpowiedziała mi, że ona o tych paniach dobrze wie. Stwierdziła, że dokonana się na nich sprawiedliwość dziejowa i ona dla tych pań nie ma po prostu nic do przekazania.

Wiem, że pani Regina, która była sanitariuszką w okresie powstania warszawskiego świadczyła usługi w niedalekiej odległości od domu - robiła zastrzyki, jeśli się ktoś z taką prośbą do niej zwrócił. Dzisiejsza młodzież mogłaby mieć trudności z wyobrazeniem sobie tego. Opowiem jak to wszystko wyglądało. Charakterystyczne było pudełeczko w którym była strzykawka, była to metalowa puszka z dekielkiem. Wlewało się tam wodę. Znajdowała się tam rozmontowana strzykawka, oddzielnie tłok, oddzielnie rurka okuta metalem na krańcach szkła. To wszystko się gotowało przez około 10 minut, zanim się przygotowało do użycia. Igły były też wielokrotnego użytku. Taki sprzęt miała zachowany z czasów wojny. Dzięki temu świadczyła takie usługi.

* * *

Studiując akta stanu cywilnego w Grodzisku odnaleźć można wszakże pewną zagadkową nieścisłość dotyczącą bohaterki opowiadania. Otóż Zinaida Gabrylicka-Alberti wyszła za mąż za księcia

Genealogia Druckich-Lubeckich i ich majątki



Franciszka Mariana Druckiego-Lubeckiego w 1921 roku. Natomiast ich córka Regina urodziła się trochę wcześniej... Mogła to więc być córka Zinaidy z pierwszego małżeństwa, lub też akt ślubu zaznaczony w dokumentach USC w Grodzisku mógł być wystawiony później. Jeśli ślub był zawarty przed rewolucją w Rosji, to dokumenty mogły być odtwarzane znacznie później. Podobne komplikacje mogły też wynikać z różnej wiary małżonków. Nie wyciągamy więc zbyt pochopnych wniosków.

Jeśli chodzi o majątki Druckich - Lubeckich, to nie sięgając korenien tkwiących w historii bardzo dawnej, a opierając się na „Dziejach rezydencji“ prof. Aftanazego kilka z nich można przywołać.

Mańkowicze na Wileńszczyźnie. Od 1800 roku w rękach Druckich-Lubeckich, przejęte z posagiem żony.

Szczuczyn koło Grodna otrzymał Franciszek Xawery minister wraz z posagiem żony Marii Scipio del Campo.

Czerłona w Trockiem, Franciszek Xawery minister odziedziczył po ojcu.

Stanisławów także w Trockiem od połowy XIX w. (z folwarkiem Druck) w rękach książęcych. Należał do Jana Marii z Teresina.

Łunin - najważniejsza z posiadłości i najstarsza siedziba Druckich - Lubeckich (w powiecie pińskim). Należała do Franciszka Mariana.

Pohost Zahorodzki w powiecie pińskim. Ostatnim dziedzicem Pohosta był także Franciszek Marian.

Nowo-Pole od 1877 należą do rodziny Druckich - Lubeckich. Województwo Mińskie.

Czereje w województwie Połockim w XVI w. należały do Druckich - Lubeckich.

Do najstarszych siedzib książęcego rodu Druckich - Lubeckich należy Druck, nad rzeką Drucią - między Mohylewem i Orszą w województwie Witebskim. Osada ta zaliczana jest do najstarszych miejscowości w północno-wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej.

Teresin - trochę ponad 20 km od Grodziska.

Z historią tego majątku wiąże się opowieść prof. Jana Pruszyńskiego, nadesłana łaskawie po moim apelu o informacje dotyczące rodziny Druckich - Lubeckich.

Parcelując część majątku ks. Jan wystawił na sprzedaż Teresin. Gotowość kupna zgłosił franciszkanin ojciec Maksymilian Kolbe poszukujący w okolicy Warszawy miejsca na klasztor. Zakonnicy ustawili na jego przyszłym miejscu figurę Matki Boskiej. Cena - choć nie wygórowana - przekraczała jednak możliwości zakonu wg reguły ubogiego, więc o. Kolbe oznajmił właścicielowi, że rezygnuje z kupna. Rozmowa miała miejsce w gabinecie, z okien którego widać było

pole, miedzę i figurę. Wg rodzinnej opowieści ks. Jan patrząc w okno zainteresował się statua, mówiąc: „Jeśli ojcowie nie kupią gruntu, to zapewne zechcą ją wziąć?“. „Nie - odparł o. Maksymilian - darujemy ją księciu, niech strzeże jego pól“. „To ja wam w takim razie daruję pole, na którym stoi - odparł szybko książe“. Na miejscu tym wznosi się dziś kościół i klasztor w Niepokalanowie, ojciec Maksymilian Maria Kolbe - męczennik niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz w Oświęcimiu, który dobrowolnie oddał życie za współwięźnia został kanonizowany w 1982 roku. A ks. Jan Drucki - Lubeczki?.... Powrócił z emigracji na kilka miesięcy przed śmiercią. Wdzięczni franciszkanie udzielili mu schronienia przy klasztorze. Zmarł w 1990 roku i spoczął w kwaterze zakonnej na miejscowym cmentarzu.

BIBLIOGRAFIA:

Archiwa:

1. Archiwum Urzędu Stanu Cywilnego w Grodzisku Mazowieckim;

Książki:

1. Rzepeccy Tadeusz i Karol, Sejm i Senat 1928-1935, Poznań 1928;
2. Łoza Stanisław, Kto był kim w Drugiej Rzeczypospolitej, Warszawa 1994;
3. Senatorowie w latach II wojny światowej, Warszawa 1998;
4. Smolka Stanisław, Polityka Lubeckiego przed powstaniem listopadowym, t. I, Kraków 1907;
5. Szenic Stanisław, Pitaval Warszawski, Warszawa 1975;
6. Roztworowski Mateusz Emanuel, Popioły i korzenie, Kraków 1985;
7. Aftanazy Roman, Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej, t. -1-11, Wrocław 1991-1997:

Informacje osób:

1. Elżbieta Potyńska, rozmowa nagrana na taśmie magnetofonowej;
2. Dangel Teresa, informacje;
3. prof. Jan Pruszyński, informacje;
4. Tomasz Lenczewski, informacje genealogiczne rodziny Druckich-Lubeckich

Marek Edelman



Mój nieoceniony przyjaciel Rufin, poznawszy mój zamiar, co do tematu następnej książki - o sławnych i zasłużonych grodziszczanach - stwierdził po namyśle, że nie wolno w takim zbiorze pominąć osoby doktora Marka Edelmana, ostatniego dowódcy powstania w getcie warszawskim w 1943 roku. „Wszak mieszkał po wojnie w Grodzisku“ - stwierdził i w ten sposób popchnął mnie do działania. Niestety, zacząłem sprawę od końca. Nim bowiem zebrałem tzw. literaturę tematu, by poznać z opisów ten fragment biografii pana doktora, który wiąże się z naszym miastem, wpadłem na pomysł, by odszukać jego łódzki numer telefonu i zdobyć trochę informacji u źródła. „Przede wszystkim mieszkałem w Grodzisku w czasie wojny, a nie po wojnie“ - sprostował Marek Edelman. Potem w kilku słowach opisał swoją wędrówkę z Żoliborza do Grodziska po upadku powstania warszawskiego. „Mieszkałem wtedy gdzieś w rejonie ulicy 3 Maja u rodziny Kornackich“ - stwierdził. „Na parterze budynku mieścił się niemiecki sztab do walki z partyzantami.“ Dokonałem wizji lokalnej, oglądałem domy, konfrontowałem z wojenną historią tego rejonu i po konsultacjach z panem Jerzym Redlem, byłym AK-owcem, i mieszkańcem tamtej okolicy doszedłem do przekonania, że miejscem, gdzie przebywał Marek Edelman jest willa „Stachówek“ przy ul. 3 Maja, gdzie w czasie wojny w piwnicach był bar dla Niemców, na parterze zaś mieszkali oficerowie hitlerowscy. Być może na piętrze mieszkała jakaś polska rodzina, która - jak większość mieszkańców Grodziska - przygarnęła po powstaniu warszawskim uchodźców. Kil-

kadziesiąt metrów od „Stachówka“, w szkole Krupińskiego, stacjonowała jednostka niemiecka. Był to moment likwidacji Zgrupowania Kampinoskiego AK i „wyczyszczenia“ okolicy z partyzantów. Grupa oficerów SS lub Wehrmachtu na parterze willi mogła więc sprawiać wrażenie „sztabu“, a może nawet nim była. Równie niepewna informacja dotyczy rodziny Kornackich, która przechowywała Marka Edelmana. Mieszkańców Grodziska o tym nazwisku jest kilkunastu. Niestety, żaden z nich nie mieszka obecnie w rejonie ul. 3 Maja. Służby archiwalne Urzędu Miasta próbowały na moją prośbę ustalić stan rzeczy z końca lat okupacji, lecz bez skutku. W sumie więc wiemy niewiele.

Marek Edelman urodził się w 1922 roku. Tak przynajmniej podają encyklopedie (NEP PWN). On sam mówi: „Ojciec umarł, jak miałem może cztery, może pięć lat - w 1924, może w 1926 roku, a ja urodziłem się w 1922.“ Anka Grupińska w swojej książce pt. „Ciagle po kole“, z której pochodzi powyższy cytat, podaje w przypisach datę 1 stycznia 1919 roku. Z kolei w książce „Strażnik“ Edelman stwierdza, że urodził się w 1921 roku. Trudno, tej daty nie da się ściśle ustalić, tak, jak daty urodzenia Janusza Korczaka (1878 lub 1879), czy Mieczysława Najdorfa (o którym jest mowa w innym miejscu). Urodził się prawdopodobnie w Warszawie, ale być może w Homlu, skąd pochodziła jego rodzina. Młodość jednakże spędził w Warszawie, chodząc tam do szkół, Potem wybuchła wojna i po wkroczeniu Niemców wraz z innymi Żydami Warszawy znalazł się w getcie. Tam został zatrudniony w szpitalu, biorąc jednocześnie udział w życiu społecznym i politycznym. Był jednym z nielicznych mieszkańców getta, którzy mogli legalnie wychodzić na stronę polską, do czego upoważniała go przepustka wystawiana przez szpital. Szczegóły jego życia w getcie i działalności w Bundzie opisane są w licznych publikacjach i wywiadach, których udzielał. Sam też, zaraz po zakończeniu wojny, opisał ostatnie dni istnienia getta, kiedy wybuchło powstanie zorganizowane przez podziemny żydowski ruch oporu. Nas interesuje najmniej znany epizod grodziski, który liczyć możemy od dnia 15 listopada 1944 roku, do 18 stycznia 1945 roku, czyli zaledwie dwa miesiące, co liczone matematycznie w zyciorysie tak bogatym jest tyl-

ko okrucieństwem. Życie ludzkie składa się z przypadków, a także ze zdarzeń wywołanych własnym wyborem. „Epizod grodziski“ Marka Edelmana bez wątpienia należy do tych pierwszych. Został wywołany poprzez wydarzenia ostatnich dni powstania warszawskiego. Ale jak do tego doszło.

Na terenie getta warszawskiego działała konspiracyjna Żydowska Organizacja Bojowa. Powstała ona w drugiej połowie 1942 roku i swoim zasięgiem wychodziła poza mury getta. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w coraz większym stopniu Żydzi uświadamiali sobie cele polityki hitlerowskiej w stosunku do narodu żydowskiego. Wobec nieuchronnej zagłady, jaką szykowali Żydom Niemcy, liczne podziemne organizacje polityczne zdecydowały się na utworzenie organizacji, której celem była walka zbrojna i opór wobec okupanta. Marek Edelman, choć bardzo młody, wchodził w skład kierownictwa Żydowskiej Organizacji Bojowej. Szykowała się ona do walki z Niemcami poprzez gromadzenie broni, rozbudowę systemu podziemnych umocnień w budynkach getta i szukania kontaktów z polskim podziemiem AK-owskim i AL-owskim. Oczywiście opór zbrojny miał tylko wówczas sens, jeśli tej broni można było zgromadzić odpowiednią ilość. Jaka to była ilość „odpowiednia“? Otóż szansa na zwycięstwo, czy nawet skuteczną obronę życia jakiejś liczby Żydów w gettcie nie było w ogóle. Wobec bliskiej perspektywy fizycznej likwidacji wszystkich Żydów w gettcie chodziło tylko o demonstrację bojową, o honor, o danie świadectwa światu.

Kiedy Niemcy zdecydowali się na ostateczną eksterminację mieszkańców getta warszawskiego w kwietniu 1943 roku, Żydowska Organizacja Bojowa liczyła ponad dwustu uzbrojonych żołnierzy, zgrupowanych w kilku wyznaczonych punktach oporu. „W Niedzielę Palmową, 18 kwietnia 1943 roku, rozeszły się w Warszawie pogłoski, że w najbliższych godzinach odbędzie się jakaś wielka akcja policyjna w gettcie, na co wskazywało m.in. znaczne skupienie w mieście kolaboracyjnych oddziałów pomocniczych ukraińsko-litewsko-łotewskich. Pogłoski te przeniknęły i do getta, gdy więc w poniedziałek Wielkiego Tygodnia przed świtem policja niemiecka, formacje kolaboracyjne oraz policja „granatowa“ otoczyły szczelnym kordonem

mury dzielnicy żydowskiej, zaalarmowane tym grupy bojowe ŻOB zajęły umocnione stanowiska na Nalewkach, Miłej, Zamenhofa, Placu Muranowskim oraz w kilku innych miejscach.“ – pisze Władysław Bartoszewski. 19 kwietnia o świcie istotnie do getta wkroczyły oddziały SS, liczące blisko 870 żołnierzy, z towarzyszeniem czołgów. Nieliczni bojownicy ŻOB przywitani ich ogniem osiągając znaczny sukces zabijając 12 żołnierzy hitlerowskich i niszcząc czołg. W getcie było ogółem około 60 tysięcy ludności cywilnej i tych 220 nieszczęśliwych, bo skazanych na śmierć bojowców. Wszyscy byli „nieszczęśliwi“, bo wszystkich czekał ten sam los. „Opór zbrojny getta - pisał ten sam Władysław Bartoszewski - wywołał wielkie poruszenie w Warszawie. Tłumy ludzi gromadziły się wokół murów, a w szczególności na ulicy Bonifraterskiej, skąd widoczna była flaga biało-czerwona zawieszona obok żydowskiej biało-niebieskiej na wysokim pięttrze jednego z domów przy Placu Muranowskim, gdzie walczył oddział Żydowskiego Związku Wojskowego.“ Niemcy wprowadzają coraz większe siły do walki. obrońców getta atakują także czołgi, a z powietrza samoloty niemieckie. Nad dzielnicą unosi się chmura dymu, słychać trzask wystrzałów i huk bomb. Niemcy przyjmują taktykę spalonej ziemi, równając z ziemią dom po domu. Mimo przesądnego wyniku walka trwa trzy tygodnie - dopiero 10 maja milkną strzały obrońców. „10 maja 1943 roku kończy się pierwszy okres krwawej historii Żydów warszawskich, pierwszy okres naszej krwawej historii“ pisze Marek Edelman. 16 maja dowodzący siłami niemieckimi w getcie generał Jurgen Stroop pisze do generała Krügera: „Była dzielnica żydowska w Warszawie przestała istnieć. Wielka akcja została zakończona o godzinie 20.15 przez wysadzenie w powietrze warszawskiej synagogi“. Niemcy liczyli na to, że uda im się wysłać do obozów zagłady ludność getta bez własnych strat. Tymczasem w tych ostatnich dniach ewakuacji zginęło 16 atakujących, a 85 żołnierzy zostało rannych.

Niewielu bojownikom ŻOB udało się uniknąć śmierci. Większość z nich zginęła w walce, część w ostatniej chwili popełniła samobójstwo kilkoro zaś przedostało się kanałami do części Warszawy zamieszkałej przez Polaków. W straszliwych warunkach, ginąc od gra-



Willa Stachówek w Grodzisku Maz. fot. Rafał Lewandowicz

natów niemieckich wrzucanych przez władze, topiąc się w błocie, przedzierali się przez wiele godzin by wyjść gdzieś w polskiej części nie wiedząc co ich tam spotka.

Po wyjściu z getta powstał problem; co dalej? Grupa Żydów ukrywała się w różnych domach w Warszawie, niektórzy poszli do partyzantki w lasach. Sięgnijmy do opisów wyjścia z getta pióra samego Edelmana. Była to chyba najtrudniejsza operacja w całej powstańczej operacji. W „Strażniku“ Edelman pisze: „Z getta wyszliśmy podziemnymi kanałami, rankiem 10 maja. Dzięki »Kazikowi«, świetnemu chłopakowi, który podczas powstania poszedł na stronę aryjską i tam wykonał dla nas znakomitą robotę. Miał tak zwany dobry wygląd. Do tego urodził się i wyrósł na Powiślu, to był po prostu chłopak z Powiśla. »Krzaczek«, który współpracował z »Kazikiem«, wystarał się o ciężarówkę. »Kazik« razem z dwoma kanalarzami przyszedł kanałami zabrać nas z getta. Tę ciężarówkę »Kazik« wymusił na ludziach, którzy nie bardzo byli pewni. Czekaliśmy na nią w kanale pod włazem przez wiele godzin, ale w końcu przyjechała. Stanę-



Marek Edelman, zdjęcie z kenkarty

ła na zbiegu ulic Łuckiej, Prostej i Wroniej, niedaleko murów getta. Rankiem wyszliśmy z kanału – brudni, śmierdzący, wychudzeni, a ludzie stali wokoło i patrzeli na nas. To było prawdziwe szaleństwo. Jednak część naszych kolegów pozostała głębiej w kanale. Nie mogliśmy wszyscy zmieścić się pod włazem. Na chwilę przed otwarciem kłapy i naszym wyjściem ktoś zawrócił, aby sprawdzić, czy idą za nami inni. Spieszyliśmy się. Ciężarówka nie mogła tam tkwić i czekać na tych, co się spóźniali. Smutno i strasznie było opuszczać kolegów. Wtedy, żeby nas uspokoić, »Kazik« powiedział, że za chwilę przyjedzie druga ciężarówka. Pojechaliliśmy więc bez wyrzutów sumienia, albo prawie. Ta druga ciężarówka nigdy nie przyjechała.“ W książce „Getto walczy“ pióra tego samego autora czytamy nieco odmienny opis tego samego, dramatycznego wydarzenia. Pamiętajmy jednak, że oba opisy dzieli przeszło pięćdziesiąt lat. „Getto Walczy“ ukazało się po raz pierwszy w 1943 roku. „10 maja o godzinie 10 rano przed właz na ulicy Prostej róg Twardej zajeżdżają dwa ciężarowe samochody. W biały dzień, bez żadnej prawie obstawy (umówiona obstawa AK zawiodła i ulicę patrolują tylko trzej nasi łącznicy i jeden specjalnie delegowany do tej pracy przedstawiciel AL - tow. Krzaczek) - otwiera się kłapa włazu i jeden po drugim, na oczach zdumionego tłumu, wychodzili z czarnej jamy Żydzi z bronią w ręku (w owym czasie już sam widok Żyda jest sensacją). Nie wszyscy zdążą się wydostać. Gwałtownie, ciężko zatraskuje się kłapa włazu – pełnym gazem odjeżdżają samochody“. Po wyprowadzeniu z kanału kilkudziesięciu Żydów przewieziono ich do Łomianek, skąd część z nich poszła do partyzantki, kilku zaś z Markiem Edelmanem ukrywała się w Warszawie przy

ul Leszno 18. Tam ukrywali się prócz Edelmana „Antek“ – Icchak Cukierman, „Celina“ – Cywia Lubetkin i Stasia – Ryfka Rozensztajn. W mieszkaniu tym przechowywano także broń, archiwum ŻOB-u, a w ogóle placówka ta była konspiracyjnym lokalem Armii Ludowej. Tu była główna baza, bo jeszcze trochę wcześniej uciekinierzy z getta przebywali na ul. Komitetowej, gdzie także była ich kryjówka. Na Lesznie było duże, z dwoma obszernymi pokojami i schowkiem. „Można było oddychać“ – pisze Edelman. W innym mieszkaniu, na przeciwno, mieścił się skład broni AK.

1 sierpnia 1944 roku wybuchło powstanie warszawskie. Marek Edelman walczył w nim w oddziałach AL na Starym Mieście, a następnie po ewakuacji, kanałami dostał się na Żoliborz. Po kapitulacji powstania Edelman przedostał się w rejon placu Wilsona, a stamtąd, już w towarzystwie „Celiny“ na ul. Promyka. Zatrzymali się w domu państwa Glińskich. Mimo nakazu ewakuacji kilkoro Żydów zdecydowało się pozostać, bojąc się dekonspiracji. Oceniając jednak sytuację, jako beznadziejną postanowili jednak wysłać emisariusza dla znalezienia pomocy. Poszła Zosia Skrzyszewska. Złapana przez Niemców dotarła do obozu w Pruszkowie i tam zawiadomiła odpowiednie osoby. Edelman pisze, że organizatorem przeprowadzenia całej ukrywającej się na Promyka grupy był dr Stanisław Śwital. Opisał on całą eskapadę w artykule „Siedmioro z ulicy Promyka“ w Biuletynie Żydowskiego Instytutu Historycznego. Inne sprawozdanie z epopei można znaleźć w pamiętnikach Tuwii Borzykowskiego. Zosia Skrzyszewska po obozie w Pruszkowie dostała się do Grodziska i tu, w placówce Polskiego Czerwonego Krzyża otrzymała od dr Lesława Węgrzynowskiego kontakt do dr Świtale, urzędującego na Boernerowie. Wyznaczony przez dr Świtale pięcioosobowy patrol dowodzony był przez Kazimierza Syłkiewicza. W rezultacie na ul Promyka poszło sześcioro: Kazimierz Syłkiewicz jako dowódca, jego żona Maria, Barbara Kinkiel, Zbigniew Ściwiarski, Janusz Oseka i Alina (kobieta przybyła z Grodziska Mazowieckiego). Tak wynika z relacji dr Świtale. Patrol dotarł do schowka i ewakuował ukrywających się tam powstańców. Jak pisze dr Śwital: „Na nosze, pod koce, poszli najslabsi: jak później okazało się, adwokat Zygmunt Warman, chłop olbrzymi,

dłuższy od noszy, który wtedy był naprawdę chory i podobny do półtrupa Marek Edelman.“ „Alina“, uczestniczką patrolu, przybyłą na Boernerowo z Grodziska Mazowieckiego okazała się Alina Margolis, sanitariuszka-żołnierz AK, późniejsza żona Marka Edelmana. Wg. dr Świtala z ul. Promyka uratowano wówczas, oprócz wymienionych już Warmana i Edelmana, Icchaka Cukiermana. Tuwie Borzykowskiego, Juliana Fiszgrunda i dr Teodozję Goliborską (Polkę), oraz Celinę Lubetkin. Po krótkim pobycie w szpitaliku na Boernerowie -jak wynika z relacji Edelmana (w „Strażniku“) – przetransportowano grupkę do szpitala w Brwinowie. Wprawdzie dr Marek Edelman w rozmowie telefonicznej wymienił Świącice, ale wolę zawrzeć słowu pisanemu. Już następnym etapem był Grodzisk i dom przy ul. 3 Maja w rodzinie Kornackich. Píše Edelman w „Ciągłe po kole“ - „Potem mieszkałem w takim domu, w którym na parterze był sztab Zur Bekämpfung der Banditen und Partisanen, a na pierwszym piętrze mieszkało dziesięciu Żydów, tych, którzy wyszli z powstania. No a w klozetku wisiał portret Hitlera i wszyscy w tym samym klozetku siusiali. Potem przyszli Rosjanie... Taki szwadron rosyjskich szwoleżerek z szarym futrzanym otoczkciem na czapkach, śliczne dziewczyny. I na tym się skończyła wojna“.

Siedzieliśmy w czasie ostatnich w Tysiącleciu świąt Bożego Narodzenia w towarzystwie osób starszych, pamiętających czasy okupacji niemieckiej i rozważaliśmy kwestię: gdzie mógł mieszkać dr Edelman? Wypadło na „Stachówek“, albowiem rzeczywiście tam mieszkali Niemcy, a na dole był bar dla nich przeznaczony. Nikt jednak nie przypomina sobie mieszkańców piętra willi. Wogóle krótki cytat z wywiadu z dr Edelmanem kryje w sobie kilka tajemnic. Kiedy rozstrząsaliśmy z Rufinem kwestię pobytu Edelmana w Grodzisku, zadałem mu pytanie: a co mógł Edelman robić przez prawie trzy miesiące, podczas pobytu w Grodzisku? Sądziłem, że skoro w ogóle wie o sprawie, to może zna więcej szczegółów. „Myślę – odparł Rufin – że zaliczał panienki, jedna po drugiej. Bo co mógł robić młody mężczyzna bez specjalnego zajęcia?“. Przyjąłem to jako żart, zupełnie niestosowny w kontekście całości. I byłbym o tym zupełnie zapominał, gdyby nie wyznanie dr Marka Edelmana, zawarte w cytowa-

nym już wywiadzie pt. „Ciągłe po kole“. „I co się z panem dzieje po wojnie? – No, jak to co? Miałem dwadzieścia pięć kochanek, co drugi dzień inna, no i co tu będę opowiadał!“ Kiedy przeczytałem te słowa, podniosłem w myślach iloraz inteligencji Rufina. Ten to się zna na ludziach! Inną znowu zagadką jest króciutki wprawdzie, ale ciekawy opis t. zw. „wyzwolenia“ Grodziska przez Armię Czerwoną. W pamięci mieszkańców pozostało tragiczne bombardowanie miasta w przededniu wkroczenia wojsk sowieckich, a w dniu następnym pierwsze czołgi, które wjechały na ulice miasta, jako szpica. Za nimi już obszarpana piechota ze wszystkim, co nieśli ze sobą „wyzwoliciele“. Tymczasem tu się pojawiły urocze dziewczyny, jak pisze dr Edelman - szwoleżerki! W „Strażniku“ czytamy: „17 stycznia 1945 roku do Grodziska weszli Rosjanie. Była to brygada kobieca - piękne amazonki w karakułowych czapkach. Ludzie tłoczyli się, wiwatowali. Ja trzymałem się z tyłu. Patrzyłem i myślałem sobie, że to koniec. Wojna była skończona, ale ja czułem się przegrany. Zostałem sam z »Celiną« i »Antkiem«. Naszych towarzyszy walki już nie było. Wszystkie, o co walczyliśmy, przepało“ Edelman nie napisał, czy prześlizżone szwoleżerki miały na plecach skrzydła? Bo może były to anioły, a nie żołnierki? Nikt owej żeńskiej brygady w Grodzisku nie pamięta. Żadnych wiwatujących tłumów też nie było. Może taki opis potrzebny był dr Edelmanowi do ubarwienia tego fragmentu wspomnień? Może, z dawna oczekiwany dzień końca okupacji niemieckiej stworzył w pamięci jakieś nierealne wizje? W każdym razie historia Grodziska Mazowieckiego takich wydarzeń nie odnotowała.

Na drugi dzień po wejściu Armii Czerwonej, Marek Edelman wraz z rzeszą uciekinierów z Warszawy ruszył piechotą do Warszawy. Tam, nie znalazłszy dla siebie miejsca przeniósł się do Łodzi, gdzie ukończył studia medyczne, został sławnym lekarzem kardiologiem i gdzie mieszka do dzisiaj. Jego osiągnięcia w dziedzinie, którą uprawia, są znane i docenione. Jest autorem pracy naukowej na temat zawałów serca. Marek Edelman zawsze deklarował swoją negatywną postawę wobec komunizmu. W latach oporu brał udział w konspiracji antykomunistycznej. Był prześladowany w 1968 roku, także internowany po wprowadzeniu stanu wojennego w 1981 roku. Po odzyska-

niu przez Polskę niepodległości został odznaczony Orderem Orła Białego. Wiele osób wspomina doktora jako niezwykłego człowieka. Wiktor Woroszyński napisał wiersz „Pan doktor i Bóg“ (publikowany w „Wysokich Obcasach“ Wigilia 2000):

Kiedy chorzy umierają Doktor przyciska czoło
do pór roku do chrapiącego miasta
i mówi Bóg tak chciał

Ale tego ranka
Doktor płacze i buntuje się Obiecałeś krzyczy
ona miała żyć przynajmniej do jego powrotu
i jeszcze trochę w odzyskanym domu jego miłości
dlaczego poskapiłeś jałmużny cudu
odrobiny powietrza jej biednym płucom

Tam w górze Bóg
nie gniewa się na zbuntowanego Doktora
Tylko poprzez ciebie tłumaczy
poprzez twoje dotknięcie i noc
bezsenną mogę czynić cuda
i przecież staraliśmy się obydwaj
te dwa ostatnie miesiące to chyba my

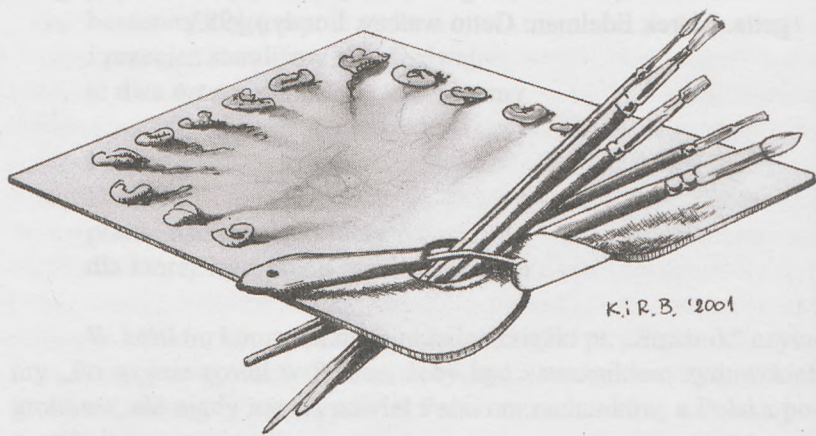
I obaj
Doktor i Bóg
płaczą nad młodą kobietą
dla której wyczerpali możliwość cudu

W krótkim komentarzu na okładce książki pt. „Strażnik“ czytamy „Po wojnie został w Polsce, żeby być »strażnikiem żydowskich grobów«, ale nigdy nie wystawiał Polakom rachunków, a Polska pozostała jego ojczyzną“.

BIBLIOGRAFIA:

1. Assuntho Rudi i Goldkorn Włodek, Strażnik, Kraków 1999;
2. Bartoszewski Władysław, Edelman Marek, Żydzi Warszawy 1939-1943, Lublin 1993;
3. Czerniakowa Adama dziennik getta warszawskiego, opracowanie i przypis Marian Fujs, Warszawa 1983;
4. Grupińska Anka, Ciągłe po kole, Warszawa 2000;
5. Krall Hanna, Zdążyć przed Panem Bogiem, Kraków 1977;
6. Minczeles Henr, Dlaczego podziwiam Marka Edelmana, w: Midrasz, http://www.midrasz.home.pl/1999/hs99_1.html (30. 11. 2000);
7. Nowa Encyklopedia Powszechna PWN, t. 2, Warszawa 1995;
8. Prekerowa Teresa, Konspiracyjna Rada Pomocy Żydom w Warszawie 1942-1945, Warszawa 1982;
9. Rozmowa z Markiem Edelmanem przez telefon w dniu 28 listopada 2000r.
10. W czterdziestą rocznicę. Agonia, walka i śmierć warszawskiego getta. Marek Edelman: Getto walczy, Londyn 1983;

prof. Jan Skotnicki



W latach 1949, 1950 i 1951 uczęszczałem na zajęcia w państwowym Ognisku Plastycznym w Grodzisku, które miało swoją siedzibę w willi „Radogoszcz”. W tym obiekcie funkcjonowała też szkołka Feliksa Dzierżanowskiego, zwana Ogniskiem Muzycznym. Te dwie, wielce zasłużone placówki wypełniały codziennie „Radogoszcz” gwarem i muzyką, jednym słowem tuż po wojnie działalność kulturalna w mieście kwitła. Mniej więcej do 1951 roku była ona nieskrępowana i dopiero twardy okres stalinowski nałożył na tę działalność okowy, choć obie placówki funkcjonowały dalej. Początek obu Ogniskom dało Stowarzyszenie Miłośników Sztuki, powołane w 1945 roku jeszcze przed zakończeniem wojny przez Szczepana Brozycha, Tadeusza Grabowskiego, Edwarda Kokoszko, Zygmunta Szattnera, Bronisława Bieszkiewicza, Feliksa Dzierżanowskiego i Jana Skotnickiego. To gremium - później przystąpili do SMS inni miłośnicy i działacze kultury - wypracowało podstawy do nadania charakteru instytucjonalnego obu szkołkom: plastycznej i muzycznej. Na czele twórców Ogniska Plastycznego stali Jan Skotnicki i księżna Anna Czartoryska. Wówczas jeszcze nikomu nie przeszkadzało to, że Jan Skotnicki reprezentował przedwojenną, dobrą szkołę światopoglądową zaś Anna Czartoryska należała do najstarszych arystokratycznych rodzin polskich. Jednak narastająca presja polityczna spowodowała, że w 1951 roku starego profesora Skotnickiego zastąpił jego uczeń, osiemnastoletni wtedy Marian Sztuka. Obok Jana Skotnickiego wykładali w Ognisku inni wybitni specjaliści, wśród których należy przede



Jan Skotnicki z rodziną przed domem

wszystkim wymienić historyka sztuki Armanda Vetulaniego i wspomnianego malarza Edwarda Kokoszko. Profesor Jan Skotnicki uczył malarstwa i historii sztuki. Doskonale pamiętam jego szlachetną sylwetkę, siwe wąsy i dobrotliwe spojrzenie.

Jan Skotnicki pochodził z Lubelszczyzny - urodził się w 1876 roku w Bobrownikach. „ Stara kultura wywarła wpływ na lud miejscowy, który był tu bardziej uświadomiony niż gdzie indziej, a choć ciążyło nad okolicą sąsiedztwo potężnej twierdzy w Dęblinie, korzenie starej tradycji były silne i nie udawało się zaborcy jej zniszczyć.“ - tak charakteryzował Jan Skotnicki otoczenie, w którym dorastał. Do szkoły średniej chodził w Warszawie, gdzie jednak nie zagrzał miejsca zbyt długo. Na skutek wmieszania się w działalność polityczną został przeniesiony przymusowo do szkoły w Pińsku. Manewr ten odcisnął się na jego wrażliwości artystycznej pozytywnie, niezależnie bowiem od faktu, że tam ukończył gimnazjum, to kontakt z niezwykłym i pięknym krajobrazem poleskim uczulił go na przyrodę w jej surowym wyrazie. Był tam dostatecznie długo aby nasycić swoją duszę dziką, nietkniętą naturą. Pobył w Pińsku to lata jego życia,

w których właśnie kształtuje się charakter i pogląd na świat. Naładowawszy swój artystyczny akumulator na Polesiu powrócił do Warszawy, gdzie w Państwowej Szkole Rysunkowej rozpoczął regularne studia artystyczne pod kierunkiem Adama Badowskiego. Wrażenia z Polesia i studia w Państwowej Szkole Rysunkowej pozwoliły mu na zdefiniowanie swoich celów artystycznych:

„Po wielkich ze sobą zmaganiach zostałem malarzem i jako młodzieniec poszedłem w świat, by szukać światła i cieni, łanów i ugorów, barw i szarzyzn“ - napisał Jan Skotnicki w 1898 roku. W tym właśnie roku, zdeklarowawszy swoje zainteresowania, rozpoczął naukę w petersburskiej Akademii Sztuk Pięknych. Tam jego studiami kierowali malarze J. Ciagliński i L. N. Bakst. Ścigany za uczeństwo w niedozwolonych ruchach politycznych uciekł Skotnicki z Petersburga pod skrzydła Najjaśniejszego Pana, by w Krakowie wejść w świat Wielkiej Sztuki Polskiej, w świat Młodej Polski. W Krakowie, podczas studiów w latach 1900-1903 w tamtejszej Akademii Sztuk Plastycznych, poddawał się bezpośrednim wpływom Janka Malczewskiego, Józefa Mehoffera, Teodora Axentowicza i Jana Stanisławskiego. przebywał w towarzystwie Stanisława Przybyszewskiego, Włodzimierza Tetmajera, Lucjana Rydla i bywał częstym gościem w Bronowicach. Był też biesiadnikiem na sławnym weselu Rydla, opisanym w dramacie Wyspiańskiego. Przebywał w samym oku cyklonu zwanego Młoda Polska, co wywarło niewątpliwy wpływ na jego twórczość. W 1903 roku powrócił na krótko do Petersburga, ale prześladowany przez policję polityczną uciekł przez Finlandię do Paryża, gdzie w Akademii Colarossi miał okazję zetknąć się z wybitnymi malarzami francuskimi. Skotnicki przyznawał później, że jego nauczyciele Simon i Menard, wybitni pejzażyści, wywarli poważny wpływ na jego twórczość.

W 1905 roku, mając niespełna 30 lat, ożenił się z Teodorą Trenkler córką bogatego mecenasa sztuki. Z żoną osiadł w Krakowie przy ulicy Topolowej, gdzie oddał się zupełnie malarstwu. Malował pejzaże i sceny rodzajowe, a także portretował w ołówku. Na jego dorobek składały się portrety jego przyjaciół: Jana Stanisławskiego, Juliana Fałata, Lucjana Rydla, Leona Wyczółkowskiego. Wkrótce przeniósł



Jan Skotnicki

się do Zakopanego gdzie zamieszkał w willi „Zofiówka“. Tam doświadczył nowych doznań artystycznych tworząc liczne akwaforty. Zajmował się też działalnością społeczną i organizacyjną powołując wraz z Kazimierzem Brzozowskim i Władysławem Skoczylasem Towarzystwo Sztuki Podhalańskiej, później Stowarzyszenie Spółdzielcze „Kilim“ i wreszcie Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Graficznych.

Pierwsza wojna światowa zastała go znowu na Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej, gdzie pojechał ładować powtórnie swój artystyczny akumulator. Szukał też inspiracji do dalszej swojej twórczości na Huculszczyźnie. Rychno jednak - zmuszony wydarzeniami - powrócił do Zakopanego, a w 1915 roku pociągnął na front za 2 Brygadą Legionów. Powstał tam cykl obrazów poświęconych wojennemu wysiłkowi legionistów.

Od 1917 roku działa w Warszawie na niwie politycznej. Najpierw jest członkiem Rady Stanu Królestwa Polskiego, później jej sekretarzem. Zagrożona ojczyzna wzywa swoich synów pod sztandary: w 1920 roku Jan Skotnicki walczy na froncie bolszewickim jako zwykły kanonier w szeregach I pułku artylerii polowej. Zaangażowanie patriotyczne, doświadczenie polityczne i zdolności organizacyjne Jana Skotnickiego skłaniają rządzących krajem do powołania go na wysokie stanowisko państwowe: zostaje mianowany zastępcą dyrektora, a następnie dyrektorem Departamentu Sztuki w Ministerstwie Wy-



Gen. Władysław Sikorski – rysunek Jana Skotnickiego



K. Z. Maszkowski – rys. Jan Skotnicki

znań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Departament ów pełnił rolę zlikwidowanego Ministerstwa Sztuki i Kultury. Tu warto wspomnieć, że Skotnicki był obecny w Zachęcie w 1922 roku, kiedy malarz i historyk sztuki Eligiusz Niewiadomski zastrzelił Pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej Gabriela Narutowicza. Tym większy był to wstrząs dla Skotnickiego, że Eligiusz Niewiadomski pochodził z kręgu jego znajomych, a nawet ułatwił mu pracę w 1919 roku

w charakterze inspektora szkół artystycznych w Ministerstwie Sztuki i Kultury. Po ustąpieniu ze swojej ministerialnej posady oddał się Skotnicki podróżom i malowaniu, w peregrinacjach swych nie zapominając o ukochanym Polesiu.

Od 1932 roku siedzibą malarza stała się Podkowa Leśna, gdzie na zakupionej działce postawił willę, znaną dziś jako „Dom ze skrzydlatą Nike“ (patrz „Album z podkową“). „... Dni w Podkowie płynęły mi głównie w pracowni, a towarzyszymi moimi prócz domowników były trzy wielkie, rosłe, jak śnieg białe owczary, psy o wielkiej inteligencji, dziwnych obyczajach i wyjątkowej piękności. Znane były one w całej Podkowie i okolicy, a dzięki nim i ja także. stałem się »tym panem od białych psów«. Z Podkowy, gdzie pędziłem żywot pustelnicy, wyjeżdżałem często na Polesie, by odetchnąć szerzej...“ - wspomina Skotnicki. Obłężenie stolicy w 1939 roku przeżywa Jan Skotnicki wraz z rodziną w Warszawie, skąd wkrótce przeganiają ich Niemcy. Wraca wówczas do swojej willi w Podkowie Leśnej. Pod koniec wojny willa wypełnia się uciekinierami z Warszawy - jak większość podwarszawskich domów. Wśród wielu osób pozbawionych dachu nad głową, a szukających schronienia w domu Skotnickich, znalazł

się Włodzimierz Orda, rysownik i kresowiak, kontynuator sławnego Napoleona Ordy. Kiedy zmarł w 1953 roku, Jan Skotnicki wyrażał się o nim z największą sympatią i jednocześnie żalem. Włodzimierz Orda (1868-1953) był niezwykle ciekawą postacią. Kresowiak, szlachcic herbu Ostoja, odziedziczył po swoim dziadku Stanisławie (1805-1880) i ojcu Piotrze (1836-1918) wielki majątek Perekele w dawnym województwie brzesko - litewskim, liczący w 1939 roku 3700 hektarów. Być może Jan Skotnicki bywał tam jego gościem w czasie swoich kresowych wędrówek. Po jego śmierci Skotnicki skonstratował: „Żegnając Orde, żegnam Kresy“.

Po zakończeniu wojny Jan Skotnicki pracował kolejno w Ministerstwie Kultury i Sztuki na stanowisku Dyrektora Departamentu Plastyki, a następnie w Ministerstwie Przemysłu i Rolnictwa. W tym czasie działał także na niwie kulturalnej w Grodzisku Mazowieckim. Jak już wspomniano na wstępie, do 1951 roku był dyrektorem Państwowego Ogniska Plastycznego, gdzie także prowadził wykłady z malarstwa i historii sztuki. O „okresie grodziskim“ znajdujemy zapis w książce Małgorzaty Wittels pt. „Album z podkową“...“ aby



Willa „Radogoszcz” – dawniej Ognisko Plastyczne, fot. M. C.



Józef Chelmoński – rys. Jan Skotnicki

utrzymać siebie i żonę, kierował Ogniskiem Kultury Plastycznej w Grodzisku, gdzie też wykładał historię sztuki. Wkrótce okazało się jednak, że poziom zajęć jest za wysoki i ideologicznie nie „po linii”. Odmówiwszy udziału w szkoleniu politycznym musiał ustąpić ze stanowiska kierownika. Na to miejsce przyszedł jego 18-letni uczeń, a Jan Skotnicki pozostał w Ognisku jako wykładowca do 1956 roku. Jego wspomnienia z tego okresu są przepojone goryczą i poczuciem bezsensu wszelkich poczynań i życiowych dokonań. Skotnicki był twórcą i głównym filarem Ogniska. Był także autorytetem, który przyciągał dużą gromadę ludzi o zainteresowaniach artystycznych. On i jego wybitni współpracownicy wychowali znaczną liczbę mieszkańców Grodziska i okolic, którzy choć



Portret Jacka Malczewskiego –
olej. Mal. Jan Skotnicki

nie zostali malarzami o znanych nazwiskach, to stali się dzięki wykładom profesora świadomymi odbiorcami sztuki. Niektórzy z nich jednak kontynuowali potem swoje zainteresowania plastyką idąc na wyższe studia w tym kierunku. Do nich należał między innymi wspomniany następcą profesora na stanowisku dyrektora Ogniska Marian Sztuka, który spełniał wymagania polityczne czynników wyższych, ale też był najbardziej utalentowanym z uczniów Jana Skotnickiego. Prowadził też Ognisko przez wiele lat szanując przy tym wiedzę i pozycję Jana Skotnickiego. Ognisko istnieje do dzisiaj, kierowane od dawna przez Aleksandra Turka. Wśród wybitnych współpracowników profesora Jana Skotnickiego wymienionych na początku, wspomnieć należy urodzonego w Izdebnie Kościelnym Edwarda Kokoшко (1900-1962). Domeną tego malarza był portret i pejzaż. Do naj-

bardziej znanych jego obrazów należy portret Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Bogata spuścizna Jana Skotnickiego przetrwała w znacznej liczbie mimo zniszczenia części prac w Warszawie w czasie powstania, a także w willi „Zofiówka“ w Zakopanem. Znajdują się one m. in. w Bibliotece Narodowej w Warszawie (zbiór rysunków), w Muzeum im. Jerzego Dunin - Borkowskiego w Krośniewicach, w Gabinetcie Rycin Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie, w Muzeum Narodowym w Warszawie, w Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie, w Muzeum Narodowym w Krakowie, w Muzeum Wojska Polskiego, w Ministerstwie Kultury i Sztuki, w Muzeum Iwaszkiewiczów w Stawisku (1 obraz olejny), w domu rodzinnym Jana Skotnickiego i zbiorach prywatnych. Profesor Skotnicki miał wiele wystaw indywidualnych, z których pierwsza miała miejsce w 1904 roku w Krakowie, ostatnia zaś w 1998 roku w Krośniewicach.

Jan Skotnicki znał osobiście naszego grodziskiego malarza Józefa Chełmońskiego. Wspomina o nim w swojej książce pt. „Przy sztalugach i przy biurku“. Tak Skotnicki opisuje swoje pierwsze spotkanie z mistrzem Józefem: „Chełmońskiego poznałem w roku 1903 w Bronowicach u Włodzimierzostwa Tetmajerów. Zauważyłem z daleka jak zajechał przed dworek Tetmajerów. Ubrany w burkę, długie buty, z fajką w zębach. Zwalił się z krakowskiej dorożki ociężale na schodki ganeczku, a za nim wysiadła jakaś dziwna postać ze skrzypcami pod pachą. Przywitali się z Włodkiem, jego żoną, a kiedym podszedł i ze mną. Wwalili się następnie do izby. Dopiero w izbie zorientowałem się, kim jest towarzysząca Chełmońskiemu postać. Był to legendarny Piechowski, przyjaciel Chełmońskiego artysta malarz wielkiej miary, a dziwak jeszcze większy. Tysiące anegdot o nim krążyło jako o nieodłącznym towarzyszczu Chełmońskiego.

Zasiedliśmy przy stole, Chełmoński począł wypytywać Włodka o dzieci, o pola, o żniwa, a Piechowski siadł na uboczu w rogu izby, jakby niegodzien siedzieć przy mistrzu. Podano nam wódkę i przekąski. Piechowski golnął, jednego, drugiego i nie czekając na przekąskę zamamrotał pod nosem: »Wy se tam gadajcie, a ja se pogram«. Wyciągnął skrzypce i uciął kujawiaka, potem oberka i tak rznął na

skrzypkach przez cały wieczór, nie puszczając pary z ust przez cały wieczór, ale se popijając. A kiedy pora stała się późna, schował skrzyпки pod palto i pojechał z powrotem z panem Józefem do Krakowa.

Następnie widywałem częściej Chełmońskiego pod Grodziskiem, gdzie moja matka miała kolonijkę o parę kilometrów od Kukulówki“.

Rękopis powyższego tekstu przechowywany jest w zbiorach Muzeum Miasta Grodziska Mazowieckiego.

Jan Skotnicki przez 36 lat mieszkał w Podkowie Leśnej przy ulicy Bukowej. Tam był jego dom, pracownia, rodzina. Jednak związany był ściśle z Grodziskiem, nie tylko dla tego, „aby utrzymać siebie i żonę“, jak pisze Małgorzata Wittels. Jego zaangażowanie i entuzjazm był widoczny wszystkim jego uczniom. Do Grodziska jeździł z wyraźną przyjemnością. Wśród uczniów Ogniska znajdował wdzięcznych słuchaczy wykładów o sztuce, a także swoich gawęd o Krakowie, Paryżu i Polesiu. Wspólne wyliczenie tych trzech tak różnych miejsc jest z pewnością adekwatne do tego, co reprezentował w swoim malarstwie i swoich myślach. Pan Profesor Jan Skotnicki żył życiem tych dwóch małych miasteczek. Ciągłe coś organizował, walczył, interweniował. W jednym z listów do Towarzystwa Miłośników Podkowy Leśnej pisał list, cytowany w krótkich fragmentach w pracy Anny Żukowskiej-Maziarskiej pt. „Podkowa Leśna i Stawisko. Szkice z dziejów“. „W tym samym czasie Jan Skotnicki w liście do Towarzystwa oburza się na nędzne kramiki, jatki, szyneczki itd. porozrzucane po całej Podkowie, a także na „gacie i wątpliwego wykwintu dessous“ sąsiadów i sąsiadek, jakie musi oglądać ze swego tarasu.

Profesor Jan Skotnicki zmarł w Podkowie Leśnej w 1968 roku. W 1926 roku został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, a w 1930 Krzyżem Kawalerskim Orderu Legii Honorowej.

„Dom ze skrzydlatą Nike“ przy ulicy Bukowej w Podkowie istnieje dalej. Otacza go stary park z ogromnymi dębami, a wewnątrz domu, wypełnione meblami, obrazami i bibelotami z czasów profesora, technie nastrojem tamtych lat. Przy parkanie biegają trzy ogromne psy,

życzliwe wszystkim przybyszom. Nie są to węgierskie owczarki, z których sływał profesor, a puszyste huski i stara wilczyca. Byłem w tym domu w 1950 roku, wraz z innymi uczniami zaproszonymi tam przez Gospodarza. Dzisiaj odżyła – dzięki gościnności bratanicy Jana Skotnickiego – atmosfera tamtych lat.

Reprodukcje wszystkich dzieł pochodzą z Muzeum im. Jerzego Dunin-Borkowskiego w Krośniewicach.

Herb miasta Grodziska „Bogoria” pochodzący od rodziny Mokronowskich jest także przypisany rodzinie Skotnickich.

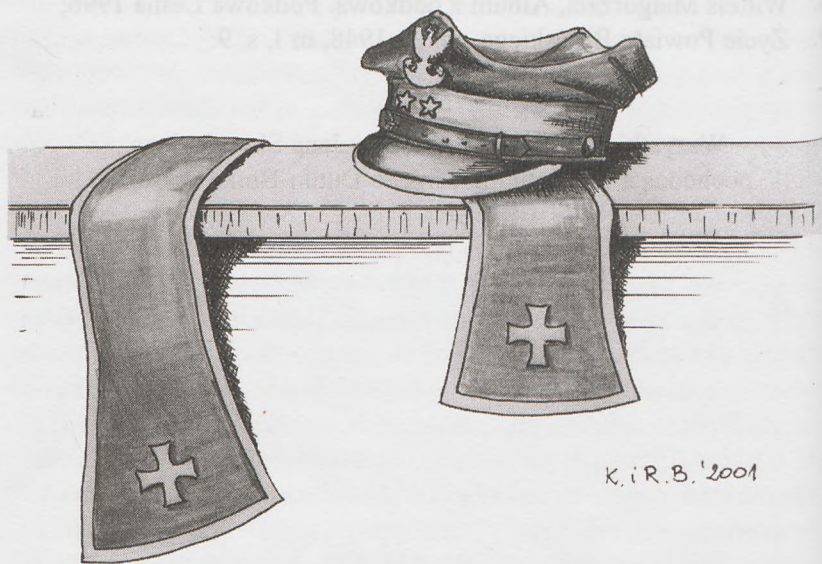
1. A
- R
2. D
- W
3. M
- II
4. P
- L
5. R
6. S
- D
7. S
8. V
9. Z

BIBLIOGRAFIA:

1. Afanazy Roman, Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej t. 2, Wrocław 1992;
2. Dzieje Grodziska Mazowieckiego, p. red. Józefa Kazimierskiego, Warszawa, 1989;
3. Masłowski Maciej, Malarski żywot Józefa Chełmońskiego, wyd. II Warszawa 1972;
4. Podkowa Leśna i Stawisko. Szkice z dziejów - 70 lecia Podkowy Leśnej;
5. Rocznik Podkowieński nr 1;
6. Skotnicki Jan, malarz i jego warsztat. Muzeum im. Jerzego Dunin-Borkowskiego w Krośniewicach, Krośniewice 1998;
7. Skotnicki Jan, Przy sztalugach i przy biurku, Warszawa 1957;
8. Wittels Małgorzata, Album z podkową. Podkowa Leśna 1996;
9. Życie Powiatu Błońskiego, rok 2, 1948, nr 1, s. 9.

Wszystkie reprodukcje obrazów Jana Skotnickiego pochodzą z muzeum im. Jerzego Dunin-Borkowskiego.

ksiądz Jan Pajkert



K. i R. B. '2001

Są jeszcze w Grodzisku osoby pamiętające księdza Jana Pajkerta. Wyróżniał się spośród przechodniów wysokim wzrostem i łysą jak kolano głową. Właściwie miał postawę wyniosłą, choć w kontaktach z ludźmi był człowiekiem skromnym i otwartym dla wszystkich. Losy wojenne rzuciły go do Grodziska. Po powstaniu warszawskim zamieszkał w willi „Bagatelka“ przy ul. 3 Maja, należącej do Dzierżanowskich, a chwilę później przeniósł się do sąsiedniego „Milusina“ trzech sióstr Wysockich. Wraz z księdzem w obu willach zamieszkało kilkudziesięciu takich jak on nieszczęśników, którzy po wojnie powrócili do swoich domostw, lub wynieśli się w inne miejsca. Ksiądz Pajkert nie miał gdzie się wynieść, pozostał więc w „Milusinie“, gdzie na piętrze zajmował jeden pokój z oknem wychodzącym na piękny park, zwany dzisiaj Parkiem Skarbków. Mieszkał ksiądz Pajkert w Grodzisku lat dwadzieścia, aż do swojej śmierci 24 października 1964 roku. Kiedy wybuchło powstanie, z ulicy Smolnej 23 m. 6, gdzie ksiądz rezydował, Niemcy ewakuowali ludność cywilną do obozu przejściowego w Pruszkowie. Ksiądz, wraz z Emilią Wysocką i jej siostrą po kilku dniach, przekupując strażników, wydostał się z obozu pruszkowskiego i piechotą dotarł do Grodziska, gdzie siostry Wysockie miały posesję z dwiema wspomnianymi wyżej willami. Oba drewniane domy stoją do dzisiaj, a właścicielem „Milusina“ jest Wojciech Dzierżanowski, wnuk Emilii Wysockiej. Pamięta on doskonale księdza i opowiada dowcipnie, że wszyscy chętnie chodzili do niego spowiadać się, kiedy siedział w konfesjonale, bo w ostatniej fazie swoje-



Willa „Milusin” – akwarela Pawła Cabanowskiego

go życia był mocno już głuchawy... Powstanie w Warszawie i przeżycia z tym związane wywołały w księdzu tak silny wstrząs, że od tego czasu w widoczny sposób drżała mu głowa, co oprócz wysokiego wzrostu było cechą wyróżniającą go z otoczenia. Do „Milusina“ i do rodziny Dzierżanowskich trafił ksiądz nie przypadkowo. Już sporo przed wojną często odwiedzał majątek trzech sióstr Wysockich By-szew, położony kilka kilometrów od Kutna. Znajdowała się tam stadnina koni remontowych, na których ksiądz, jako stary wojak, znał się doskonale. To stamtąd rodzina Wojciecha Dzierżanowskiego przeniosła się do Warszawy na Smolną 23, a następnie do Grodziska. Związany ściśle z tą rodziną ksiądz odbył tę samą wędrówkę. W Grodzisku, zaraz po wojnie, odprawiał msze w kaplicy przyszpitalnej, w ładnym domu przy obecnej ulicy Okulickiego, dawniej Inżynierskiej. Nie posiadając własnej parafii, będąc na emeryturze, nie marnował jednak czasu.



Ksiądz Jan Pajkert

Wykorzystywał swoje talenta w dwójnasób. Jedną z dziedzin, w której osiągnął mistrzostwo była hodowla róż. Niewielki ogród przy willach „Milusin“ i „Bagatelka“ od wiosny do jesieni wypełniony był szlachetnymi odmianami tych pięknych kwiatów. Inną pasją, której ksiądz się oddawał, było rzeźbienie ram do obrazów. Miał

ksiądz specjalistyczny warsztat, przy pomocy którego tworzył wspaniałe dzieła snycerskie. Kilka okazów jego twórczości i cały ramiarski warsztat pozostały do dziś w „Milusinie“. W tej dziedzinie współpracował z Emilią Wysocką, uznaną malarką. Tworzyła ona między innymi obrazy o treści religijnej, oprawiane następnie przez księdza w ramy własnej produkcji. Trafiały ona następnie do różnych kościołów, których gospodarze chętnie się do ks. Pajkerta o to zwracali. Emilia Wysocka namalowała też kilka portretów księdza Pajkerta pozostających dziś w zbiorach rodzinnych.

Wspomina też księdza Pajkerta Wiesław Matejczuk, grodziski antykwariusz. „Jeździł dorożką na mszę do św. Anny - mówi Wiesław Matejczuk. Byłem wówczas ministrantem i jeździłem po niego dorożką, co było dla mnie nie małą frajdą. Ksiądz Pajkert przyjaźnił się z proboszczem ks. doktorem Aleksandrem Grabowskim. Po mszy zwykle siadał w gabinecie proboszcza i wypalał swoją ulubioną fajeczkę. Zdarzało się, że ksiądz i ministrant jeździli w niedzielę do Kukulówki, pobliskiej wsi gdzie ongiś mieszkał sławny malarz Józef Chełmoński i tam w remizie straży pożarnej ksiądz odprawiał mszę świętą. Przysyłano po nich bryczkę, lub inną podwoję. Gwoździem programu był niedzielny obiad u jednego z gospodarzy, za każdym razem innego. Gospodarze rywalizowali między sobą o goszczenie księdza i starali się pokazać z jak najlepszej strony. Pamiętam dobrze - mówi Wiesław Matejczuk - że obiady były smaczne i obfite! Biła od księdza postawa wojskowa - bałem się go trochę, choć często ze mną rozmawiał w dość przyjaznym tonie.“

Bardzo wysoki, o dumnej sylwetce, ale o przystępnym usposobieniu znany wielu mieszkańcom Grodziska, skromny hodowca róż. Aliści krył ksiądz Pajkert w sobie swoją chlubną przeszłość. Pochodził z Radomia, gdzie urodził się 21 czerwca 1887 roku. Jego ojcem był Józef Pajkert, matką zaś Rozalia z domu Burhardt. Zabawne, że w kartotece adresowej przechowywanej w grodziskim USC w rubryce „stan cywilny“ wpisano najpierw „ksiądz“, by później poprawić na „kawaler“. Po ukończeniu szkoły podstawowej i Szkoły Handlowej Lorentza złożył egzaminy z czterech klas gimnazjalnych w Państwowym Progimnazjum w Sandomierzu, a następnie wstąpił w 1906 ro-

ARCYBISKUP METROPOLITA
MOHYŁEWSKI
i Administrator Apostolski
Diecezji Mińskiej.

Kapelanowi J. dywizji Artyl.
Czynnej
k. Janowi Rajkewiczowi.

Niniejszym mianuję Leonarda Kozłowa
na stanowisko kapelana 1-go Korpusu Polskiego,
z praniem ścieżkami nad innymi kapelanami
wchodzącymi w skład Rezerwy Korpusu

+ Edward Łęka

Sekretarz K. Orazajewski.

4 grudnia 1917 r.
N: 7582

Nominacja nakapelana 1-go Korpusu Polskiego

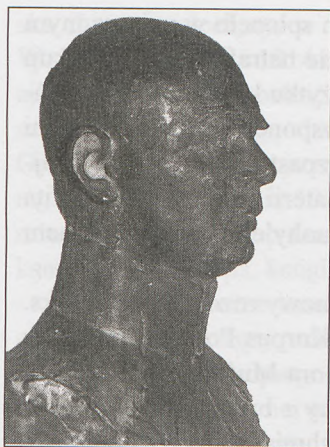
ku do Sandomierskiego Seminarium Duchownego, które ukończył
w 1912 roku. Po otrzymaniu święceń kapłańskich 20 marca 1912 ro-
ku odbywał wikariat w parafiach Siemno, Goźlice i Koprzywnica. Tuż
po wybuchu I. wojny światowej przybyła do Sandomierza 75. rosyj-

ska dywizja piechoty, w której składzie była większość Polaków. W dniu 22 września 1914 roku ksiądz Jan Pajkert zgłosił się do dywizji na ochotnika, by pełnić dla tej, liczącej przeszło 10. 000 osób rzeszy Polaków posługę duszpasterską. Otrzymał nominację do Ordynariusza podejmując obowiązki kapelana prawie przez całą wojnę, bo aż do 3 grudnia 1917 roku. Ordynariuszem dokonującym nominacji był arcybiskup Jan Cieplak, ordynariusz mohylewski. Biograf księdza arcybiskupa, ksiądz Franciszek Rutkowski pisze:

„Przy wyborze kandydatów na kapelanów wojskowych starał się ks. biskup o księży, odznaczających się wybitną inteligencją i gorliwością kapłańską; pragnął bowiem, by Kościół katolicki w armii, złożonej z prawosławnej większości, był godnie reprezentowany. Wymagał od księży, pracujących w wojsku, wysokich cnot kapłańskich, rozumiejąc, na jakie niebezpieczeństwa narażony jest kapłan w środowisku wojskowym. Cieszył się więc serdecznie, gdy otrzymał list od gen. Sztegelmana, dowódcy 75 dywizji piechoty, który ze szczególnym uznaniem pisał o ks. Janie Pajkercie i o ks. Jerzym Szackim. Niestety, nie zawsze tak pochlebne wieści o niektórych księżach kapelanach dochodziły do ks. biskupa”. Ks. Pajkert prowadził z biskupem Cieplakiem obszerną korespondencję informując go o sytuacji wśród polskich żołnierzy, prosząc też biskupa o interwencję w sprawie oszczędzania obiektów kościelnych narażonych na zniszczenie w trakcie działań wojennych. Na skutek interwencji ks. Pajkerta „ks. biskup nie zaniedbywał również obrony kościołów katolickich, zagrożonych zniszczeniem, świadczy o tym list z dnia 19 maja 1916 r. do gen. Sztegelmana, dow. 75 dyw. piechoty, w którym prosi o oszczędzenie kościoła w Horodyszczu, zagrożonego zbombardowaniem. W liście tym ks. biskup Cieplak poleca łaskawym względom generała, ks. Aleksandra Misiewicza, administratora parafii horodyskiej, powołując się przytem na to, że ten dowódca rosyjski dał już dowód życzliwości swej dla potrzeb Kościoła katolickiego.“ Autor monografii poświęconej arcybiskupowi Cieplakowi powołuje się tutaj na udostępnione mu archiwum ks. Pajkerta opatrując przywołany oryginał listu numerem 2846! Jak obszerne musiało więc być prywatne archiwum ks. Pajkerta, skoro dokument ze środka jego kariery w wojsku

nosi tak wysoki numer. Zapewne archiwum spłonęło w zniszczonym na ul. Smolnej 23 domu, bo na jego ślad nie natrafiłem. Arcybiskup Ciepłak wydał specjalny mszał-rytuał do użytku kapelanów-wygnanców, dbał też o to, aby kapelani mogli dysponować rozszerzonymi uprawnieniami ułatwiającymi im pracę duszpasterską w nadzwyczajnych wojennych okolicznościach. W tej materii istniała także obfita korespondencja pomiędzy ordynariuszem mohylewskim i kapelanem ks. Janem Pajkertem.

4 grudnia 1917 roku rozpoczyna się nowy rozdział w życiu ks. Jana Pajkerta. W tym to czasie powstał I. Korpus Polski, utworzony na Wschodzie przez gen. Gedymina Dowbora-Muśnickiego. W jego skład wchodził żołnierze polscy - ochotnicy z byłej armii rosyjskiej i uciekinierzy z armii bolszewickiej. „Natychmiast też po zatwierdzeniu Korpusu Polskiego - pisze gen. Dowbor-Muśnicki - wyrobiłem u naczelnego wodza armii rosyjskiej etat dziekana Korpusu. Na to stanowisko powołany był przez Naczpol ksiądz Pajkert, jeden z nielicznych księży w całej armii rosyjskiej, który zajmował miejsce bezpośrednio przy oddziałach czynnych, a nie przy sztabach armii. Księdzu Pajkertowi powierzono organizację duchowieństwa w Korpusie i nadanie kierunku jego pracy. Duchowieństwo korpusowe stało na wysokości swoich zadań kapłańskich. Nie byli to urzędnicy, ubrani po cywilnemu i wyszkoleni po wojskowemu; - byli to duchowni o wyglądzie naszych wiejskich księży w sutannach, do których przyzwyczaiło się polskie oko; nosili jako jedyną wojskową odznakę uniformową maciejówkę. Ci księża w Korpusie byli to głosiciele wiary i naszych polskich obyczajów. Przyczynili się oni wielce do zmodyfikowania stosunków między władzą, a podwładnymi i wyplenienia z duszy polskiego wieśniaka i robotnika obcych wrogich duchowi polskiemu naleciałości. Robię zastrzeżenie, że duchowieństwo Korpusu pracowało głównie w kierunku uświadczenia narodowego, i w tym widzę jego największą zasługę.“ Nominacji na dziekana I. Korpusu Polskiego dokonał nowy ordynariusz mohylewski, arcybiskup Edward Ropp, a rekomendacji ks. Pajkertowi udzielił w imieniu Naczpolu (Wojskowy Komitet Wykonawczy zwany Naczpołem) prezes Władysław Raczkiewicz, późniejszy prezydent RP na uchodźctwie. Kapela-



*Głowa ks. J. Pajkerta - rzeźba
Xawerego Dunikowskiego - fot.
Rafał Lewandowicz*

ni wojskowi mieli w Korpusie Dowbora Muśnickiego szczególnie ciężkie zadanie do wykonania, o czym wspomina sam generał. Trzeba było przywrócić morale i obudzić patriotyzm w umysłach ludzi przez wiele lat rusyfikowanych, a teraz poddawanych komunistycznej indoktrynacji. „Duchowieństwo Korpusowe na czele z dziekanem ks. Janem Pajkertem stało na wysokości zadania; pod wpływem Księża Kapelanów wyznaczonych przy wszystkich oddziałach, żołnierz Korpusu szybko ocknął się z narkozy rewolucyjnej, stał się karny, rycerski i narodowo uświadomiony“ - czytamy w szkicu historycznym

pt. „I Korpus Polski“ wydanym w Grodzisku Maz. w 1938 roku. Ks. Pajkert zdobywa w Korpusie bogate doświadczenie organizacyjne i w pracy z żołnierzem frontowym. Niestety, wskutek okoliczności politycznych Korpus Polski gen. Dowbora-Muśnickiego zostaje rozwiązany. Ksiądz pułkownik Jan Pajkert powraca w swoje rodzinne strony, gdzie od 1. 7. 1918r. do 5. 10. tego samego roku pełni obowiązki kapelana szpitala św. Kazimierza w Radomiu, a później zostaje prefektem szkoły powszechnej w tym mieście.

Następny i ostatni już rozdział kariery wojskowej ks. Jana Pajkerta ma swój początek w dniu 4 listopada 1918 roku. W tym bowiem dniu zostaje zawarte porozumienie pomiędzy ówczesnym ministrem wojny i wizytatorem apostolskim ks. Achillesem Ratti, czego rezultatem jest nominacja od dnia 14. 11. 1918r. Jana Pajkerta na stanowisko Naczelnego Kapelana wojsk Polskich. Stało przed nim ciężkie zadanie zorganizowania służby katolickiego duszpasterstwa w wojsku polskim. Jego zadaniem było w początkowej fazie stworzenie kadry z dobrych kapłanów o właściwych do pracy w wojsku predyspozycjach, walczył o właściwe wyposażenie kapłanów w kościelne utensylia, o pensje dla księży, których status do czasu utworzenia biskup-

stwa polowego był tymczasowy. Wreszcie 5 lutego 1919 roku wizytator apostolski ks. Achilles Ratti oznajmił publicznie, że papież Benedykt XV mianował biskupem polowym, w porozumieniu z Naczelnikiem Państwa Józefem Piłsudskim, biskupa pomocniczego warszawskiego księdza doktora Stanisława Galla. Ksiądz Jan Pajkert musiał więc opuścić swoje stanowisko. W ostatnim swoim rozkazie wewnętrznym tak pisze ks. Pajkert:

„Szczęśliwym się czuję, że w dostojne ręce Pasterza mogę złożyć dotychczasowe obowiązki i odpowiedzialność za tak ważną i doniosłą sprawę organizacji duchowej w wojsku. Usuwając się z naczelnego stanowiska, oddaję się z synowskim uczuciem do rozkazów i dyspozycji Pasterza, który z woli Stolicy Apostolskiej obejmuje rządy dusz w Wojsku Polskim. Mam nadzieję, że każdy kapłan katolicki oddany pracy duszpasterskiej w wojsku z radością prawdziwą stanie pod rozkazy pierwszego biskupa wojskowego w Polsce i z całą karnością podporządkuje się Jego dyrektywom.“

W tym samym miesiącu Biskup polowy Gall mianuje ks. pułkownika Jana Pajkerta wikariuszem generalnym wojska polskiego, czyli faktycznie swoim zastępcą. Jednak w 1921 roku etat wikariusza generalnego zostaje zniesiony i w ten sposób 15. 3. 1921r. ks. pułkownik Pajkert żegna się ze stanowiskiem. Dwa lata ciężkiej pracy organizacyjnej i poczynione w tym czasie obserwacje pozwoliły ks. Pajkertowi na sformułowanie memoriału, który przesłał do Prymasa Polski kardynała Edmunda Dalbora:

„Dziś po trzech latach od utworzenia biskupstwa polowego, niestety, smutny bilans staje przed oczyma. Rezultat, jakiego nikt nie oczekiwał. W wojsku niechęć do Pasterza. Najlepsze i najbardziej oddane czynniki wojskowe dzisiaj z ubolewaniem patrzą na anemiczną działalność Biskupa i niedwuznacznie podkreślają brak zaufania do Arcypasterza. Starsi generałowie znani ze swej przychylności do Kościoła ze smutkiem zaznaczają, że nie mają ze swym zwierzchnikiem duchownym żadnego kontaktu. Oprócz czysto konwencjonalnej zamiany biletów wizytowych nie ma żadnego łącznika umożliwiającego współpracę dla Kościoła i Ojczyzny. Nic więc dziwnego, że stopniowo wszyscy się od Pasterza odsuwają i niejednokrotnie z pewną

ironią o nim wyrażają. Bardzo nieliczna garstka, a raczej jednostki nie tyle z przekonania, ile z ubocznych względów podtrzymują pozorny stosunek.

Wśród kleru zamiast przywiązania zastąpiło miejsce zniechęcenie i serdeczne rozżalenie do swego duchowego Przewodnika. Na to zjawisko składa się wiele przyczyn. Nie podobna ich wszystkich wyczerpać. Pozwolę sobie przytoczyć niektóre dla oświetlenia i należytego przedstawienia sprawy.

1. Przede wszystkim brak zajęcia się wojskiem i bardzo dorywcza praca duszpasterska. Kiedy wojskowi, zwłaszcza wyższych stopni, bardzo zasłużeni i czcigodni upadali prawie z przepracowania i znużenia, u Pasterza półgodzinny referat urzędników kurialnych wyczerpywał całą pracę dla wojska. Biskup blisko dwa lata nie uważał za właściwe urzędować w Kurii Polowej. Sprawy nieraz bardzo poważne i pilne, załatwiane były w okolicznościach nie sprzyjających do należytego rozpatrzenia, bowiem Prywatne mieszkanie (bardzo często nie można było zastać), ani też Kuria Metropolitalna (mająca inny zakres działania), ulica ani refektarz ukrytych zgromadzeń nie mogły być miejscem do rozpatrywania spraw, często pokrytych ścisłą tajemnicą wojskową;

2. Brak zainteresowania się życiem wojskowym spowodził nieumiejętność akcji organizacyjnej. Jeżeli coś zostało przeprowadzone, to należy zawdzięczać tylko pewnym jednostkom, których praca spotykała się z niejednokrotnym kunktatorstwem Pasterza;

3. Brak poparcia w pracy księży kapelanów, jak również opieki nad nimi, na co ustawicznie księża się uskarżają. Kapelan skazany na straszną poniewierkę w czasie wojny, bardziej niż kiedykolwiek oczekiwał i potrzebował Pasterza;

4. Niedocenianie akcji oświatowej i zbyt nikłe przeciwstawianie się akcji demoralizującej, gdzie jest konieczna interwencja Biskupa. Jako charakterystyczny obrazek może służyć sprawa pisma wojskowego, wydawnictwa Kurii Biskupiej, pt. *Żołnierz Chrystusowy*. Pismo to powstało w bardzo trudnych warunkach, Przy pewnym jednak wysiłku zajęło wcale poczesne miejsce, wśród pism wojskowych. Gdyby Biskup okazał większe zainteresowanie przy likwidacji pisma,



Ks. Jan Pajkert z siostrami Wysockimi – przed 1944 r.

można było zdobyć pewne gwarancję utrzymania pisma. Niestety, zwrócił się Biskup dopiero wtedy do Pana Ministra, jak rozkaz o likwidacji był już podpisany (zaznaczyć należy, że Biskup zwrócił się do Ministra po kilkakrotnym nacisku urzędników kurialnych – Brak przeciwstawienia się ze strony Biskupa spowodował to, że prawie cała oświata dostała się do rąk kół lewicowych i dzisiaj z wielkim trudem zdobywać trzeba placówki dla przeprowadzenia akcji w duchu Kościoła;

5. pozostawienie kapelanów bez jurysdykcji kościelnej,

o co wszyscy bez wyjątku księża znający warunki pracy w wojsku nieraz bardzo świątobliwi, błagali i zaklinali, prosząc o zwrócenie się do Rzymu. Z braku określenia kompetencji kapelanów, powstało dziś straszne rozgoryczenie wśród wojska do księży wojskowych. Odzywają się nieprzychylnie głosy i tendencje do usunięcia kapelanów, jako czynników mało produkcyjnych. Księża kapelani chcieliby być silnie złączeni ze Stolicą Apostolską; nie ma żadnego, breve ani bulli, nie określone są facultates, które zwykła określać Stolica Apostolska (kanon 340);

6. Brak zasad w administracji, a stąd płynąca ustepliwość w stosunku do władz wojskowych, obniżająca autorytet i powagę biskupią (sprawa przeniesienia ks. Panasia - akta Kurii Biskupiej);

7. Prowadzenie kompromitującej gospodarki. Brak wyczucia, że w wojsku nie można prowadzić sposobem utartym, jak np. w diecezji, gdzie w tej mierze jest gospodarzem i panem sytuacji. Tutaj cały aparat gospodarczy ściśle związany jest z intendenturą wojskową.

politej:
S. Wojciechowski.
Ministrów:
(-) Sikorski.

223 r.

E T.

istrów i stosownie do
1921 r. (Dz. U. R. P.
wy z dnia 28 kwietnia
II, poz. 255) — nadają
ysławowi Osmolskiemu,
h dla Rzeczypospolitej
ji wojskowej, odznaki
go orderu „Odrodzenia

politej:
S. Wojciechowski.
Ministrów:
(-) Sikorski.

223 r.

E T.

istrów i stosownie do
1921 r. (Dz. U. R. P.
wy z dnia 28 kwietnia
II, poz. 255) — nadają
au, staroście w Chelmie,
czypospolitej Polskiej na
znaki Kawalera Krzyża
ia Polski“.

politej:
S. Wojciechowski.
Ministrów:
(-) Sikorski.

223 r.

E T.

istrów i stosownie do
1921 r. (Dz. U. R. P.
wy z dnia 28 kwietnia
31, poz. 255) — nadają
i działalność artystyczną
znej, odznaki Kawalera
drodzenia Polski“.

politej:
S. Wojciechowski.
Ministrów:
(-) Sikorski.

(-) S. Wojciechowski.
Prezes Rady Ministrów:
(-) Sikorski.
Warszawa, dnia 2 maja 1923 r.

DEKRET.

Na wniosek Rady Ministrów i stosownie do
ustawy z dnia 4 lutego 1921 r. (Dz. U. R. P.
Nr. 24, poz. 137), oraz ustawy z dnia 28 kwietnia
1922 r. (Dz. U. R. P. Nr. 31, poz. 255) — nadają
Panu Antoniemu Pacyńskiemu, Naczelnikowi Wydziału
w Ministerstwie Rolnictwa i Dóbr Państwowych, za za-
sługi, położone w dziedzinie administracji lasów pań-
stwowych w Rzeczypospolitej Polskiej — odznaki Kawa-
lera Krzyża Oficerskiego orderu „Odrodzenia Polski“.

Prezydent Rzeczypospolitej:
(-) S. Wojciechowski.
Prezes Rady Ministrów:
(-) Sikorski.

Warszawa, dnia 2 maja 1923 r.

DEKRET.

Na wniosek Rady Ministrów i stosownie do
ustawy z dnia 4 lutego 1921 r. (Dz. U. R. P.
Nr. 24, poz. 137), oraz ustawy z dnia 28 kwietnia
1922 r. (Dz. U. R. P. Nr. 31, poz. 255) — nadają
Ks. dziekanowi Jarowi Pajkertowi, w uznaniu zasług,
położonych dla Rzeczypospolitej Polskiej na polu admi-
nistracji wojskowej, odznaki Kawalera Krzyża Oficer-
skiego orderu „Odrodzenia Polski“.

Prezydent Rzeczypospolitej:
(-) S. Wojciechowski.
Prezes Rady Ministrów:
(-) Sikorski.

Warszawa, dnia 2 maja 1923 r.

DEKRET.

Na wniosek Rady Ministrów i stosownie do
ustawy z dnia 4 lutego 1921 r. (Dz. U. R. P.
Nr. 24, poz. 137), oraz ustawy z dnia 28 kwietnia
1922 r. (Dz. U. R. P. Nr. 31, poz. 255) — nadają
Panu Dr. Mieczysławowi Pańkowskiemu, Profesorowi
Uniwersytetu w Poznaniu, za zasługi, położone dla Rze-
czypospolitej Polskiej na polu pracy hodowlanej, odznaki
Kawalera Krzyża Oficerskiego orderu „Odrodzenia Pol-
ski“.

Prezydent Rzeczypospolitej:
(-) S. Wojciechowski.
Prezes Rady Ministrów:
(-) Sikorski.

Warszawa, dnia 2 maja 1923 r.

DEKRET.

Na wniosek Rady Ministrów i stosownie do
ustawy z dnia 4 lutego 1921 r. (Dz. U. R. P.
Nr. 24, poz. 137), oraz ustawy z dnia 28 kwietnia
1922 r. (Dz. U. R. P. Nr. 31, poz. 255) — nadają
Panu Marjanowi Parfjanowiczowi, Naczelnikowi Wy-
działu Województwa Nowogrodzkiego, za zasługi, po-
łożone dla Rzeczypospolitej Polskiej na polu pracy spo-
łecznej i państwowej, odznaki Kawalera Krzyża Oficer-
skiego orderu „Odrodzenia Polski“.

PREZES R
Warszawa, dnia 2 m

DE

Na wniosek Rady
ustawy z dnia 4 lut
Nr. 24, poz. 137), oraz
1922 r. (Dz. U. R. P.
Panu Adolfowi Pawłows
Izby Skarbowej we Lw
polu organizacji skarbo
skiej, odznaki Kawalera
„Odrodzenia Polski“.

Prezydent Rzecz
Prezes R:

Warszawa, dnia 2 n

DE

Na wniosek Rady
ustawy z dnia 4 lut
Nr. 24, poz. 137), oraz
1922 r. (Dz. U. R. P.
Panu Inżynierowi Zygmu
nikowi Wydziału w Mi
zasługi, położone na polu
czypospolitej Polskiej, od
skiego orderu „Odrodzen

Prezydent Rzecz
Prezes I

Warszawa, dnia 2 n

DE

Na wniosek Rady
ustawy z dnia 4 lut
Nr. 24, poz. 137), oraz
1922 r. (Dz. U. R. P.
Panu komandercowi Cze
niu zasług, położonych t
polu administracji wojsk
Oficerskiego orderu „Od

Prezydent Rzecz
Prezes I

Warszawa, dnia 2 n

DE

Na wniosek Rady
ustawy z dnia 4 lut
Nr. 24, poz. 137), oraz
1922 r. (Dz. U. R. P.
Panu Pułkownikowi Ta
niu zasług, położonych t
polu administracji wojsk
Oficerskiego orderu „Od

Każda, nawet najdrobniejsza rzecz ma swoje przeznaczenie. Nic nie może pozostawać w dowolnej dyspozycji. Z tego powodu krążą w kołach wojskowych i sejmowych najróżnorodniejsze wersje w sprawie gospodarki Kurii Biskupiej.“

Jak słusznie zauważyli Janusz Odziemkowski i ks. Bolesław Spychała w monografii poświęconej duszpasterstwu wojskowemu w drugiej Rzeczypospolitej - „wydaje się, że z memoriału przebija urażona ambicja jego autora“, choć przyglądając się argumentom trudno w niektórych punktach odmówić im racji. Być może marzyła się ks. Pajkertowi dalsza jeszcze kariera, a do najwyższych zaszczytów nie było już tak daleko. Wszak każdy nosi w tornistrze buławę marszałkowską... W marcu 1924 roku ks. Pajkert został mianowany dziekanem Marynarki Wojennej. Objął więc funkcję, które przed nim piastował inny „grodziski“ ksiądz Marian Tokarzewski. Ten dobrodziej Grodziska i patriota, który oddał życie za wiarę i ojczyznę dostał nominację dziekańską 5 lipca 1920 r. Wkrótce po objęciu funkcji ks. Pajkert zostaje urlopowany i wyjeżdża do Paryża, gdzie przez dziewięć miesięcy studiuje w Szkole Nauk Politycznych i Społecznych. Przerzywa jednak studia albowiem dostaje nominację na dziekana II Okręgu Korpusu w Lublinie, (od 1 października 1925 r.) pozostaje tam aż do 30.4.1939r. kiedy to zostaje rozkazem M.S. Wojsk. nr 5620/V/703 przeniesiony w stan spoczynku.

W swojej pracy duszpasterskiej na tak odpowiedzialnych placówkach ks. Jan Pajkert wykazywał się zawsze wielkim patriotyzmem i poczuciem narodowym. Krzewił ducha narodowego w żołnierzach, często zruszczonych i nasiąkniętych ideami bolszewickimi. Obrabiał ten zwykły polny kamień pracowicie i długo, aż spod jego rąk wychodził szlachetny kamień bohaterów, którzy ginęli za Wolną Polskę. Później pracował nad drewnem, z którego rzeźbił przepiękne ramy do świętych obrazów, zdobiących dziś ołtarze w wielu kościołach. Gładził swymi starymi dłońmi ziemię wokół krzaków wspaniałych róż budzących zachwyt wszystkich, którzy mogli je oglądać.

Ksiądz pułkownik Jan Pajkert został w styczniu 1919 roku mianowany kanonikiem kapituły sandomierskiej, a w grudniu 1934 roku

tajnym szambelanem papieskim. Odznaczony był Krzyżem Niepodległości (Dekret 17. 3. 1938r), Krzyżem Oficerskim Orderu Polonia Restituta (Dziennik Personalny nr 34/23), Krzyżem Walecznych Po Raz Pierwszy (Rozkaz Gabinetu M. S. Wojsk. L. 7721/22), Medalem za wojnę 1918-1921 (Rozkaz D. O. K. II nr 65/28 poz. 3), Medalem Dziesięciolecia Odzyskania Niepodległości (Rozkaz D. O. K. II nr 68/28 poz. 4), Srebrnym Medalem „Za Długoletnią Służbę“ (Rozkaz D. O. K. II nr 23/38), Złotym Krzyżem Zasługi, medalem Pro Pontificae et Ecclesie (Rozkaz Polskiej Kurii Biskupiej nr 8/32) medalem Interallie (Dz. Pers. nr 60/25). Znał doskonale języki francuski, łacine i rosyjski.

Ks. Jan Pajkert zmarł na raka po straszliwych cierpieniach w dniu 24 października 1964 roku w Grodzisku Mazowieckim. Pogrzeb odbył się 28 tego miesiąca. Książd został pochowany na grodziskim cmentarzu w sektorze XV, strona A-F, rząd II.

BIBLIOGRAFIA:

Archiwa:

1. Archiwum USC w Grodzisku Mazowieckim, Archiwum Parafii św. Anny w Grodzisku Mazowieckim

Książki:

1. Cabanowski Marek, Domy i Ludzie, cz. 1. Grodzisk Mazowiecki 1998 r.;
2. Dowbor-Muśnicki, Krótki szkic do historii do historii 1-go Polskiego Korpusu, cz. 1, 2 i 3, wyd. II, Warszawa 1919 r.;
3. Kowalczyk Jerzy, Cmentarz grodziski, Grodzisk Mazowiecki 1987 r.;
4. Odziemkowski Janusz, Spychała Bolesław, ks. Duszpasterstwo wojskowe w drugiej Rzeczypospolitej, Warszawa 1987 r.;
5. Orleański Henryk inż. Hertz Napoleon Józef, oprac; I Korpus Polski szkic historyczny, Warszawa 1938 (złożono i odbito w drukarni „Lechicja“ Grodzisk Mazowiecki, ul. Kościuszki 31);
6. Rutkowski Franciszek, ks. Arcybiskup Jan Cieplak, Warszawa 1934r.;
7. Tworowski Stanisław, Krzyż Dowbora, Londyn 1986 r.

Rozmowy:

1. Wojciech Dzierżanowski;
2. Danuta Pajkert;
3. Jan Niewiarowski;
4. Wiesław Matejczuk.

Jan Siwiec



K. R. B. '2001

Niezwykle trudno pisać o kimś, kto posiada już swego biografę i o którego życiu i dokonaniach istnieje obfita literatura. O Janie Siwcu pisał kilkakrotnie Arkadiusz Kołodziejczyk, historyk związany z Uniwersytetem Warszawskim, badacz najnowszej historii Polski, w tym ruchu ludowego. Polityczna i społeczna aktywność Jana Siwca przyciąga uwagę historyków, a ponieważ skupiała się ona szczególnie na sprawach związanych z wsią i rolnictwem, nic więc w tym dziwnego, że to właśnie Kołodziejczyk zebrał i opisał bogate fakty z jego życia. Zawarł on w dwóch obszernych artykułach sumę działalności Jana Siwca wplatając fakty z aktywności na niwie społecznej i politycznej w biografię tego wybitnego mieszkańca Ziemi Grodziskiej. Jan Siwiec urodził się bowiem w Adamowie, zwanym dawniej Wólką Brzozokalską, czyli w wiosce położonej przy południowej granicy obecnej gminy Grodzisk Mazowiecki, w powiecie grodziskim. Zmarł natomiast w Grodzisku. Znaczną część swojego życia przeżył właśnie w Grodzisku, mieszkając w rodzinnej willi przy ul. Kościuszki 12. Mimo, że jego działalność obejmowała swoim zasięgiem cały kraj, to główną siedzibą i bazą był Adamów i Grodzisk, czyli szerzej pojęta Ziemia Grodziska. Tak więc moim zadaniem jest wybranie z jego życiorysu faktów i wydarzeń związanych z Grodziskiem. Charakteryzując ogólnie jego działalność można stwierdzić za Arkadiuszem Kołodziejczykiem, że „lista rozmaitych stanowisk, funkcji, urzędów i godności, które pełnił Jan Siwiec liczy około 200 pozycji. Nazywano go ambasadorem polskiej wsi“. W innym miejscu ten sam autor pi-



Współczesna siedziba Siwców, Miesięcznik „Kwiatnik“ luty 1998

sze: „... rolnik, działacz organizacji rolniczych, społeczno-gospodarczych, oświatowych i samorządowych, poseł na Sejm Rzeczypospolitej Polskiej w latach 1928-1930 z ramienia Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem Marszałka Józefa Piłsudskiego, redaktor, publicysta i wydawca.“ W tej charakterystyce, obejmującej aktywność na obszarze całego kraju, kryje się wiele, a może większość działań związanych ściśle z Grodziskiem Mazowieckim.

Urodził się Jan Siwec 3 listopada 1891 roku w Wólce Brzozokalskiej. Jego rodzice mieli tam gospodarstwo rolne, na którym uprawiali to, co wszyscy w okolicy: trochę kartofli, trochę żyta i owsa. Do tego hodowano jakiś inwentarz żywy. W każdym razie gospodarstwo dostarczało środków, wystarczających na życie dla całej rodziny. Na południe od Grodziska gleby są słabe, choć w wąwozach i zagłębieniach utworzonych przez lodowiec, a później wyźłobionych przez rzekę Pisię Tuczną, trochę lepsze. Dziadek Jana Siwca, Mateusz, przybył na Mazowsze wraz z Krasieńskimi z Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej i kupił gospodarstwo w Wólce Brzozokalskiej, wchodzącej w skład dóbr Radziejowickich hrabiów Krasieńskich, które częściowo podlegały parcelacji. Gospodarstwo nie było wielkie, ale Siwcowie dzierżawili trochę gruntu gospodarząc na 50 hektarach. To prawdopodobnie wtedy Wólka Brzozokalska zmieniła nazwę na Adamów. Siwcowie mieszkali w wiejskiej chałupie i Jan Siwec nie doczekał gustownej willi, wystawionej na malowniczych zboczach przez syna, Andrzeja Siwca. Okolice Adamowa pokrywał ongiś gęsty las - Puszcza Jaktorowska, której relikty ocalały w pobliżu domu Siwców. Rośnie tam kilka wspaniałych, rozłożystych dębów, z których „Maciej“ ma 5, 5 metra obwodu. Ogromne to drzewo pamięta jeszcze czasy, kiedy w jego cieniu przemykały ostatnie tury, zaprzepaszczone przez poprzedników Krasieńskich-Radziejowskich na Radziejowicach. „Jeszcze w połowie XIX wieku tereny dzisiejszego Adamowa, miejscowości położonej nieopodal Grodziska Mazowieckiego pokrywał las. W tym czasie osiedlił się tu Mateusz Siwec, łowczy hrabiów Krasieńskich, przybyły z dalekiej Kowieńszczyzny na Litwie. Zamiłowany przyrodnik, tradycje szacunku dla przyrody przekazał swym następcom, którzy zamieszkali nad wąwozem, gdzie do rzeki Pisi-Tucznej wpada strumień Ruczaj.“ - pisze Andrzej Siwec w magazynie „Kwietnik“.



Jan Siwec wśród ziemian grodziskich – w środku z gołą głową. Drugi z lewej – Antoni Wieniawski

Jan Siwec dorastał więc w gospodarstwie, obcując z przepiękną przyrodą i w miarę dorastania pomagał rodzicom. Do szkoły zaczął uczęszczać w Radziejowicach, później zaś do szkoły Piotra Krupińskiego w Grodzisku. Była to prywatna szkoła powszechna, a mieściła się w istniejącym do dzisiaj budynku pomiędzy ulicami Kilińskiego i Kościuszki, kilka kroków od obecnej siedziby Urzędu Miejskiego. Po skończeniu tej szkoły, cieszącej się dobrą renomą, przeszedł Jan Siwec do gimnazjum w Czerwonym Dworze. Budynek tej szkoły, w okolicach dzisiejszego marketu MAX, znany był następnie mieszkańcom Grodziska jako radiostacja, służąca po wojnie do zagłuszania „wywrotowych“ radiostacji zagranicznych. Ktoś małego ducha i takiego samego rozumu kazał ten historyczny budynek rozebrać w latach sześćdziesiątych minionego stulecia. Jan Siwec chodził do szkoły piechotą, w obie strony, choć odległość pomiędzy Wólką Brzozką a Grodziskiem wynosi 10 kilometrów. Piękna to i malownicza droga, choć niewątpliwie nie łatwa, odbywana codziennie,

zwłaszcza zimą! Do tego jeszcze chłopiec, a później młodzieniec, musiał pomagać rodzicom w gospodarstwie. Uczył się więc nocą.

Kilka lat przed wybuchem Wielkiej Wojny, zwanej później pierwszą światową Grodzisk przeżywał okres szybkiego rozwoju. Budowało się wiele domów, głównie letniskowych, ale i rezydencji, powstawały liczne zakłady przemysłowe. Przede wszystkim jednak zgrupowała się w okolicach Grodziska znaczna liczba ludzi, w których głowach kiełkowała myśl o unowocześnieniu polskiego rolnictwa. Byli to ziemianie opierający swoją egzystencję na produkcji rolniczej, a mający szerokie horyzonty ukształtowane przez idee pozytywizmu. Głównym ośrodkiem skupiającym nowocześnie myślących przemysłowców rolnych była Wola Pękoszewska - własność Górskich. Ponadto w Wiskitkach i Guzowie mieszkali pionierzy cukrownictwa polskiego Łubieńscy i Sobańscy. Dołączał do nich Edward hr. Plater z Osuchowa, Plebański z Izdebnia, a przede wszystkim wybitny ekonomista i działacz polityczny Antoni Wieniawski z Chlewni, którego ojciec kupił ten majątek. Stary Julian Wieniawski jeszcze przed swoim synem, ukończywszy marymoncką szkołę ekonomiczną nowocześnie gospodarował w swoim majątku. Nolens volens Grodzisk, jako siedziba urzędów powiatowych i dogodnie pod względem komunikacyjnym położone centrum stało się miejscem, gdzie powstawały organizacje i instytucje służące do realizacji wytkniętych przez owych koryfeusza postępu rolniczego celów. To w Grodzisku powstało jedno z pierwszych Kółek Rolniczych, a twórcami tej organizacji byli Mateusz Woźnicki, Antoni Jackowski, Jan Maliszewski, Wacław Leszczyński i Antoni Wieniawski. Stało się to w 1910 roku, zaś dwa lata później powołano Grodziskie Towarzystwo Rolnicze z inicjatywy Daniela Janusza, K. Komierowskiego, K. Wojciechowskiego, Jana Plebańskiego i Antoniego Wieniawskiego. Wreszcie w tymże czasie w Chylicach powstawał doświadczalny majątek - załóżek przyszłej Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, a składali się na tę inwestycję książę Seweryn Czetwertyński, Władysław Kiślański, Józef Mikułowski-Pomorski, Edward hr. Plater, Michał hr. Sobański i Antoni Wieniawski. Utworzono w Grodzisku Syndykat Rolniczy mający zaopatrzyć rolników w nowoczesny sprzęt rolni-

czy, materiał nasienny, nawozy sztuczne, środki ochrony roślin, paliwo, a nawet amunicję i broń myśliwską. Prócz tego ostatniego były to rzeczy niezbrane polskiemu chłopu w Królestwie Kongresowym. Syndykat tworzyli m. in. hr. Sobański i znowu Antoni Wieniawski.

Dość wcześnie, bo jeszcze w czasach gimnazjalnych, kiedy to Czerwony Dwór był szkołą, ale i miejscem spotkań wymienionych powyżej (za księdzem Mikołajem Bojankiem) ziemian, Jan Siwiec był dopuszczany do dyskusji i rozmów w ich gronie. Poznał ich wszystkich, oni zaś docenili jego zainteresowania, inteligencję, zmysł organizacyjny i pracowitość. Wkrótce cechy te wytworzyły w młodym umyśle entuzjazm dla nowych idei. „Na kształtowanie się jego światopoglądu i wybór kierunku pracy zawodowej oraz społecznej działalności miały niewątpliwie wpływ kontakty z okolicznym postępowym ziemiaństwem skupionym w Okręgowym Towarzystwie Rolniczym w Grodzisku Mazowieckim i osiadłym w pobliskiej wsi Kuklówce malarzem Józefem Chełmońskim“ - pisze Arkadiusz Kołodziejczyk. Cytuje on dalej słowa Andrzeja Siwca: „Interesując się żywo wszystkim



Grodziscy notable – założyciele syndykatu

co Go otaczało, już wcześniej zetknął się z pozytywistycznymi poczynania niektórych przedstawicieli ówczesnej inteligencji i ziemiaństwa. Takimi byli śp. inż. Świętochowski, który ze swym kolegą śp. inż. Katarzyńskim kupił i stworzył obok ośrodek rolny w Ojcówku, którego zadaniem miało być promieniowanie kulturą rolną i oświatową na okolicę (...) Nie miały wpływu mógł mieć i Józef Chełmoński, który wraz ze swoimi przyjaciółmi malarzami nieraz zaglądał do chaty dziadka. Ojciec zachował szereg barwnych wspomnień z tego okresu. Mile zawsze wspominał śp. **W i e n i a w s k i e g o** z Chlewni koło Grodziska,



W armii carskiej

ską, i jeszcze paru postępowych ziemian, twórców Towarzystwa Rolniczego w Warszawie którzy w tzw. Czerwonym Dworze w Grodzisku Mazowieckim spotykali się, tworząc zręby późniejszego programu szkolnictwa i oświaty rolnej na terenie powiatu grodziskiego.“

Jest rzeczą zadziwiającą, że w tamtych czasach, w warunkach niewoli, małe miasteczko z dużym odsetkiem ludności żydowskiej, było kuźnią tak postępowych idei, gromadziło kwiat inteligencji



Komendant Szpitala św. Jerzego – Jan Siwiec

w zakresie rolnictwa i ekonomii, a także entuzjastów działalności kulturalnej, sportowej itd. W Grodzisku funkcjonowało Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół“, Towarzystwo Śpiewacze „Lutnia“, amatorski teatr o profesjonalnym poziomie. Chciałoby się powiedzieć, gdzież te czasy, gdzież ci ludzie! Tak więc Jan Siwiec, będąc już uznanym członkiem tego środowiska, w 1912 roku, mając 21 lat obejmuje funkcję sekretarza grodziskiego Okręgowego Towarzystwa Rolniczego. Już na początku swojej działalności w Towarzystwie opracował raport o potrzebach szkolnych powiatu. Poważna ta praca była jednak wstępem tylko i jednocześnie zakończeniem jego aktywności na funkcji sekretarza, albowiem 27 sierpnia 1912 roku został powołany do armii rosyjskiej i wcielony do 3. baterii 28. brygady artylerii rosyjskiej. Służba i szkolenie w wojsku trwało równy rok, po czym Jan Siwiec został przeniesiony do rezerwy jako „chorąży zapasu“.

Znowu minął rok względnego spokoju. Aliści narastało napięcie polityczne w Europie i w rezultacie wybuchła wojna między głównymi mocarstwami. W tryby maszyny wojennej wciągnięci zostali



Jan Sowiec w polskim mundurze



*W twierdzy modlińskiej.
Stoją: 5. Kazimierz Ojrzyński – felczer, 6. Hipolit Szczerkowski, 7. Statkowski –
pracownik grodziskiego syndykatu. Siedzi – Jan Siwiec, drugi od prawej*



Bateria zapasowa. Jan Siwiec siedzi czwarty od lewej

wszyscy, także i Jan Siwiec, wcielony do armii 14 lipca 1914 roku. Jego zmysł organizacyjny znalazł zastosowanie w funkcji pomocnika zarządzającego gospodarką Szpitala Św. Jerzego Rosyjskiego Czerwonego Krzyża. Potem w ramach tej organizacji awansował kolejno na dowódcę obozu, dowódcę X Transportu Konnego Czerwonego Krzyża i Dowódcę Zapasu Koni Czerwonego Krzyża, w październiku 1917 roku nastąpił w Rosji przewrót bolszewicki. Służąc w armii rosyjskiej zachowywał Jan Siwiec postawę patriotyczną. Jak wynika z biografii Jana Siwca, napisanej przez jego syna Andrzeja, ostentacyjnie używał języka polskiego w stosunkach służbowych, co groziło poważnymi konsekwencjami. W czasie rewolucji nadal kierował szpitalem wojskowym. 16 października 1918 roku pisał do swoich rodziców: „W dalszym ciągu służę w Czerw. Krzyżu z daleka od polityki, chociaż całą duszą śledzę za biegiem takowej. Dotychczas stałem z oddziałem w Jarosławiu i byłem świadkiem najokropniejszej rozprawy czerwonych i białych w Rosji, a obecnie przejeżdżam do Wołody i tam rozwiniemy (...) lazaret na 100 łóżek dla miejscowej ludności i armii (...) Na chleb starcza mi, a warunki pracy i okoliczności, przy których płynie życie dają mi dużo, dużo nowego, czego w kraju bym nie spotkał. Jestem w samym ogniu rewolucji, chociaż żadnego udziału czynnego nie biorę (...) Rzuciłbym służbę i pojechał do kraju, gdyż celem mojego żywota jest i będzie nauka, ale ja myślę, że tam nie ma możliwości uczenia się, póki są Niemcy i dlatego siedzę tu i wyczekuję.“ Andrzej Siwiec stwierdził, że „... Ojciec z tego okresu wyniósł szerokie spojrzenie na zagadnienia polityczne i umiejętność kierowania pracą na odpowiedzialnych stanowiskach.“ Minał jednak miesiąc i na pierwszą wieść o ogłoszeniu niepodległości przez Józefa Piłsudskiego Jan Siwiec porzuca służbę w obcej armii i przediera się do Polski. W decydującym okresie wojny polsko-bolszewickiej, od 13 lipca 1920 do 25 grudnia tego roku służy w baterii szkolnej 18 pułku artylerii szkolnej w Twierdzy Modlin, zweryfikowany w wojsku polskim w stopniu podporucznika. W twierdzy tej służyło kilku mieszkańców Grodziska, m.in. w tej samej baterii profesor Hipolit Szczerkowski, młodszy od Jana Siwca o cztery lata późniejszy nauczyciel w gimnazjum w Czerwonym Dworze, w tym samym do które-

go uczęszczał wcześniej Jan Siwiec. Był w tej baterii grodziszczanin niejaki Piesiewicz, który figuruje na rozmaitych pamiątkowych fotografiach z Modlina. Był tam z Grodziska felczer Kazimierz Ojrzyński i jeszcze kilku innych. W Wojsku Polskim pełni Jan Siwiec funkcję oficera ewidencyjnego, adiutanta baterii zapasowej pod dowództwem kapitana Radziulewicza, wreszcie jako oficer informacyjny garnizonu w Zambrowie.

Kiedy ucichły działa i rozpoczęła się żmudna praca przy odbudowie zniszczonego kraju wszczął Jan Siwiec starania o zwolnienie z wojska. Pomógł mu w tej sprawie Centralny Związek Kółek Rolniczych, który do dowództwa wojskowego skierował pismo dnia 6 grudnia 1920 roku: „Niniejszym zwracamy się z gorącą prośbą o zwolnienie ze służby wojskowej instruktora Okręgowego Związku Kółek Rolniczych w Grodzisku p. Jana Siwca, który wstąpił do wojska jako ochotnik. (...) P. Jan Siwiec jest niezbędny na stanowisku instruktora, jako fachowiec-rolnik oraz poważna siła organizacyjna. Mamy nadzieję, że Ministerstwo uwzględni naszą usilną prośbę i raczy zwolnić ze służby wojskowej ppor. Jana Siwca.“ Sumując doświadczenia wojskowe Jana Siwca nie sposób pominąć jeszcze jednego, ale także ważnego epizodu w jego życiorysie wojennym. Z chwilą wybuch 3. powstania śląskiego powrócił Jan Siwiec do wojska i na początku maja 1921 roku udał się z transportem broni na front. Za udział w tym powstaniu został odznaczony Krzyżem ze Wstęgą Górnośląską Walcznych i Zasługi (nr 303) nadanym przez Naczelne Dowództwo Wojsk Powstańczych. Ostatecznie został przeniesiony do rezerwy Wojska Polskiego jako podporucznik 3. pułku artylerii polowej w Zamościu z 261 lokatą na liście starszeństwa podporuczników rezerwy artylerii.

Po powrocie na łono rodziny bierze się Jan Siwiec energicznie do realizowania swoich celów. Okręgowy Związek Kółek Rolniczych w Grodzisku Mazowieckim angażuje go w charakterze instruktora rolnego. Ale równoległe z pracą podejmuje studia na I roku Studium Psychologicznego i Studium Pracy Społeczno-Oświatowej na Wsi oraz filozofii w Wolnej Wszechnicy Ludowej. Wkrótce też znajdujemy go na stanowisku instruktora Sekcji Organizacyjnej Centralnego

Związku Kółek Rolniczych w Warszawie. Aby w pełni wykorzystać jego zdolności organizacyjne władze Związku wysyłają go do Suwałk, gdzie obejmuje funkcję instruktora-kierownika Okręgu Suwałskiego Związku Kółek Rolniczych. Będąc tam prawie rok redagował jednocześnie tygodnik o tytule „Rolnik Suwałski“. Wrócił następnie na etat instruktora, a wreszcie został zaangażowany na stanowisko kierownika Wydziału Organizacyjnego Centralnego Towarzystwa Organizacji i Kółek Rolniczych. Wiele Kółek Rolniczych i innych organizacji podobnego charakteru w Polsce działało do tej pory samodzielnie. Dopiero utworzenie OTOiKR zunifikowało cały ruch zawodowy rolników w kraju. Stanowisko kierownika Wydziału w ogólnokrajowej organizacji było więc stanowiskiem wysokim i wymagało wysokich kwalifikacji. Jednocześnie z tą pracą pełnił Siwiec godność prezesa OZKR, a po unifikacji OTOiKR w Grodzisku Mazowieckim. Trwał na tej funkcji aż do wybuchu wojny. Nie ustawał też w innych inicjatywach związanych z ruchem społecznym i politycznym w rolnictwie. Widział olbrzymi wpływ kółek rolniczych na postęp w gospodarstwach rolnych zaangażował się także w ich organizację na terenie odzyskanego Pomorza. Próbował m. in. w specjalnym memoriale zachęcić ministra reform rolnych do parcelacji dóbr obszarników niemieckich na Pomorzu motywując swoją ideę m. in. wrogim stosunkiem właścicieli niemieckich do Polski.

W II Kadencji Sejmu RP, w latach 1928-1930 zostaje posłem z ramienia BBWR i bierze udział w pracach komisji rolnej i reform rolnych. Jak można scharakteryzować jego światopogląd? W czasach przełomu politycznego, czyli w latach 1917-18 często pisał: „w pracy politycznej nie biorę udziału“. W 1922 roku w liście do swojego ojca pisał: „Chociaż ja nie należę do żadnego stronnictwa, to jednak uważam, że każdy dobry Polak - obywatel powinien należeć do organizacji politycznej i brać udział w pracy zmierzającej do utrwalenia niepodległości naszej Ojczyzny, ale i zmierzającej do utrwalenia osiągniętych dla wydziedziczonego dotychczas z praw ludu pracującego - swobód.“ To bardzo słuszne słowa, choć nie wynika z nich żaden wniosek co do kierunku wyznawanych poglądów. „Każdy dobry Polak“, czyli patriota, myśli podobnie i uświadomienie sobie takiej po-

stawy każe sformułować dalszą definicję polityczną. Znajdujemy ją w cytowanym niżej liście do ojca z 30 czerwca 1922 roku:

„Cała nasza prawica reakcyjna, skupiająca się w Narodowej Demokracji i Związku Ludowo-Narodowym, rzuca obecnie miliardy marek na agitację wśród ludu, zmierzającą do ogłupienia mało uświadomionego chłopa i kosztem jego ciemnoty zmierza do opanowania rządów w Polsce, (...) W tej nikczemnej robocie, wbrew swemu posłannictwu, pomagają naszej reakcji i księża. Dla możliwości zjedzenia lepszego obiadu, dla jałmużny wyklamanej u pańskiego stołu, wypiera się dużo Księży swego boskiego posłannictwa służenia uciemżonym i pomaga w ten sposób gnębić jeszcze więcej tych, którzy są i tak gnębieni, bo nie umieją się bronić w pojedynkę, a do roboty organizacyjnej jeszcze nie dorośli. Są jednak księża i inni, którzy wbrew wyklęciom biskupów idą z ludem, po drodze uczciwej pracy i obrony interesów. (...) Teraz stara się nasza reakcja oszkalować Naczelnika Państwa i część ludową Sejmu, że chcą zgubić Polskę, a sama posuwa się do najpodlejszych rzeczy, byle do rządu dostali się tacy ludzie, którzy siłą pognaliby lud do głosowania na ich listy, bo zatamowaliby wszelki rozwój ruchu ludowego. Ci, którzy kłaniali się w pas wrogom i prosili o jałmużnę, wtedy kiedy Piłsudski wypijał krew z wrażliwych ciał zaborców i osłabiając ich, gotował Zmartwychwstanie Polski, ci teraz mówią, że są narodowcami i biorą monopol na patriotyzm. Całe życie omijali kościół, a teraz mianują się hasłem »Bóg i Ojczyzna«, żeby łatwiej osłępić łatwowiernych i poprowadzić ich na swoim partyjnym pasku. Reakcja rzuca pieniądze, za które chce sobie kupić przy wyborach dużo ludu. Lud powinien zorganizować się i pokazać nie skalone obłudą serce kochające prawdę. Cieszy mnie bardzo, że kołyska mego życia budzi się z uspienia. Cieszy mnie, że Ojczulek wziął udział w życiu społecznym. - Odbywajcie narady, - czytajcie gazety i uczcie się bronić swoich praw mądrze”.

To, co ujawnia tutaj Siwiec jest bez wątpienia deklaracją ideową, w znacznej mierze lewicową, brzmiącą nawet rewolucyjnie. Jednak pamiętajmy, że do wyborów w 1928 roku startował z listy Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, czyli quasi-partią sanacyjną, a więc raczej nie lewicową. 21 lipca 1938 roku Siwiec został powoła-

ny na członka Rady Obwodowej OZONU - Obozu Zjednoczenia Narodowego - przedłużenia BBWR, ale jeszcze bardziej zachowawczego. Z ramienia OZONU startował w wyborach do Sejmu RP w 1938 roku, ale bez powodzenia. Może więc był prawicowcem? Jeszcze w 1920 roku nie dał się wciągnąć do Narodowego Zjednoczenia Ludowego, choć mocno go do tego nakłaniano. Nie należał też do PSL „Wyzwolenie“, chociaż cieszył się, że jego ojciec wstąpił w szeregi tej partii. Z tym światopoglądem jest więc ciężka sprawa.

Wracając do działalności parlamentarnej Jana Siwca, to jak pisano wyżej został wybrany na posła kadencji 1928-1930. Przy końcu lat 20-tych związał się z Centralnym Związkiem Młodzieży Wiejskiej. Następnie został członkiem Związku Młodej Polski. „Po przewrocie majowym zetowcy utworzyli elitarny Związek Naprawy Rzeczypospolitej, którego działaczem był i Siwiec - pisze Arkadiusz Kołodziejczyk. Od przełomu 1927/1928 czynnie uczestniczył w pracy BBWR, organizując poparcie drobnych rolników Mazowsza dla Bloku.“ Widocznie darzono go zaufaniem, skoro został członkiem poufnego Zespołu Opiniodawczego przy Wojewódzkim Biurze Wyborczym BBWR. XII Okręg Wyborczy stanowiły powiaty Grodzisk-Błonie, Skierniewice, Rawa Mazowiecka i Grójec i z tego to okręgu Siwiec uzyskał mandat. Jego działalność w komisji rolnictwa i na szerszym forum sejmowym, w której bronił przede wszystkim mniejszej własności rolnej została źle przyjęta przez klub BBWR w Sejmie. W rezultacie został zawiadomiony przez prezesa Walerego Sławka listem z dnia 17 października 1930r.

„Szanowny Panie Kolego. Po ostatecznym ułożeniu list zarówno państwowej jak i okręgowych, poczuwam się do obowiązku zawiadomić Pana Kolegę, że niestety nie mogłem jego nazwiska uwzględnić.

Obecna ordynacja wyborcza stwarza przy układaniu list niebywałe trudności: musi się uwzględnić ludzi związanych z terenem, a obok tego reprezentujących rozmaitego rodzaju organizacje społeczne, których »terenowi« trzeba narzucić.

Z doświadczenia 1928 roku musiałem wyciągnąć dla siebie wnioski, że poznanie zarówno kandydatów jak i istotnej ich popularności, mogę dokonać tylko pośrednio przy pomocy ludzi, którzy wię-

li na siebie odpowiedzialność za wybory na poszczególnych terenach. Przedstawione przez nich wnioski zmusiły mnie do wysunięcia niektórych nowych nazwisk, co w konsekwencji spowodowało, że niektórzy z byłych posłów i senatorów nie mogli się znaleźć na realnych miejscach.

Ogólne warunki, w jakich się obecne wybory odbywają, ich znaczenie dla przyszłości państwa – to wszystko razem wzięte – skłania mnie do odsunięcia na bok względów natury personalnej, byle tylko ogólny wynik wyborów dał warunki niezbędne dla przeprowadzenia naprawy ustroju na drodze parlamentarnej. Będąc głęboko przekonany, że i Szanowny Kolega motywy te podzielać będzie, pozwolę sobie wyrazić nadzieję, że jeśli nawet nie w jednym klubie poselskim, to w każdym razie we wspólnym obozie w dalszym ciągu współpracować będziemy –

Z poważaniem /-/ W. Sławek“

Następne wybory do Sejmu, w których Jan Siwiec startował z ramienia OZONu, jak wiemy, nie powiodły się. Między jedną kadencją sejmową (1928-1930), a drugą w 1938, w której Siwiec także miał reprezentować Ziemię Grodziską, nie ustawał w działalności społecznej i politycznej. Mieliśmy się skupić wyłącznie na jego udziale w organizacjach i instytucjach grodziskich. Jednak wyrwanie jego aktywności lokalnej z ogólnego kontekstu wydaje się niemożliwe. Jak nie wspomnieć choćby o fakcie uczestniczenia w nieformalnym zespole konsultacyjnym przy prezydencie Ignacym Mościckim? Bywa na dożynkach „prezydenckich“ w Spale. Od 1936 do 1939 roku był członkiem Państwowej Rady Oświecenia Publicznego. W tym samym 1936 roku został wybrany do Rady Związku Powiatów RP, gdzie został wiceprezesem, a od 24 lutego 1938 roku prezesem, po rezygnacji z tej funkcji poprzednika Z. M. Jaroszyńskiego. Mógł tam bronić interesów powiatu grodziskiego, z którego przecież pochodził. Ponadto: był członkiem Okręgowej Komisji Ziemskiej od 1923 roku na wiele kadencji, od 1937 roku Wojewódzkiej Komisji Ziemskiej. Od 1930 roku był członkiem Rady Warszawskiej Izby Rolniczej, a od 1933 roku jej wiceprezesem. Przez trzy lata - od 1923 roku był członkiem

Główniej Komisji Ochrony Lasów przy Ministerstwie Rolnictwa i Dóbr Państwowych.

A w Grodzisku? Trudno ocenić, która z gałęzi działalności jakimi zajmował się Jan Siwiec była ważniejsza. Wszędzie, gdzie działał, zaznaczył swoją obecność w sposób ważny i kreatywny. Przy końcu 1930 roku odbyły się w Grodzisku Mazowieckim trzydniowe kursy społeczno-rolnicze pod auspicjami Okręgowego Towarzystwa Organizacji i Kółek Rolniczych w Grodzisku, którego Siwiec był prezesem. Główne referaty wygłosił tam prezes i kilku innych autorów. Siwiec mówił o „Kierunkach i możliwościach poprawienia sytuacji rolnictwa w powiecie błońskim“ oraz o „Sadownictwie, warunkach jego rozwoju i opłacalności produkcji owocarskiej w powiecie błońskim“. Obszerne elaboraty zawierają wiele uwag dziś dla nas historycznych, jak np. wiadomość o tym, że „Dochód ogólny rolniczy w powiecie błońskim, uległ od roku 1929 nadto dużej zniżce z tej racji, że w czasie srogiej zimy z roku 1928 na 1929 zmarzło w naszym powiecie ponad 100.000 drzew owocowych a 25.000 drzew jest przemarzniętych, chorych i wskutek powoli umierających“. Niektóre jednak stwierdzenia Jana Siwca są bardzo współczesne i zdumiewa powtarzalność sytuacji:

„Przyszedł kryzys gospodarczy, który szczególny stan stosunków wytworzył u nas w kraju. Zubożałe pod względem finansowym społeczeństwo nasze nie jest w możności spotrzebować wewnątrz kraju wszystkich wytworów gospodarstw wiejskich, a szczególnie nie może za te wytwory drogo płacić. Za granicę natomiast nie możemy sprzedawać naszych produktów po dobrej cenie, z tej prostej racji, że na rynkach, międzynarodowych są one uważane za poślednie w gatunku. Opinię taką mają nasze produkty głównie dlatego, że są źle zbierane, marnie doczyszczane i gatunkowane, wadliwie przerabiane i dlatego nie znoszą długiego przewozu, a nade wszystko łatwo psują się w czasie transportu (masło, jaja, itp.). To też za granicą możemy znaleźć nabywców na nasze produkty rolnicze tylko wśród najbiedniejszej ludności, która znów bardzo tanio płaci za nie. Zamożny i wybredny spożywca zagraniczny nie chce kupować naszych produktów nawet po niskiej cenie, nie chce ich wogóle, bo stać go jest zapła-

cić drożej, więc otrzymuje dobry, wyborowy produkt wytworzony przez kulturalnego rolnika duńskiego, lub też jemu podobnego.

Przeżywamy więc w Polsce dużą biedę rolniczą, którą w znacznym stopniu muszą rolnicy zawdzięczać samym sobie; swemu sobkostwu społecznemu i niemrawości myślowej.

Ludzie głupi i źli - a tych jest zawsze pod dostatkiem wszędzie - starają się tę biedę rolniczą pogłębić jeszcze bardziej. Narzekają oni głośno i wskazują, że temu wszystkiemu co teraz przeżywamy winien jest rząd. Wiedzą sami, że ludzi tumanią i odciągają w ten sposób od właściwych myśli zaradczych; wiedzą, że rząd ma bardzo ograniczone możliwości i sam bez rozumnej pomocy ze strony dobrze zorganizowanych rolników, działających jednomyślnie zbiorowo nie wiele jest w mocy uczynić. A mimo to mącą ciągle z racji wrodzonej złości lub też z głupoty.

Są i tacy, którzy radzą mniej produkować to niby będą lepsze ceny. Ale tych co tak mówią i radzą to już ja nazywam po prostu zdrajcami sprawy ojczystej.“

Uwagi Siwca odnośnie sadownictwa owocowego wyływały z jego głębokiej wiedzy na ten temat oraz z własnych zainteresowań praktycznych. Znając słabość gleby w swoim gospodarstwie rozwinął w Adamowie duży sad owocowy. Stanisław Kaczorowski, radny miejski kadencji 1998-2002, były dyrektor kolejki WKD, mówił mi o Siwcu: „Bardzo sympatyczny, oczytany, kulturalny. Sadził Sad w Urszulinie w majątku Stefana Buksowicza. Posadził około 10 hektarów“. Arkadiusz Kołodziejczyk wymienia jeszcze inne funkcje, jakie pełnił Siwiec w Grodzisku Mazowieckim. M. in. od 1928 r. był członkiem Rady Szkolnej Powiatowej Wydziału Powiatowego, od 1935 roku przewodniczącym Powiatowego Urzędu Rozjemczego, działał w Radzie Miejskiej i szeregu organizacji, jak Towarzystwo Wzajemnych Ubezpieczeń od Ognia „Snop“, Dozór Szkolny, Liga Morska i Kolonialna, Koło Oficerów Rezerwy. Bardzo ważna była rola Urzędu Rozjemczego, który rozstrzygał sprawy i doradzał chłopom w kwestiach spłaty długów zaciągniętych w bankach i towarzystwach kredytowych. Kryzys gospodarczy spowodował dramatyczne zadłużenie rolników, który Powiatowy Urząd Rozjemczy – dodajmy: jednoosobowy w osobie Ja-

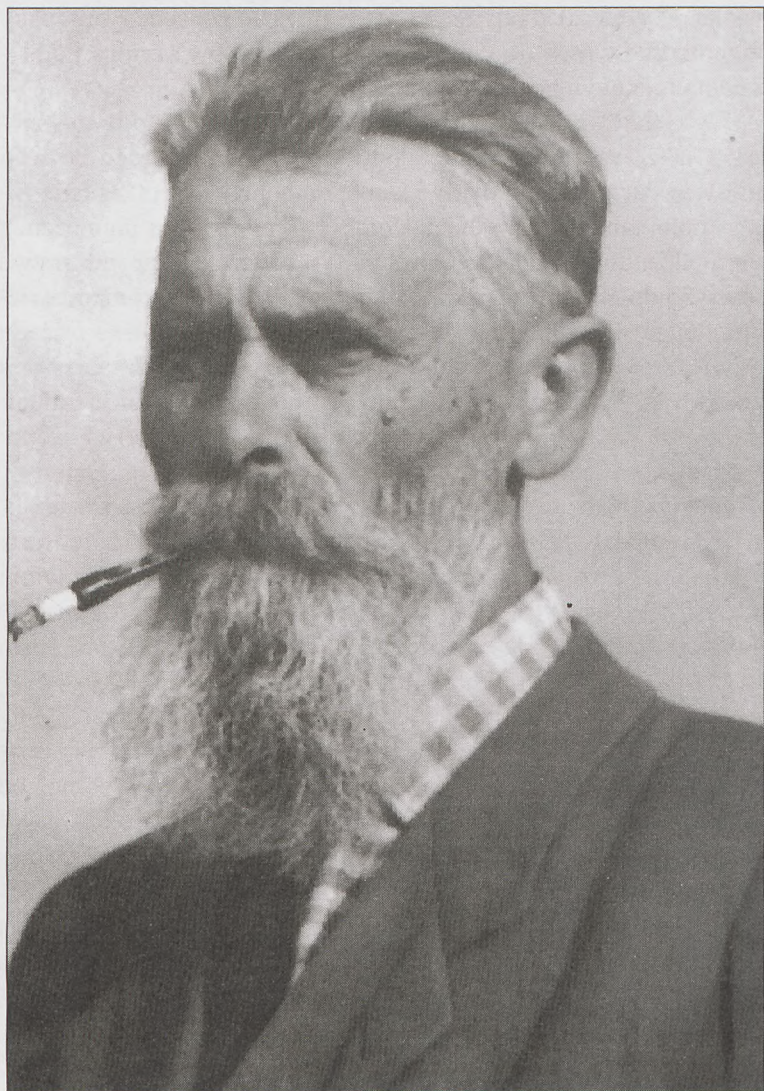
na Siwca – starał się chronić rolników od całkowitego upadku, a jednocześnie tak rozkładać raty długu lub wymyślać koncepcję produkcji rolnej, aby dług wrócił do wierzyciela. Bardzo to była trudna i odpowiedzialna rola, wymagająca zaufania obu stron.

Wybuchła wojna. Usposobienie Jana Siwca, jego pozycja społeczna, a także położenie gospodarstwa, predestynowała go do włączenia się w ruch konspiracyjny i samopomocowy całym sercem. Siwiec współorganizował Miejski Komitet Samopomocy Społecznej, któremu także dostarczał wiele produktów z własnego gospodarstwa w cenach 35 do 50% niższych od rynkowych. Dawał schronienie wielu potrzebującym. Współpracował z podziemnymi strukturami Rządu RP. A wreszcie jego zagroda służyła często jako miejsce koncentracji oddziałów partyzanckich Armii Krajowej i jako skład broni i amunicji. Z 9 na 10 września 1943 roku w ramach operacji „Riposta” dokonano zrzutu spadochronowego na placówkę o kryptonimie „Solnica”. Na terenie Ośrodka „Gąbka” – „Osa” Armii Krajowej, czyli w okolicach Grodziska, były następujące zrzutowiska, które przyjmowały zrzuty materiału wojennego i cichociemnych: w Osowcu (kryptonim „Durszlak”), w Chawłowie – dawnym majątku znanego zapaśnika Sztekkera (kryptonim „Bat”), w Książenicach („Solnica”), w Skułach („Tasak”), w Kraśniczej Woli („Łyzka”) i w Izdebnie („Rozłogi”). W monografii Jędrzeja Tucholskiego pt. „Cichociemni” znajdujemy zapis dotyczący operacji „Riposta” i zrzutu na „Solnicę”:

„4 samoloty dotarły do placówek: »Kilim« (8 km na północ od Łowicza)... »Lichtarz« (14 km na zachód od Grójca), »Pokrywa« (8 km na południowy wschód od Wołomina) i »Solnica« (stary kryptonim »Bat«. 7 km na południe od Grodziska Mazowieckiego).

3 zrzuty zawierały po 6 zasobników i 6 paczek, czwarty (na »Solnicę«) 3 skoczki, 6 zasobników i 1 paczkę. Placówka »Kilim« nie odnalazła 1 paczki. Na »Pokrywie« wskutek bardzo dużego rozrzutu, nie doszukano się 3 paczek, znaleziono za to 1 spadochron... bez ładunku. Zawartość pozostałych zrzutów odebrano w komplecie.

Operacja lotnicza »Neon 4«; dowódca kpt. naw. Stanisław Król. Ekipa XXIX por. Bolesław Polończyk, ps. »Kryształ«, ppor.



Ostatnia fotografia Jana Siwca

Fryderyk Serafiński, ps. »Drabina«. Elżbieta Zawacka, ps. »Zo«. Zrzut przyjęła placówka odbiorcza »Solnica».

Warto zaznaczyć, że cichociemna Elżbieta Zawacka ps. „Zo“, była jedyną kobietą wśród cichociemnych. Wszyscy zrzutkowie i cały sprzęt w sześciu zasobnikach oraz osobno urządzenia radiowe przetrzymano krótko w gospodarstwie Jana Siwca i bezpiecznie przerzuciono do Warszawy. Niestety, Jan Siwiec został częściowo zdekonspirowany i musiał codziennie meldować się na posterunku policji granatowej w obecnym budynku starostwa. Przyjeżdżał więc (lub przychodził) popołudniu do Grodziska, dokonywał powinności i nocował w willi przy ul. Kościuszki 12, wystawionej ongiś przez wuja swojej żony, Józefa Moszyńskiego. Wreszcie zagrożony aresztowaniem ukrywał się całkowicie.

Po 17 stycznia 1945 roku Jan Siwiec włączył się niezwłocznie w nurt pracy społecznej i zawodowej. Otrzymał pozytywny „glejt“ od nowych władz Grodziska: „Prezydium Powiatowej Rady Narodowej zaświadczy, iż Ob. Siwiec Jan jest jednym z najbardziej poważanych obywateli na terenie tutejszego powiatu. W czasie okupacji ob. Siwiec z władzami niemieckimi nie współpracował“. Ów dokument został podpisany przez przewodniczącego PRN Juliana Faszczewskiego dnia 5 października 1946 roku i dawał względną rękojmię spokoju. Od czerwca 1945 roku Siwiec kierował Spółdzielnią Rolniczo-Handlową „Plon“. Potem zajmował różne kierownicze stanowiska, jednakże zmuszony był często zmieniać zajęcie. Pracował w Centrali Eksploatacji Przemysł Uzdrawiskowego, następnie był dyrektorem Przedsiębiorstwa Państwowego „Polskie Uzdrawiska“. Pełnił funkcje prezesa Powiatowego Związku Ogrodniczego w Grodzisku, jednakże kiedy tę organizację wchłonął w lipcu 1947 roku Związek Samopomocy Chłopskiej odszedł i z tej funkcji. Dopiero przewrót gomółkowski i odwilż w stosunkach politycznych przywróciła Janowi Siwcowi prawo do czynnej działalności. Wybrano go na prezesa Centralnego Związku Plantatorów Roślin Oleistych - a jak była to ważna dziedzina produkcji rolnej w owym czasie, to wszyscy wiemy. Uczestniczył też w odradzaniu Związku Kółek Rolniczych. Na I Krajowym Zjeździe tego Związku został wybrany do jego Zarządu. W Grodzisku ca-

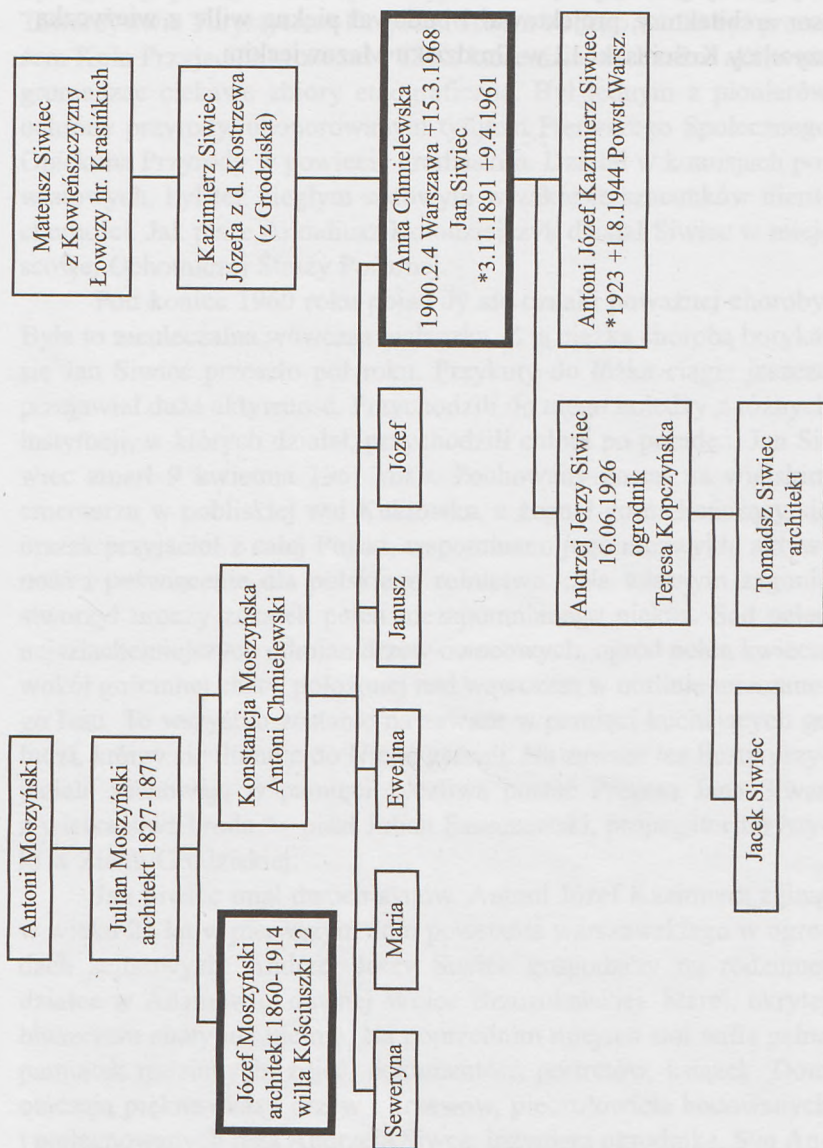
łą siłą włączył się w nurt społeczny. Działał w grodziskim Polskim Towarzystwie Turystyczno-Krajoznawczym i z tego tytułu był prezesem Koła Przyjaciół Muzeum PTTK, które działało bardzo aktywnie gromadząc ciekawe zbiory etnograficzne. Był jednym z pionierów ochrony przyrody, uhonorowanym tytułem Pierwszego Społecznego Opiekuna Przyrody w powiecie grodziskim. Działał w komisjach powiatowych, był też biegłym sądowym w zakresie szacunków nieruchomości. Jak pisze Arkadiusz Kołodziejczyk działał Siwiec w miejscowej Ochotniczej Straży Pożarnej.

Pod koniec 1960 roku pojawiły się oznaki poważnej choroby. Była to nieuleczalna wówczas białaczka. Z tą ciężką chorobą borykał się Jan Siwiec przeszło pół roku. Przykuty do łóżka ciągle jeszcze przejawiał dużą aktywność. Przychodzili do niego koledzy z różnych instytucji, w których działał, przychodzili chłopcy po poradę... Jan Siwiec zmarł 9 kwietnia 1961 roku. Pochowany został na wiejskim cmentarzu w pobliskiej wsi Kuklówka, a żegnał go niekończący się orszak przyjaciół z całej Polski, wspomniano jego niezwykłą aktywność i poświęcenie dla polskiego rolnictwa. „Na własnym zagonie stworzył uroczy zakątek pełen niezapomnianego piękna. Sad pełen najszlachetniejszych odmian drzew owocowych, ogród pełen kwiecica wokół gościnnej chaty, położonej nad wąwozem w otulinie mieszane-go lasu. To wszystko zostanie na zawsze w pamięci kochających go ludzi, którzy się tłumnie do Niego garnęli. Na zawsze też liczni przyjaciele zachowają w pamięci życzliwą postać Prezesa Jana Siwca z wielką siwą brodą.“ - pisał Julian Faszczewski, propagator turystyki w Ziemi Grodziskiej.

Jan Siwiec miał dwóch synów. Antoni Józef Kazimierz zginął w wieku 21 lat w pierwszym dniu powstania warszawskiego w ogrodach sejmowych. Andrzej Jerzy Siwiec gospodarzy na rodzinnej działce w Adamowie, dawnej Wólce Brzozokalskiej. Starej, okrytej bluszczem chaty już nie ma. Na poprzednim miejscu stoi willa pełna pamiątek rodzinnych, zdjęć, dokumentów, portretów, książek. Dom otaczają piękne okazy drzew i krzewów, pieczołowicie hodowanych i pielęgnowanych ręką Andrzeja Siwca, inżyniera ogrodnika. Syn Andrzeja Siwca, Tomasz jest architektem - kontynuatorem rodzinnych

tradycji: to jego wujeczny dziadek Józef Moszyński, petersburski profesor architektury, projektował i budował piękną willę z wieżyczką przy ulicy Kościuszki 12 w Grodzisku Mazowieckim.





BIBLIOGRAFIA:

Archiwa:

1. Archiwum USC w Grodzisku Maz.
2. Archiwum A. Siwca – Warszawa – Adamów:

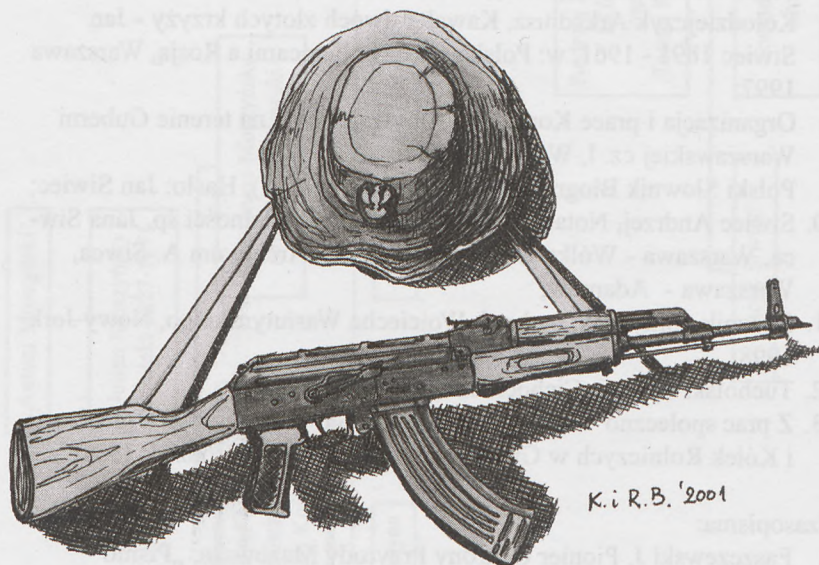
Książki:

1. Bartyś Julian, Kółko Rolnicze w Królestwie Polskim;
2. Bojanek Mikołaj ks., Kościół i parafia w Grodzisku, Warszawa 1917;
3. Cabanowski Marek, Domy i ludzie cz. 2, Grodzisk Mazowiecki 1999;
4. Chmielewski R. J., Kowalczyk J., Sobieraj J., Ośrodek Armii Krajowej „Gąbka“ - „Osa“, Grodzisk Maz. 1994;
5. Dzieje Grodziska Mazowieckiego, pod red J. Kazimierskiego, Warszawa 1989;
6. Kołodziejczyk Arkadiusz, Jan Siwiec (1891 - 1961) w: Rocznik Mazowiecki, tom X (1998), Warszawa 1998;
7. Kołodziejczyk Arkadiusz, Kawaler dwóch złotych krzyży - Jan Siwiec 1891 - 1961, w: Polska między Niemcami a Rosją, Warszawa 1997;
8. Organizacja i prace Komitetów Obywatelskich na terenie Guberni Warszawskiej cz. 1, Warszawa 1916;
9. Polski Słownik Biograficzny (A. Kołodziejczyk), Hasło: Jan Siwiec;
10. Siwiec Andrzej, Notatki dotyczące życia i działalności śp. Jana Siwca, Warszawa - Wólka Brzozokalska 1982, Archiwum A. Siwca, Warszawa - Adamów;
11. Słownik polityczny, pod red. Wojciecha Wasjutynskiego, Nowy Jork 1998;
12. Tucholski Jędrzej, Cichociemni, Warszawa 1988;
13. Z prac społeczno - rolniczych Okręgowego Towarzystwa Organizacji i Kółek Rolniczych w Grodzisku Mazowieckim, Grodzisk 1931;

Czasopisma:

1. Faszczewski J, Pionier Ochrony Przyrody Mazowsza, „Pismo okólne“; Nr 13 Zarządu Okręgu Mazowieckiego PTTK, 1961;
2. Kwietnik, luty 1998;

Lech Zondek



K.i.R.B. '2001

Kogo się nie oswoi z tym, że ludzie
oddający życie za Ojczyznę nie byli
wariatami że jeśli Ona w potrzebie,
to trzeba ryzykować i życie, ten
nigdy dla Polski pracować
nie będzie. Paluszka dla niej nie
zagnie z własnej woli, bez knuta.

Piotr Wojciechowski

Przez dzikie stepy Nuristanu, śliskimi ścieżkami Hindukuszu, wśród mroźnych mgieł i wiecznych lodów, górskimi rozpadlinami pędzi jeździec na koniu. Owinięty w burnus z turbanem na głowie. Rozwiana długa, czarna broda. Z końskiego pyska buchają kłęby pary. Jak sławny Anthony Lawrance, zwany al Arab, albo Adam Czajkowski, zwany Sadyk Pasza. Jednak przez pierś jeźdźca przewieszony jest znak czasu, w którym rzecz się rozgrywa - pistolet Kałasznikowa. Do górnej części burnusa przyczepiony jest mikrofon, z którego jeździec przekazuje informacje wprost na antenę radia, słuchanego w Polsce, w całej zniewolonej Europie...

31 grudnia 1984 roku leciałem ogromnym iłem 62 z Moskwy do Delhi w Indiach. Samolot leciał nad Afagnistanem. Poprzedzał go myśliwiec sowiecki, poruszający się nieco niżej. Zostawiał za sobą białą smugę kondensacyjną. Sowiecki pilot powiedział mi, że zadaniem myśliwca jest zbieranie na siebie ewentualnych pocisków stinger, wystrzeliwanych przez walczących mudżahedinów. Nie znam zasięgu stingera i nie wiem, czy mógłby dotrzeć do maszyny lecącej na wysokości dziesięciu kilometrów. Faktem jest, że niektóre szczyty Hindukuszu przekraczają 7000 m, więc do lecącego samolotu stamtąd jest bliżej. Pod skrzydłami samolotu w przejrzystym powietrzu przesuwiał się ogromny obszar brunatnych gór, z białymi jezorami lodowców w poskręcanych żlebach. Cały czas myślałem wówczas o toczącej się w dole wojnie. O czym myślał pilot? W ogromnej maszynie, sowieckim „jumbo-jecie“ było zaledwie dziewiętnastu pasażerów.

Kapitan zdobył się na postawienie szampana i kanapek z kawiozem - wszak był to ostatni dzień roku. Prócz holującego nas myśliwca nie było widać żadnych oznak wojny. Pamiętam, kiedy leciałem nocą nad Bejrutem, pilot przez głośniki zwrócił uwagę pasażerów na płonące miasto. Widać było koraliki pocisków świetlnych i rozbłyski wybuchów. Tu noc była jasna, oświetlona pełnią księżyca i prócz ponurych gór i białych płacht śniegu nic innego nie było widać. Wiedziałem jednak, że pod nami rosyjscy żołnierze niszczą moździerzami bezbronne wioski, a helikoptery strzelają do wszystkiego, co się rusza. Wiedziałem też, że wśród walczących na dole mudżahedinów jest Lech Zondek z Grodziska, o którym już było głośno. Nie pamiętam, czy tuż przed moim lotem do Indii, czy zaraz po powrocie w lutym 1985 roku słyszałem w Głosie Ameryki reportaże Zondka nadawane z pola walki. Nagrywał je na magnetofon w czasie bezpośredniego starcia z wrogiem, słysząc było serie z broni maszynowej i wybuchy bomb i pocisków. Nadawał reportaż bezpośrednio z pola walki, ale ze spokojem opisywał też piękny, dziki krajobraz, który go otaczał. Wyznaczały ten reportaż trzy najważniejsze cechy dziennikarza: całkowity spokój połączony z wielką odwagą - w tamtych okolicznościach jedno bez drugiego nie istniało, wrażliwość na otoczenie - mudżahedini, to jego towarzysze walki, przyroda to środowisko w którym trwa bój i inteligentna spostrzegawczość, bez której reportaż byłby nudny. Jaka to była walka? Bezwzględna, okrutna, gdzie coś było i znikало w oka mgnieniu, chaty mieszkańców, całe wsie, ludzie. Jeśli wojnę regulują jakieś zasady, konwencje, etyka, to w Afganistanie na nic nie można było liczyć. Tak jak teraz w Czeczenii. „W Kandaharze jest bardzo gorąco, często walka na noże. Coś jak w Powstaniu Warszawskim, na przykład połowa budynku zajęta przez ruskich, a połowa przez Afgańców.“ - pisał Zondek. W innym miejscu pisze - „Mam kilku kumpli z Kandahar i dzięki nim znam dokładnie sytuację: nóż i granaty, walka wręcz o pokoje w budynkach. Sytuacja zbliżona chyba do tej na Starówce w Powstaniu. Doświadczenie z takiego miejsca może być bardzo cenne.“

Ktoś mi powiedział: po co właściwie Lech Zondek pojechał do Afganistanu? O co mu chodziło? Odpowiedź właściwie jest łatwa.

rzyńskiego, za którym jeździł po wszystkich kościołach, dokąd go przenoszono, aby się wyspowiadać. Od najmłodszych lat spowiedź święta była dla Leszka wielkim przeżyciem.“ Że spowiednik może mieć wpływ na człowieka o głębokiej wierze, to jest oczywiste. Sam to wiem po sobie.

Leszek Zondek miał typowy charakter pasjonata. Właściwie cecha ta jest charakterystyczna dla wszystkich członków rodziny Zondków, przynajmniej tego pokolenia, które znałem. Stefan z wielkim uporem zgłębiał tajniki gry na perkusji. Bardziej ku temu popychała go właśnie pasja i miłość do jazzu, niż predyspozycje wewnętrzne. Kiedy stwierdził, że scena jazzowa przepełniona jest zdolnymi „drummerami“ z równie wielkim zaangażowaniem rzucił się do nauki języka angielskiego i poznał go tak głęboko, że przełożył na polski pisaną trudnym slangiem biografię Louisa Armstronga. Ukazała się ona nakładem Państwowego Wydawnictwa Muzycznego i zyskała - w zakresie perfekcyjnego przekładu - bardzo pozytywne opinie. A więc Lecha, jako się rzekło, ogarniały rozmaite pasje, nie zawsze stałe, jak to w młodocianym wieku bywa. Dwie z nich wszakże zdawały się dominować. Jedną z nich były zainteresowania socjologią i psychologią. Na własną rękę zaczął przeprowadzać rozmaite eksperymenty w tych dziedzinach dokonując - jak pisze w biografii Lecha Zondka wspomniany już Ryszard Szadkowski - licznych wywiadów, ankiet, badań i opisów poddając je następnie odpowiedniej analizie. Wreszcie zdecydował się wstąpić na uniwersytet, gdzie zdał celująco egzaminy wstępne na wydział psychologii. Przedtem został członkiem Towarzystwa Higieny Psychiczej, wprowadzony tam przez prof. Grzywak - Kaczyńską.

Rodzina Zondków nie należała do najzamożniejszych w Grodzisku. Od najdawniejszych czasów kształcenie dzieci - cel główny rodziny - okupywane było różnymi wyrzeczeniami. „Nie przeszkadzało mu (mowa o Lechu - przyp. mój) w czytaniu oglądanie telewizji w tym samym pokoju przez inne osoby. Siedząc tyłem do ekranu, pochłaniał lektury, uważając oglądanie telewizji za stratę czasu.“ Informacja o tyle nieścista, że w domu Zondków w ogóle nie było telewizora. Mimo więc wysokich kosztów kształcenia dzieci, każde

z nich starało się pomagać rodzinie, a dalsze studia odbywać pracując. Lech także czuł zobowiązanie wobec rodziny i w ciężkich czasach kryzysu późnej epoki Gierka założył z kolegami warsztat kaletniczy. Skąd akurat zdolności w tym kierunku, trudno powiedzieć. Faktem jest, że uzyskał sukces ze swoimi wyrobami na Międzynarodowych Targach w Poznaniu, gdzie udało mu się sprzedać do „strefy dewizowej“ wszystko, co jego warsztat wykonał. Od tego momentu produkcja spółki kaletniczej zaczęła przynosić poważne profity.



Lech Zondek

Koniec lat siedemdziesiątych to ważny okres w historii Polski. Głęboki kryzys gospodarczy, jakiego objawy dotknęły wszystkich mieszkańców naszego kraju, przyspieszał konsolidację grup oporu. Rodziły się różne nieformalne i podziemne mchy. Studiując na Uniwersytecie Warszawskim bez wątpienia Lech się o te ruchy i organizacje ocierał. Wiemy, że uczestniczył jako słuchacz w sławnych „Latających Uniwersytetach“. Rewolucja „Solidarności“ roku 1980, nasilające się represje i prześladowania przeciwników komunizmu zrodziły w myślach Lecha ideę wyjazdu z kraju. Jak wiemy z późniejszych jego kroków, u podłoża tej idei leżała druga z pasji, a mianowicie zamiłowanie do tradycji wojskowych i militariów w ogóle. Zamierzał zrazu wyjechać do Francji i podstawą do jego wyjazdu była wiza otrzymana w konsulacie tego państwa. Obawiał się jednak, że w ostatniej chwili wszechmocna безпеaka pokrzyżuje mu szyki i wsiadł do pociągu relacji Warszawa - Wiedeń. Po dojeździe do stacji końcowej w dniu 7 grudnia 1980 roku przerwał dalszą podróż i zgłosił się do

wiedeńskiego obozu dla uchodźców, gdzie otrzymał azyl. Z tego kroku widać, że realizował on konsekwentnie zamiar, którego celem była najpierw Australia, a potem cel ostateczny - Afganistan. Obóz w Wiedniu był etapem, skąd rozsyłano uciekinierów z Polski do różnych krajów. Po półrocznym pobycie w Austrii uzyskał Lech odpowiednie zezwolenia i wyjechał do Australii. W tym samym czasie, kiedy Leszek dobijał do brzegów Terra Australis, ja, będąc stypendystą UNESCO podróżowałem po krajach Dalekiego Wschodu i właśnie w Kantonie, w konsulacie PRL układałem dalsze plany podróży. Gościnnie pan konsul Edward Kajdański skwapliwie nasłuchiwał audycji „Wolnej Europy“, aby dowiedzieć się, co się dzieje w Polsce. Czas był gorący, zbliżały się chwile przełomu i wszyscy, nie tylko Polacy oczekiwali z niepokojem na to, co może nastąpić. Pod koniec września, już w Manili na Filipinach, szukałem w ogłoszeniach prasowych najtańszego środka komunikacji do Hong - Kongu, a potem do Singapuru i nawinął się sowiecki kontenerowiec „Chudożnik Roman“, który oferował kajutę z wyżywieniem za 10 dolarów dziennie. Tak niska cena przesądziła o wyborze i zaokrętowałem się na ten nowoczesny wówczas 10 - tysięcznik. Od razu odczułem atmosferę polityczną tamtych dni: stworzono mi luksusowe warunki podróżowania, ale izolowano całkowicie od załogi. Ponadto miałem przydzielonego „opiekuna“, takiego politycznego delegata do kontaktowania się z niebezpiecznym Polakiem. W owym czasie emocje dotyczyły wyboru nowego sekretarza PZPR, bowiem Stanisław Kania był zbyt „miękki“ na tak groźny kryzys. Właśnie od mojego politycznego opiekuna dowiedziałem się, że został nim Wojciech Jaruzelski (17. X. 1981). W tym momencie dla wielu sytuacja stała się jasna. Można się było spodziewać rozwiązania wojskowego i tu intuicja Lecha Zondka nie zawiodła. Gdyby swój plan walki w Afganistanie podjął rok później, nie wyjechałby już z Polski.

W Australii Lech przebywał przez krótki czas w Perth, a chwilę później podjął studia w Melbourne na wydziale psychologii i politologii tamtejszego uniwersytetu. Jednak stacjonarne studia, mieszkanie w „campusie“, terminowe reżimy egzaminacyjne - to wszystko stało w sprzeczności z jego planami walki zbrojnej w Afganistanie.

„W dniu Święta Żołnierza Polskiego, 15. VIII. 1983 Lech zabrał mnie swym autem w podróż z Melbourne do Sydney i przywiózł z powrotem w dwa dni później. - pisał Lesław Delatyński w piśmie „Suwerenność“ (listopad 1985) wydawanym w Australii. - Wspólna podróż zbliżyła nas jeszcze bardziej i widziałem w nim prawdziwego żołnierza polskiego, który choć nie złożył jeszcze przysięgi, będzie wierny swej Ojczyźnie aż do śmierci, a po przejściu przeszkolenia będzie bardzo dobrym oficerem Wojska Polskiego.“ Lech swoje posłannictwo traktował niezwykle poważnie i przygotował się do jego wypełnienia bardzo starannie. Już w Polsce uprawiał różne sporty ekstremalne, w tym zapasy i wspinaczkę wysokogórską. Każdą z tych dziedzin uprawiał z pełnym zaangażowaniem, zdobywając wicemistrzostwo Warszawy w zapasach w stylu wolnym, był następnie członkiem GOPR, gdzie zdobywał nagrody za ofiarność. Znalazł też czas na to, by jeszcze w Polsce, w pobliskiej Grodziskowi Podkowie Leśnej uprawiać jazdę konną. W pewnym momencie w Australii doszedł do wniosku, że sam musi opanować trudną „sztukę przetrwania“ i zaszył się w interior trenując celność w strzelaniu. „No cóż, nie jest legendą, że w trakcie przygotowań do wyjazdu, będąc w pustyni australijskiej, Lecho (członek australijskiego »Pistol Club«) odstrzeliwał w ciągu jednej nocy ponad sto królików. Życie w pustyni nie jest łatwe...“ pisało w prasie australijskiej (K). A więc zapasy, judo trenowane w Australii, jazda konna, wspinaczka wysokogórska („co do innych planów, to jak się bardziej wyrobię (w górach) to za rok idę na K2. Jak kto chce może iść razem. Chcę tam postawić flagę z orłem i koroną“ - pisał Lech Zondek w jednym ze swoich listów.) No i strzelanie. Z różnych rodzajów broni, do celów stałych i ruchomych.

Jednym z warunków wyjazdu do Afganistanu było otrzymanie obywatelstwa australijskiego. Lech spełnił odpowiednie wymagania prawne, opanował język angielski, przebywał na terytorium australijskim wystarczająco długo, miał też status uchodźcy politycznego. W czerwcu 1984 roku został więc obywatelem Australii, co otworzyło mu drogę do realizacji jego głównego planu. Bez zwłoki więc, w lipcu tego samego roku wyjechał do Pakistanu. Jeszcze w Australii próbował nauki języka pusztu, jednego z dwóch głównych języków Afgani-

stanu. W Pakistanie uczył się tego języka jeszcze intensywniej. Przebywając w zachodnio-północnych, przygranicznych rejonach Pakistanu, starał się nawiązać kontakt z ugrupowaniami mudżahedinów, by wybrać spośród licznych odłamów taki, który gwarantował mu szybkie wyjście na linię frontu. W końcu wszystko się udało i Lech Zondek rozpoczął wypełnianie swojej misji. Brał udział w walkach, wyróżniając się odwagą, robił liczne zdjęcia fotograficzne dokumentując zbrodnie agresora, był też reporterem Głosu Ameryki i Radia Wolna Europa, nadając sprawozdania z pola walki w języku angielskim a sporadycznie także w polskim. Zwalczał rozmaite przeciwności, które zniechęciłyby nie jednego. Wiedział wprawdzie, co go czeka, ale do szewskiej pasji doprowadzało go słabe wyposażenie mudżahedinów, brak zgody wśród poszczególnych ugrupowań wojowników afgańskich, a przede wszystkim ich zupełny brak przygotowania do walki. Wśród rzeszy wojujących od kilku lat Afgańczyków ten młody chłopak z Polski był niewątpliwie ekspertem. „Inna strona naszych relacji doprowadzała mnie chwilami do szału, a chwilami do przygnębienia i apatii. Współpraca z nimi w jakiegokolwiek materii to droga przez mękę. To są chyba najbardziej niekompetentni ludzie świata i przestałem się dziwić, że nawet teraz w obliczu wroga nie potrafią skoordynować swojej walki, a wręcz przeciwnie, różne ugrupowania strzelają do siebie od czasu do czasu. Z reguły są szalenie apodyktyczni w forsowaniu swojej woli, bez względu na to czy mają rację czy nie.“ - pisał w jednym ze swoich listów Lech Zondek. Plagą, która prześladowała Lecha były też rany odnoszone w walce. Po każdej poniesionej kontuzji musiał wracać do Pakistanu na leczenie, a potem wielkim wysiłkiem wracać do pełni władzy fizycznej. Specjalnie się tymi ranami nie przejmował - jak wynika z listów - wliczając je słusznie w ryzyko wojny. Przyzwyczaił się też do ogromnej technicznej przewagi agresora. Taktyka walki mudżahedinów uwzględniała tę przewagę. Braki w wyposażeniu były jednak przerażające. „Inna sprawa to poziom wyszkolenia wojskowego mudżahedinów. Jest on żałośnie niski, a właściwie prawie go nie ma. Nigdy przedtem nie widziałem na oczy mózdzierza, a byłem tu zmuszony instruować ich jak ustawiać go na cel. (Postawić go w bojowej pozycji i strzelać potrafię, choć z trudnościami). Podobnie mają się

rzeczy z innym sprzętem. I to wszystko po latach walki, choć z drugiej strony, tylko niektórzy po latach, bo przeważają młodzi 16-19 letni.“ - pisał w innym miejscu Zondek. Najciekawsza sprawa, która urosła w końcu do głównego problemu, to była sprawa obuwia. „Tak więc mam teraz sporo propozycji od różnych komendantów, by bić się w ich oddziale - relacjonował Zondek. Tyle, że powiedziano mi generalnie, że jak śnieg spadnie to oni nie wojują, bo nie mają butów (chodzą w rozklekotanych sandałach). Tak więc byłbym jedynym mudżahedinem w Afganistanie w dobrych butach umożliwiających walkę zimą.“

Wreszcie przyszło najgorsze. „Walczył razem z oddziałami Afgańczyków aż do 4 lipca 1985 roku, kiedy został zabity w prowincji Nuristan. Ciało jego pochowane zostało w miejscu, gdzie zginął, a na grobie stanął krzyż.“ - doniosła prasa australijska. Ryszard Szadkowski w broszurce „Lech Zondek-bohater trzech narodów“ pisze, że Lech Zondek „zginął od kuli z broni radzieckiej w czasie walk w prowincji Nuristan.“ Niestety, prawda była inna. Szczegóły okoliczności śmierci Zondka były dosyć tajemnicze. Nieznajomość realiów przez wielu dziennikarzy wprowadziła w błąd opinię publiczną. Dopiero Radek Sikorski, sam penetrując przez przeszło trzy miesiące tereny walk w Afganistanie natrafia na ślady Zondka i ustala faktyczne zdarzenia, jakie towarzyszyły śmierci Zondka.

„Czekając na nasz wymarsz próbowałem się czegoś dowiedzieć o losach Lecha Zondka, Polaka, który przyjechał do Afganistanu wcześniej niż ja, aby walczyć. Znałem go tylko z dwóch fotografii. Na jednej z nich zrobionej w czasie jakiejś manifestacji w Australii trzyma plaketkę ze znakiem „Solidarności“ – atletycznie zbudowany, z długą ciemną brodą i wysokim czołem. Na drugiej broda jest jeszcze gęstsza a twarz szczuplejsza, przez co nabrał wyglądu Afgańczyka. Zdjęcie najprawdopodobniej zrobiono w pakistańskim szpitalu; widać na nim, że Zondek jest ranny – prawe ramię w gipsie i zawieszona na temblaku.

Zondek wyjechał z Polski podobnie jak ja w 1981 roku. Trafił wpierw do Australii – chciał mieć »dobry«, zachodni paszport, by dostać się do Pakistanu a stamtąd na front, do Kandaharu, gdzie w ulicznych walkach został ranny w ramię.

Zginął 4 lipca 1985 roku w Nuristanie, »[walcząc] z wojskami radzieckimi u boku afgańskich powstańców« – jak podała prasa emigracyjna. Autor tekstu musiał mało wiedzieć o Afganistanie, bo popełnił ewidentny błąd: w Nuristanie nie było wojsk sowieckich. Jest to najbardziej niezwykła z afgańskich prowincji: jej mieszkańcy przyjęli islam dopiero w 1985 roku; przez całą wojnę istniał tam samowładny, niezależny rząd, który wystawiał wize w swym pakistańskim konsulacie, rozpadającym się sklepiku na jednym z granicznych bazarów. Nuristan położony jest tak wysoko w górach, że helikoptery sowieckie nie osiągały wielu przełęczy.

Jeszcze bardziej zastanawiającą była fotografia Zondka, zamieszczona w biuletynie jednej z organizacji partyzanckich z podpisem, z którego wynikało, iż jest to grób polskiego żołnierza służącego w sowieckich wojskach, co implikowało, że Rosjanom zaczyna brakować własnych żołnierzy i sięgali po wojska Układu Warszawskiego. Znieważało to pamięć Zondka. Jego linia rozumowania była prosta: »Następnych dziesięciu Ruskich będzie za księdza Popiełuszkę«, napisał z frontu do przyjaciół; nadał specyficznym polskie znaczenie chrześcijańskiemu przesłaniu.

Zastanawiałem się nieraz, dlaczego w ogóle poszedł do Nuristanu – nie było tam przecież Rosjan, nie toczyły się żadne poważniejsze walki. Wręcz przeciwnie: niektórzy z nuristańskich dowódców kolaborowali z komunistycznym rządem blokując przejazd partyzanckich konwojów do doliny Pandższir. Wielu dziennikarzy, z którymi rozmawiałem, było przekonanych, że Zondka zabili komuniści – zepchnęli go po prostu ze skały. Dowiedziałem się w końcu, że w Peszawarze przebywa pewien człowiek, Jon, który był z Zondkiem do końca. Wyglądał niczym australijski tubylec, Nowozelandczyk. Spotkaliśmy się w »Bamboo Bar«, willi na terenie miasteczka uniwersyteckiego, gdzie spragnieni obcokrajowcy mogli w każdy wtorek napić się alkoholu. Zondek często odwiedzał to miejsce.

– Lech nie cierpiał tych typów. – Szerokim gestem Jon wskazał na tłoczących się przy barze dziennikarzy, urzędników organizacji charytatywnych i rozmaitych pieczeniarzy. – Każdy z nich jest zapatrzony we własny pępek. Był inny. Pijany tupał nogami i wrzeszczał,

P. Wojciech Jankowski
180 w. 1/2

P. R. w. 1/2
200500

Rzeczpospolita Polska



PREZES RADY MINISTRÓW

STWIERDZA

ŻE

PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ

NADAŁ

POSMIERTNIE S.P. LECHOWI ZONDEK

ZŁOTY KRZYŻ ZASŁUGI

Z MIECZAMI



LONDYN, dnia 28 października

Nadanie Krzyża Zasługi

że robią pieniądze na czymś cierpieniu... Dobra, opowiem ci, jak to było. Trafiliśmy do osady w Nuristanie. Lech wpadł na kapitalny pomysł, żeby nauczyć jej mieszkańców walki wręcz, bez broni. Kazał jednemu z nich ruszyć do ataku z nożem i rzucił go na ziemię chwytem judo. Ale nie zdawał sobie sprawy, że strasznie splamił honor tamtego, upokorzył go na oczach całej osady. Kiedy kazał mu powtórzyć atak, ten dźgnął go nożem tak, że rozciął Lechowi rękę, jeszcze słabą po poprzednim zranieniu... – zakończył mój rozmówca.

Ruszyli w góry zanim rana zdążyła się wygoić. Przy podciąganiu ręka nie wytrzymała i Lech odpadł od ściany. Zginął na miejscu, przetrącił sobie kręgosłup o kamienie i skały. Jon go pochował, na grobie postawił drewniany krzyż z napisem: »Lech Zondek, polski żołnierz 1952 - 85.« Od przechodzących później tamtą drogą, słyszałem, że krzyż zabrali wkrótce wieśniacy na podpałkę.

Tu trzeba stwierdzić, że prócz Lecha Zondka, który walczył z Rosjanami w Afganistanie, podobną drogę przeszedł cytowany powyżej Radek Sikorski, który po odzyskaniu przez Polskę niepodległości powrócił do kraju, gdzie piastował wysoki urząd wiceministra obrony narodowej w rządzie Jana Olszewskiego, a obecnie jest wiceministrem spraw zagranicznych. Powyżej cytowany opis okoliczności w których zginął Lech Zondek pochodzi z książki Radka Sikorskiego pt. „Prochy świętych – podróż do Heratu w czasie wojny“ wydanej w 1989 roku w Anglii i w tym samym roku w Polsce. Pasjonująca relacja Radka Sikorskiego zyskała znakomite recenzje w prasie, zaś fragment recenzji z tygodnika „Polityka“ warto w obszernym fragmencie przytoczyć:

„(Książka) zawiera apoteozę bohaterskiej postawy autora oraz opis osobliwych obyczajów afgańskich mudżahidinów... niedoścignionym wzorem jest dla nich niejaki Lech Zondek, który wybrał się do Afganistanu z misją militarno - religijno - patriotyczną - zabijać Rosjan w zemście za śmierć księdza Popiełuszki, w proporcji dziesięć trupów sowieckich za jednego polskiego kapłana... Reporter Radek Sikorski przeszedłszy dziennikarski czyściec w Afganistanie najwyraźniej zasłużył na odpust bezterminowy i zapewne jest już jedną nogą w niebie.

Zespół wyznawanych przez Sikorskiego zasad moralno - religijnych żywo przypomina postaci występujące w »Opisie obyczajów« księdza Kitowicza. Trochę może też Paska, trochę wojny krzyżowe. W sumie niezwykła kruczata XX-wiecznego Polaka – katolika, z kaskami na ramieniu, kamerą pod pachą i obrazkiem Matki Boskiej w reporterskim notesie budzi w nas podziw i zdumienie. Przyniosła polskiemu żurnaliście nie tylko sławę i pieniądze, ale także cały szereg przeżyć mistycznych - i głęboką satysfakcję duchową.“

Tymczasem wiadomość o śmierci Zondka dotarła do jego przyjaciół w Australii, z którymi utrzymywał ścisły kontakt w czasie swojego pobytu w Pakistanie i Afganistanie. Za ich pośrednictwem wkrótce o tym wypadku dowiedzieli się Polacy, w tym także mieszkańcy Grodziska i najbliższa rodzina Lecha. Z początku łudzono się nadzieją, że wiadomość jest nieprawdziwa, krążyły też wieści, że Lech dostał się do sowieckiej niewoli i, że przebywa gdzieś w jednym z sowieckich łagrów. Matka Lecha pisała w tej sprawie do różnych sowieckich instytucji, także do placówek dyplomatycznych, ale nic nie potwierdzało takiej wersji. Australijczycy, szczególnie australijska Polonia, z wielkim żalem i uroczystie żegnała Lecha Zondka, który w czasie krótkich związków z tym krajem zdążył uzyskać sporą popularność. Dla wielu był „ostatnim sprawiedliwym“, który wykazał niezwykłą odwagę i determinację w walce z wrogiem Polski. Wybrał Afganistan, bo łączył oba narody wspólny przeciwnik. Nie mógł przewidzieć jak skończy się wojna w Afganistanie i, że kraj nie zyska spokoju, do dni dzisiejszych.

7 grudnia 1985 roku w Polskim Sanktuarium Maryjnym w Essenden (Australia) odbyła się uroczystość pożegnalna, w której uczestniczyli przedstawiciele społeczności polskiej, australijskiej i afgańskiej. Wygłoszono liczne przemówienia, w tym także głos zabierał Abdul Jalil Roshan i generał Mohammad Nawaz Waziri. Pośmiertnie Lech Zondek został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami, nadanym 28 października 1985 roku przez Rząd Polski na Uchodźstwie.

Dziwnym zbiegiem okoliczności czterdzieści lat wcześniej takie samo odznaczenie otrzymał Stanisław Helcman, który wyruszył

z tego samego domu w Grodzisku przy ulicy Kościuszki w sierpniu 1939 roku i nigdy do niego nie powrócił. Helcman był więźniem łagrów sowieckich, potem żołnierzem Armii Andersa, przeszedł z nią szlak bojowy, został ranny pod Monte Cassino. Zmarł w maju 1943 roku we Włoszech.

Dziesięć lat później Andrzej Potyński w „Liście otwartym do Rady Miejskiej w Grodzisku Mazowieckim“ zaproponował nazwanie jednej z ulic w Grodzisku imieniem Lecha Zondka. Pisał wówczas: „W lipcu minie dziesiąta rocznica śmierci, pochodzącego ze znanej w Grodzisku rodziny, Leszka Zondka. Wychowany w tradycji patriotycznej, gdy wybuchła wojna w Afganistanie, pośpieszył wzorem dawnych bohaterów walczyć za wolność waszą wierząc, że też i za naszą. Walczył ze wspólnym przeciwnikiem razem z mudżahedinami. Poległ w Nuristanie 4 lipca 1985 roku. Za swoje czyny został przez Prezydenta Rzeczypospolitej Ryszarda Kaczorowskiego odznaczony pośmiertnie Złotym Krzyżem zasługi z Mieczami... Pozwolę sobie zaproponować, aby Jego imię nosił odcinek obecnej ulicy 3 -Maja od ulicy 11-Listopada do ulicy J. Kilińskiego.“ Wniosek Andrzeja Potyńskiego został skierowany do Komisji Polityki Społecznej, a stamtąd już w formie projektu uchwały na Sesję Rady Miejskiej w dniu 30 sierpnia 1995 roku. Kilka osób spośród radnych usiłowało oddalić ten projekt wysuwając rozmaite motywacje, a to, że będzie się to wiązało ze zmianą pieczętek w mieszczącej się przy tej ulicy szkole, a to osobistymi urazami, a to, że zmiana nazwy ulicy utrudni uregulowanie stanu prawnego szkoły itd. W rezultacie projekt przeszedł 12 głosami za, ośmioma przeciw i dwoma wstrzymującymi się. Tą samą uchwałą nadano nazwy ul. Ks. Mikołaja Bojanka i Alei Józefa Piłsudskiego (uchwała nr 134/95).

Literatura poświęcona osobie Lecha Zondka jest dosyć skąpa. Oprócz broszurki „Lech Zondek - bohater trzech narodów“ wydanej w podziemiu w 1985 (?) roku, zawierającej kilkanaście stron tekstu i reprodukcje listów Lecha Zondka, ukazało się kilka artykułów w prasie konspiracyjnej i wydawanej na emigracji. Ponadto pisał o Zondku cytowany tu Radek Sikorski w swoim reportażu pt. „Prochy świętych“. Telewizja Polska dwukrotnie emitowała film Tadeusza

Śmiarowskiego i Rafała Mierzejewskiego pt.: „...i tam prawdopodobnie zostałem na zawsze“ poświęcony Zondkowi.

W październiku 1897 roku zginął w Afganistanie inny Polak, operator filmowy Andrzej „Andy“ Skrzypkowiak.

RADEK SIKORSKI, *podsekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych RP, 4 sierpnia 2000.*

Na okładce mojej książki nie ma Lecha Zondka, są tam przywódcy mudżahedinów. Ja przybyłem na ten obszar już po jego śmierci. Do tej pory nie wiem co Zondek robił na terenach Afganistanu, gdzie właściwie nie było Rosjan? Andy Skrzypkowiak został zamordowany przez mudżahedinów w wyniku rywalizacji między niektórymi ugrupowaniami Afgańczyków.

MACIEJ DRABOWICZ, *5 sierpnia 2000 r.*

Leszek był bardzo przywiązany do swoich rodziców - matki i ojczyma. Ojczym, Kazimierz Kostecki był weteranem wojennym. Służył w Legionach Józefa Piłsudskiego, brał udział w wojnie polsko - bolszewickiej, później w kampanii wrześniowej i uczestniczył w konspiracji AK - owskiej. Jego patriotyzm i przywiązanie do ojczyzny udzielało się Leszkowi, który ulegał czarowi opowieści ojczyma. Oboje rodziców bardzo dbało o światopogląd Leszka. Toteż jego antykomunizm przybierał formy gwałtowne i żarliwe. Często jadąc z nim pociągiem musiałem powściągać go, aby swoich poglądów nie obwieszczał wszystkim tubalnym głosem. Ojczym miał nieudane pierwsze małżeństwo. Musiał ukrywać swą przeszłość polityczną i z tego tytułu był prześladowany do czego przyczyniły się okoliczności. Matka Leszka także doznawała prześladowań, już po wyjeździe Leszka za granicę. Nie tylko przeżywała rozstanie z synem co wypły-



Lech Zondek w Afganistanie

wa z rzeczy samej, ale nachodziła ją ciągle bezpieka wypytyjąc o wiadomości o Leszku. Oczywiście bardziej im zależało na dokuczeniu matce niż na wiadomościach o synu, tym bardziej że skutki tych „wizyt“ były widoczne. Matka Leszka popadła w depresję psychiczną, która pogłębiała się z upływem czasu. Ojczym Leszka mieszkał w Milanówku przy ul. Inżynierskiej, gdzie prowadził warsztat kaletniczy. Warsztat ten egzystował na krawędzi bankructwa, a cała jego produkcja trafiała na rynek za pośrednictwem spółdzielni. Leszek nadał warsztatowi nowy impuls i swoją pomysłowością doprowadził jego działalność do rozkwitu, co w tamtych czasach nie było łatwe. Po śmierci Leszka matka ciągle wierzyła, że jej syn żyje. Docierały do niej ciągle jakieś wiadomości, że Leszka gdzieś tam widziano. Szczególnie wiarygodnie brzmiała opowieść, że ktoś widział Leszka w telewizji rosyjskiej, kiedy pokazywano więźniów któregoś z łagrów. W poszukiwaniu angażowała wszystkich, w tym ambasadora RP Stanisława Cioska i samego Borysa Jelcyna. Ale wszystkie odpowiedzi, które przychodziły, były negatywne.

Chodziliśmy razem do powszechniaka i przyjaźniliśmy się, choć reprezentowaliśmy zupełnie odmienne typy charakterologiczne. Ja byłem spokojny i trudno było wyprowadzić mnie z równowagi. Leszek miał wybujały temperament i nosiło go z miejsca na miejsce. Nie mógł sobie znaleźć miejsca. Razem jeździliśmy na boks do klubu „Znicz“ w Pruszkowie. Jego zainteresowania szkolne były wyraźnie nakierowane na przedmioty humanistyczne, oczywiście kosztem przedmiotów ścisłych. Pani Barbara Wolniewicz, która uczyła nas polskiego wysłuchiwała kiedyś pracy domowej Leszka, którą odczytał bez zająknięcia z pustego zeszytu. Kiedy oglądałem potem zdjęcia Leszka z Afganistanu, stwierdziłem, że reprezentował typ urody, który do złudzenia upodabniał go do mudzahedinów: potężna sylwetka, czarny zarost, długa broda. W listach pisał o swoich starciach zbrojnych w bezpośredniej walce z Rosjanami. Odniósł w tych walkach kilka ran. Ale w listach i reportażach używał języka żartobliwego, który spłycał dramatyczne doznania, których doświadczał. Pisał, że Rosjanie doskonale zdawali sobie sprawę z jego obecności w Afganistanie i zgubnemu wpływowi na ich wysiłek wojenny. Nie było to

z resztą trudne do wykrycia, wszak mówił bezpośrednio na antenę Głosu Ameryki i Wolnej Europy. Urządzali więc na niego formalne polowania. Zawsze jednak z tych zasadzek wychodził obronną ręką.

Leszek był głodny wiedzy- wracam jeszcze do jego „polskich czasów“. Czytał bardzo dużo, a wiedzę, którą w danej chwili się interesował zgłębiał do końca. Jego ojczym marzył, aby Leszek i ja - byłem mocno związany, z tą rodziną- zrobili karierę wojskową. Marzyła mu się dla nas szkoła oficerska, byle nie w wojsku komunistycznym. Oczywiście zrealizowanie tych dwóch postulatów było w PRL niemożliwe. Dzięki zainteresowaniu Leszka psychologią udało mu się wyprowadzić komisję wojskową w pole i uniknąć służby wojskowej.

Po wyjeździe Leszka do Austrii, a potem do Australii ciągle o nim myślałem i stale miałem jego cele i działalność w świadomości. Myślę o nim jak o bohaterze.

LUCJAN PODLEWSKI - *nauczyciel, 17 sierpnia 2000r.*

Leszka Zondka pamiętam ze szkoły nr 5. On był uczniem, ja jego nauczycielem. Był obdarzony skomplikowaną psychiką i nie jest łatwo poddać go charakterystyce. Byłem jednym z nielicznych mężczyzn wśród ówczesnego ciała pedagogicznego „piątki“ i miałem na niego wpływ, który cieniował jego temperament. Uczyłem go do piątej klasy, a zakres nauczania obejmował historię starożytną i średniowiecze. Znałem rodziców Leszka: ojciec - kryształowa postać, był sekretarzem prezydium; matka - równie uczciwa, pracowała w banku. Znając trudny do okiełznania temperament Leszka zwrócili się do mnie z prośbą o roztoczenie nad Leszkiem szczególnej opieki. Zdawali sobie sprawę z niełatwego charakteru syna i na ich naleganie podjąłem się reprezentacji interesów Leszka w szkole. Darzyłem go wielką sympatią - był kontrowersyjny i trudny, ale pozytywnie reagował na moje próby kierowania nim. Trzeba jasno powiedzieć, że nie było z nim żadnych kłopotów jeśli chodzi o sam proces lekcyjny. Ale był bardzo żywy i impulsywny. Objawiał liczne zainteresowania wy-

biegające poza program dydaktyczny. Nie wahał się z przyjściem do mnie, kiedy pojawiały się problemy.

Dyrektor szkoły, Ludwik Bojarski, uznawał de facto mnie jako reprezentanta Leszka, choć nie byłem de iure jego wychowawcą w klasie. Kiedyś poprosił mnie i powiedział, abym wyperswadował Leszkowi jego wyczyny, pokazując mi jednocześnie wysoko na świeżo odnowionej ścianie trop „traktorów“ Leszka. Do dziś się zastanawiam jak on to zrobił?

Po odejściu Leszka ze szkoły nr 5 nie miałem z nim bezpośrednich kontaktów. Na ulicy zawsze mówił mi „dzień dobry“ i czasem wymienialiśmy zdawkowe zdania.

WOJCIECH HARDT - dnia 17 sierpnia 2000r.

Matka Leszka mówiła mi po jego wyjeździe z Polski w największej konfidencji, że Leszek przed wyjazdem złożył w dwóch ambasadach państw należących do NATO memorandum. Dotyczyło ono opracowanej przez niego techniki opanowywania terenów górskich przez oddziały żołnierzy przy użyciu spadolotni. Miała tu na myśli miękkołoty, coś w rodzaju skrzyżowania spadochronu i lotni. Takie urządzenia są od dawna znane, ale novum polegało na taktycznym ich użyciu w warunkach górskich. Mama Leszka widziała to memorandum i w jej opinii miało ono dużą wartość nowatorską. Wiem, że Leszek zawsze bardzo starannie studiował zagadnienie nim ogłaszał wnioski. A w tym przypadku wiem też, że praktycznie sprawdzał w górach funkcjonowanie urządzenia, co posłużyło mu do udokumentowania owego memorandum.



12865

Indeks

A

- Aftanazy Roman, prof. 76, 79, 105
Alberti Gabriela Zinaida 67, 68, 72, 75, 76
Alsharabi Abdulsalam, dr 1
Anders Władysław, gen. 46, 164
Armstrong Louis 154
Assuntho Rudi 91
Axentowicz Teodor 95

B

- Badowski Adam 95
Bakst L. N. 95
Barański Jan 19
Bartoszewski Władysław 83, 84, 91
Bartozi Rufin 81, 88, 89
Bartyś Julian 147
Bataszew 42
Benedykciński Grzegorz 53
Benedykt XV, papież 114

Bernstein Kuba 25
Bielawski 12
Bieszkiewicz Bronisław 93
Biner Rojza, z d. Najdorf 22
Bojanek Mikołaj, ks. 128, 147, 164
Bojarski Ludwik, prof. dr 169
Borkowski Andrzej 1
Borzykowski Tuwim 87, 88
Brozych Szczepan 93
Brzozowski Kazimierz 96
Bukowski 38
Buksowicz Stefan 140
Burhardt Rozalia 110

C

Cabanowski Marek 7–9, 14, 16, 22, 99, 121, 147
Cabanowski Mieczysław, por. 17
Cabanowski Paweł 108
Chełmoński Józef 100, 102, 103, 105, 110, 128, 129
Chełmoński Mateusz, dr 11, 15
Chmielewska Anna 146
Chmielewska Ewelina 146
Chmielewska Maria 146
Chmielewska Seweryna 146
Chmielewski Antoni 146
Chmielewski Janusz 146
Chmielewski Józef 143, 145, 146
Chmielewski Ryszard Jerzy 19, 147
Chrzanowska Maria 11
Chrzanowski Jan 11, 15
Chrzanowski Leon 11
Chrzanowski Stefan 11, 19
Ciagliński J. 95
Cieplak Jan, arcybiskup 112, 121

Ciosek Stanisław, amb. 167
Crettimowie 38, 42
Cukierman Icchak 86, 88, 89
Czajkowski Adam „Sadyk Pasza“ 150
Czartoryska Anna, ks. 67, 93
Czerniakow Adam 91
Czetwertyński Seweryn, ks. 67, 127

D

Dalbor Edmund, kard. 115
Dangel Teresa 79
Delatyński Lesław 157
Deminet Eugenia 31
Dębska Anna 40
Dobroński Adam 17, 19
Dobrzański Henryk, mjr 69
Dowbor-Muśnicki Gedymin, gen. 113, 114, 121
Drabowicz Maciej 165
Drucka-Lubecka Regina, księżniczka 66–68, 70, 72, 75, 76
Drucka-Lubecka Zinaida, ks. 66–69, 71, 73, 75
Drucki-Lubecki Adam Edwin Cezary, ks. 76
Drucki-Lubecki Franciszek Marian, ks. 68, 69, 71, 75, 77, 79
Drucki-Lubecki Hieronim Maciej, ks. 76
Drucki-Lubecki Jan Maria, ks. 76, 77
Drucki-Lubecki Jan, ks. 78
Drucki-Lubecki Konstanty, ks. płk. 69
Drucki-Lubecki Władysław, ks. 76
Drucki-Lubecki Włodzimierz Edwin, ks. 70, 76
Drucki-Lubecki Xawery Alexander Medard Franciszek, ks. 76
Drucki-Lubecki Xawery Franciszek, ks. 70, 76, 77
Dunikowski Xawery 114
Dunin-Borkowski Jerzy 102, 104, 105
Dwernicki Józef, gen. 16, 19
Dzierżanowski Feliks 93, 107, 108

Dzierżanowski Wojciech 107, 108, 121
Dziurzyński Jerzy Kacper, ks. 153

E

Edelman Marek, dr 80–89, 91
Edward Plater, hr. 127
Ejsmond Franciszek 52, 55, 65
Ejsmond Julian 52, 55, 65
Ejsmond Julian Stanisław jr. 65
Ejsmond Stanisław 65
Ejsmond Stanisław Julian jr. 65

F

Falkowski Sławomir, dr 1
Fałat Julian 95
Faszczewski Julian 143, 144, 147
Fiszgrund Julian 88
Fridelbaum Ruben 26
Fujs Marian 91

G

Gabrylicka Zinaida 67
Gall Stanisław 115
Gawlikowski Stefan 26
Gerbault 41
German Anna 40
Gierek Edward 155
Glińscy 87
Goldkorn Włodek 91
Goliborska Teodozja, dr 88
Gombrowicz Witold 25
Górsy 127

Grabowski Aleksander, dr 110
Grabowski Tadeusz 93
Grupińska Anka 82, 91
Grzywak-Kaczyńska, prof. 154

H

Hardt Wojciech 169
Helcman Stanisław 163, 164
Hertz Napoleon Józef 121
Hitler Adolf, kanclerz 47, 71, 81, 83, 84, 88
Holsztein Icek 22
Hulka-Laskowski Paweł 8

I

Iwazskiewiczowie 102

J

Jackowski Antoni 127
Jankowski Stanisław 11
Janusz Daniel 127
Jaroszyński Z. M. 138
Jaruzelski Wojciech, gen. 156
Jaworowski Felek 13, 14
Jelcyn Borys, prez. 167
Jon 160, 162

K

Kaczorowski Ryszard 164
Kaczorowski Stanisław 140
Kajdański Edward, konsul 156
Kalbarczyk Janusz 42

Kania Stanisław 156
Karpińska Natalia 55, 65
Kaszowska Franciszka Klaudia 76
Katarzyński, inż. 129
„Kazik“ 85, 86
Kazimierski Józef 105, 147
Kinkiel Barbara 87
Kiślański Władysław 127
Kitowicz Jędrzej, ks. 163
Knoll Roman 12
Kokoszko Edward 93, 101
Kolbe Maksymilian Maria, o. 77, 78
Kołodziejczyk Arkadiusz 123, 128, 137, 140, 144, 147
Komierowski K. 127
Kon Leon, por. 17
Konrad-Korzeniowski Józef 41
Kopciński 41
Kopczyńska Teresa 146
Kopernik Mikołaj 67
Korcza Janusz 82
Kornaccy 81, 82, 88
Kostecki Kazimierz 153, 165
Kowalczyk Jerzy 19, 121, 147
Krall Hanna 91
Kraśnscy-Radziejowscy, hr. 67, 125, 146
Kraśńska Maria 69
Król Stanisław 141
Królikiewicz Adam, mjr 19
Królikowska Halina 11
Krüger, gen. 84
Krukowski Kazimierz „Lopek“ 25
Krupiński Piotr 81, 126
Kryśka-Karski Tadeusz 15, 19
„Krzaczek“ 85, 86
Kumantowie 38, 42

Kumor Andrzej 152
Kwieciński 26

L

Lawrance Anthony „Al Arab“ 150
Lemański 26
Lenczewski Tomasz 79
Leszczyński Wacław 127
Lewandowicz Rafał 9, 29, 32, 85, 114
London Jack 41
Lubetkin Cywia 86–89

Ł

Łązniewski Józef 12, 15
Łoza Stanisław 79
Łubieńscy, hr. 67, 127
Łucek M. 43

M

Makarewiczowie 55
Makuszyński Kornel 44, 45
Malczewski Jacek 95, 101
Maliszewski Jan 127
Mańkowicze 76
Margolis Alina 87
Marian Franciszek 68, 76, 77
Marzewski Zygmunt 21
Masłowski Maciej 105
Maszkowski K. Z. 98
Matejczuk Wiesław 110, 121
Mehoffer Józef 95
Menard 95

Mężyk J. 41
Mierzejewski Rafał 165
Mikułowski-Pomorski Józef 127
Minczeles Henr 91
Misiewicz Aleksander, ks. 112
Mitoń Kamil 21
Mizera, kpt. 12
Mokronoscy 9
Mokronoski Aleksander 55, 104
Mokronoski Antoni 55
Moszyńska Konstancja 146
Moszyński Antoni 146
Moszyński Julian 146
Mościcki Ignacy, prez. RP 138

N

Najdorf Berek Izrael 22
Najdorf Gedali 22
Najdorf Icek 22
Najdorf Mieczysław (Miguel) 7, 20–22, 24–28, 82
Najdorf Rojza 22
Nałkowska Zofia 11
Narutowicz Gabriel, prez. RP 98
Niewiadomski Eligiusz 55, 98
Niewiarowski Jan 121

O

Odziemkowski Janusz 119, 121
Ojrzyński Kazimierz, felczer 132, 134
Olizar Genowefa 76
Olszewski Jan, premier 162
Orda Napoleon 98
Orda Piotr 99

Orda Stanisław 99
Orda Włodzimierz 98, 99
Orleański Henryk 121
Osęka Janusz 87
Ossendowski Antoni Ferdynand 9
Ostrowski 42
Osuchowski Stanisław, por. 12

P

Pajkert Danuta 121
Pajkert Jan, ks. płk. 7, 106, 107, 109–115, 117, 119, 120
Pajkert Józef 110
Panaś, ks. 117
Pasek Jan Chryzostom 163
Pawlak Jacek, doc. dr 1
Petryna Filip 38
Piechowski 102
Piesiewicz 134
Piłsudski Józef, marszałek 8, 101, 115, 125, 133, 136, 164, 165
Plebański Jan 127
Podlewski Lucjan, prof. 168
Pogorzelska Zula 71
Polończyk Bolesław, ps. „Kryształ“ por. 141
Poniński Tadeusz, hr. 67
Popiełuszko Jerzy, ks. 160, 162
Potyńska Elżbieta 72, 79
Potyński Andrzej 164
Prekerowa Teresa 91
Pruski Witold 19
Pruszyński Jan, hr. prof. 7–9, 77, 79
Przedpolscy 14
Przepiórka Dawid 26
Przybyszewski Stanisław 95

R

- Raczkiewicz Władysław, prez. RP 113
Radziulewicz, kpt. 134
Radziwiłłowie, ks. 67
Ratti Achilles, ks. 114
Redel Jerzy 19, 81
Reshevsky Samuel 25
Ropp Edward, arcybiskup 113
Roshan Abdul Jalil 163
Rosklein Rojza 22
Rowecki Stefan, gen. 11
Rozensztajn Ryfka 86
Roztorowski Mateusz Emanuel, hr. 79
Rurykowiczowie, ks. 68
Rutkowski Franciszek, ks. 112, 121
Rydel Lucjan 95
Ryglewicz Kazimierz, prof. 46
Rzepeccy Tadeusz i Karol 79

S

- „Sadyk Pasza“, patrz Czajkowski Adam
Scipio del Campo Maria 76, 77
Serafiński Fryderyk ps. „Drabina“, ppor. 141
Sianoszek Bronisław 8
Sikorski Radek 159, 162–165
Sikorski Władysław, gen. 97
Simon 95
Sitek Andrzej 27
Siwiec Andrzej 125, 128, 133, 147
Siwiec Andrzej Jerzy 144, 146, 147
Siwiec Antoni Józef Kazimierz 144, 146
Siwiec Jacek 146
Siwiec Jan, ppor. 122–126, 128, 130–144, 146, 147

Siwiec Józefa, z d. Kostrzewa 146
Siwiec Kazimierz 146
Siwiec Mateusz 125, 146
Siwiec Tomasz 144, 146
Skarbek Henryk, hr. 67
Skarbkowie 9
Skoczylas Władysław 96
Skotnicki Jan, prof. 92–105
Skrzeszewska Zosia 87
Skrzypkowiak Andrzej ps. „Andy“ 165
Sławek Walery, premier 137, 138
Smolicz-Białobrzaska 14, 16
Smolka Stanisław 68, 79
Sobańscy, hr. 67, 127
Sobański Michał, hr. 127, 128
Sobieraj Janusz 19, 147
Spychała Bolesław, ks. 119, 121
Stanisławski Jan 95
Statkowski 132
Stefański Piotr 19
Stodolska Janina 65
Stroop Jurgen, gen. 84
Studzińska Stefania, prof. 46
Studzińska Zofia 56
Studziński Franciszek 56
Studziński Piotr 56, 57
Syłkiewicz Kazimierz 87
Syłkiewicz Maria 87
Szacki Jerzy, ks. 112
Szadkowski Ryszard 153, 154, 159
Szattner Zygmunt 93
Szczerkowski Hipolit, prof. 41, 45, 132, 133
Szczygielscy 56
Szczytt-Niemirycz Krystyna 76
Szejnkenig Janina 65

Szemioth Maria 76
Szenic Stanisław 79
Szmajdowicz Bolesław, plut. 12
Szosland Kazimiera 16
Szosland Kazimierz, mjr. 10–17
Szosland Stanisław 16
Szosland Stefania 13, 14
Sztegelman gen. 112
Sztekker Teodor 12, 141
Sztuka Marian 93, 101

Ś

Ściwiarski Zbigniew 87
Śmiarowski Tadeusz 164
Świętochowski, inż. 129
Śwital Stanisław, dr 87, 88

T

Tartakower Ksawery 26
Teliga Czesław 46
Teliga Eudoksja 46
Teliga Leonid, kpt. 7, 29–35, 38–47, 49–51
Teliga Stanisław 33–35, 38, 40, 42, 45, 46, 49, 51
Tetmajer Włodzimierz 95, 102
Tokarzewski Marian, ks. 119
Trenkler Teodora 95
Tucholski Jędrzej 141, 147
Tumiłowicz Leon 49
Turek Aleksander 101
Tuszyński Bogdan 19
Tworkowski Stanisław 121

U

Umaniec 42

Urtate Krzysztof 54

V

Vetulani Armand 42, 93

W

Warman Zygmunt, adw. 87, 88

Wasiutyński Wojciech 147

Waziri Mohammad Nawaz, gen. 163

Westwał Witold, prof. 46

Węgrzynowski Lesław, dr 87

Wieniawska Maria Pia 55, 65

Wieniawski Antoni 9, 55, 126–129

Wieniawski Henryk 55

Wieniawski Julian „Jordan“ 54, 55, 65, 127

Wiśniewska Halina 38, 39, 46, 47, 51

Wittels Małgorzata 99, 103, 105

Wodziński Gabriel 55

Wojciechowski K. 127

Wojciechowski Piotr 149

Wolniewicz Barbara, prof. 167

Woroszyński Wiktor 90

Woźnicki Mateusz 127

Wreto Arkadiusz i Eugenia 72

Wyczółkowski Leon 95

Wysocka Emilia 107, 110

Wysockie, siostry 107, 108, 117

Wyspiański Stanisław 95

Z

Zahrtowie 11

Zamoyska Maria, hr. 76

Zaręba Janusz 12

Zarębianka Eliza 38, 39, 40

Zawacka Elżbieta ps. „Zo“ 143

Zondek Helena, z m. Wiśniewska 152

Zondek Janina 152

Zondek Krystyna, z d. Chmielińska 153

Zondek Lech 32, 50, 148, 151–160, 162–169

Zondek Stanisław 152

Zondek Stefan 152–154

Ż

Żemantowski Jacek 21, 24, 25, 28

Żeromski Stefan 41

Żukowska-Maziarska Anna 103

Żukrowski Wojciech 33, 38, 42, 47

Żyto Ludwik 56

U
 Umurcie 42
 Uratę Krzysztof 64
 U
 Uzdani Antoni 47, 59
 W
 Werman Zygmunt, adv. 87, 88
 Wierzyński Wojciech 147
 Wierzbowski Mieczysław, gen. 161
 Wierzbowski prof. 46
 Wierzyński Antoni, dr. 87
 Wierzyński Maria Pła 55, 55, 58
 Wierzyński Antoni 9, 55, 126-129
 Wierzyński Henryk 55
 Wierzyński Jan, "młody" 54, 55, 58, 58, 58, 58
 Wierzyński Helena 38, 39, 46, 47, 55
 Wierzyński Jan 101, 101, 101
 Wierzyński Gabriel 55
 Wierzyński E. 177
 Wierzyński Piotr 149
 Wierzyński Barbara, prof. 16
 Wierzyński Władysław 50
 Wierzyński Mieczysław 127
 Wierzyński Antoni i Eugeniusz 72
 Wierzyński Ewa 95
 Wierzyński Julia 107, 110
 Wierzyński, siostry 107, 108, 117
 Wierzyński Stanisław 93

BERKEN S.A. NIERUCHOMOŚCI



Nowoczesność i tradycja



Rewaloryzacja obiektów zabytkowych



Inwestycje nietypowe



Niestandardowe rozwiązania

architektury i wnętrz



Zabytkowe Parki Krajobrazowe

BERKEN S.A.
ul. Wilcza 58A
00-679 Warszawa
tel. 622-40-05
fax 625-38-68

BREVITER

05-825 Grodzisk Mazowiecki, Książenice 31,

tel./fax (0-22) 755-52-87, 755-60-32, 755-79-94, 755-58-04, tel. kom. 0-601-672-963, 0-601-672-964, 0-601-672-965, 0-601-672-966



Active in:

Our company renders international forwarding and transport service. We offer 60 truck and trailer sets of the Volvo, Renault, and Scania brands. The shipments are made across Europe and CIS countries. Our base is equipped in a repair shop, bonded warehouse and cargo storage house.

Special Offer:

competitive prices, high quality, professional service, on-time delivery, favourable terms for regular clients. Seeks suppliers of licensed spares

-especially tyres and diagnostic equipment for Volvo, Renault and Scania trucks -and other truck accessories; contacts for regular shipments; partners for co-operation.

Company Statement:

We have a 20 ha land of settled ownership rights, situated 25 km from downtown Warsaw. Breviter has qualified staff and big experience in international forwarding and transport based on regular clients.

We especially recommend transport of ceramic products, leathers, powdered milk, caseln, cotton, furniture and cargo under canvas covers.

Profil:

Nasza firma świadczy usługi w ramach spedycji i transportu międzynarodowego. Stawia do dyspozycji 60 zestawów środków przewozowych marki Volvo, Renault, Scania. Przewozy dokonywane są na terenie Europy i krajów WNP. Baza wyposażona jest w zakład naprawy, skład celny i magazyn towarów.

Poszukujemy kooperantów, dostawców licencjonowanych części - zwłaszcza ogumienia i urządzeń diagnostycznych do samochodów firmy Volvo, Renault, Scania; kontaktów na stałe przewozy; dostawców akcesoriów samochodowych; producentów części zamiennych; partnerów do współpracy.

Informacje dodatkowe:

Działka gruntu o uregulowanych stosunkach własnościowych o pow. 20 ha wolnych od zabudowy w odległości 25 km od centrum Warszawy. Mamy atuty, aby być Twoim partnerem. Posiadamy wyszkoloną kadre, duże doświadczenie w spedycji i przewozach międzynarodowych.

Polecamy zwłaszcza przewozy wyrobów ceramicznych, skór, mleka w proszku, kazeiny, bawełny, mebli oraz towarów wymagających przewozu pod plandekami.

Konkurencyjne ceny

-wysoka jakość - profesjonalna obsługa - terminowe dostawy - korzystne warunki dla stałych klientów.

e-mail: breviter@waw.pdi.net

internet: <http://www.waw.pdi.net/breviter>



Czytelnia Naukowa



101 0 0012865 4

ISBN 83-91-5948-0-7